REPORTAŻ

Bradley Hope

POKONAĆ KIMÓW

Tajna misja przeciwko reżimowi



W serii ukazały się ostatnio:
Tomasz Grzywaczewski *Wymazana granica. Śladami II Rzeczpospolitej* (wyd. 2)
Peter Robb *Sycylijski mrok* (wyd. 3)
Iza Klementowska *Samotność Portugalczyka* (wyd. 2)
Aneta Pawłowska-Krać *Głośnik w głowie. O leczeniu psychiatrycznym w Polsce* (wyd. 2)
Paweł Smoleński *Pochówek dla rezuna* (wyd. 4)
John Vaillant *Tygrys. Na tropie rosyjskiej bestii*
Harley Rustad *Zagubiony w Dolinie Śmierci. Obsesja i groza w Himalajach*
Bartek Sabela *Wędrówka tusz*
Jamie Bartlett *Królowa kryptowaluty. Historia miliardowego cyberprzekrętu*
Małgorzata Nocuń *Miłość to cała moja wina. O kobietach z byłego Związku Radzieckiego*
Roman Husarski *Kraj niespokojnego poranka. Pamięć i bunt w Korei Południowej* (wyd. 2)
Bartosz Józefiak *Wszyscy tak jeżdżą*
Tomáš Forró *Gorączka złota. Jak upadała Wenezuela*
Douglas Preston, Mario Spezi *Potwór z Florencji. Śledztwo w sprawie seryjnego mordercy*
Piotr Lipiński *Wasilewska. Czarno-biała*
Agnieszka Pikulicka-Wilczewska *Nowy Uzbekistan*
Taina Tervonen *Grabarki. Długi cień wojny w Bośni*
Katarzyna Kobylarczyk *Ciałko. Hiszpania kradnie swoje dzieci*
Jacek Hołub *Beze mnie jesteś nikim. Przemoc w polskich domach* (wyd. 2)
Anna Bikont *Nigdy nie byłaś Żydówką. Sześć opowieści o dziewczynkach w ukryciu*
Jelena Kostiuczenko *Przyszło nam tu żyć. Reportaże z Rosji* (wyd. 3)
Barbara Demick *Światu nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej* (wyd. 3)
Bartosz Żurawiecki *Ojczyzna moralnie czysta. Początki HIV w Polsce*
Kate Brown *Czarnobyl. Instrukcje przetrwania* (wyd. 2)

Amos Oz *Na ziemi Izraela* (wyd. 2)
Marta Wroniszewska *Tu jest teraz twój dom. Adopcja w Polsce* (wyd. 2)
Sam Knight *Biuro Przeczuć. Historia psychiatry, który chciał przewidzieć przyszłość*
Katarzyna Kobylarczyk *Pył z landrynek. Hiszpańskie fiesty* (wyd. 2)
Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie* (wyd. 6)
Piotr Lipiński *Bierut. Kiedy partia była bogiem* (wyd. 2)
Derek Scally *Najlepsi katolicy pod słońcem. Pożegnanie Irlandczyków z Kościołem*
Kalina Błażejowska *Bezduszni. Zapomniana zagłada chorych* (wyd. 2)
Murong Xuecun *Śmiertelnie ciche miasto. Historie z Wuhanu*

W serii ukażą się m. in.:
John Treherne *Zbrodnia w raju. W poszukiwaniu utopii na Galapagos*
Maciej Wasielewski *Jutro przypłynie królowa* (wyd. 3)

Bradley Hope

Pokonać Kimów

Tajna misja przeciwko reżimowi

Przełożył Krzysztof Środa



Wołowiec 2024



Tytuł oryginału angielskiego *The Rebel and The Kingdom. The True Story of The Secret Mission to Overthrow The North Korean Regime*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś
Fotografia na okładce © Laurent Weyl / Panos Pictures / Forum

Opieka redakcyjna Przemysław Pełka
Redakcja Anna Niklewicz
Konsultacja koreanistyczna dr Jakub Taylor
Korekta Julia Żak / d2d.pl, Joanna Stocka / d2d.pl
Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-901-2

Dla moich rodziców, Marka i Lindy

Spójrzcie! Przed naszymi oczami otwiera się nowy świat!
Epoka siły odchodzi w przeszłość, nastaje epoka moralności.

Koreańska deklaracja niepodległości, marzec 1919

Od autora

Pod koniec sierpnia 2011 roku udało mi się wsiąść w Kairze do samolotu czarterowanego przez Światowy Program Żywnościowy i polecieć do Bengazi. Znalazłem się w kraju ogarniętym wojną domową – wojska wierne libijskiemu dyktatorowi Muammarowi Kaddafiemu walczyły z zainspirowanymi Arabską Wiosną rebeliantami buntującymi się przeciwko skorumpowanemu rządowi.

Kiedy tam przyleciałem, odniosłem wrażenie, że są to być może ostatnie tygodnie tej wojny. Razem z grupą reporterów jeździłem codziennie wzdłuż wybrzeża na zachód, do Syrty, gdzie toczyła się ostatnia bitwa, w nadziei na odnalezienie dowódców rebelii dysponujących najnowszymi informacjami na temat walk.

Rebelianci zablokowali drogę do Syrty jakieś sto czterdzieści kilometrów na wschód od miasta. Tam właśnie, wśród gromad bojowników, dziennikarze spędzali dziennie po kilka godzin i przeprowadzali wywiady. Pewnego dnia – gdy ja i Kristen Chick, moja koleżanka po fachu, mieliśmy już odjeżdżać – zauważyliśmy grupę zebranych w kręgu bojowników, którzy zataczali się ze śmiechu.

Podeszliśmy do nich i w środku kręgu zobaczyliśmy coś niewiarygodnego: stał tam uśmiechnięty osiemnastolatek, amerykański student koreańskiego pochodzenia. Nazywał się Chris Jeon. Ten młody Amerykanin przyleciał do Kairu, tam wsiadł do pociągu do Aleksandrii, a potem dotarł autostopem do Libii. Jeon, który właśnie zakończył staż w firmie finansowej BlackRock w San Francisco, skorzystał z wakacyjnej przerwy, żeby się tu znaleźć. Ubrany w niebieską bluzę Lakersów, nie rozu-

miał ani słowa po arabsku, ale miał niezachwiane poczucie, że tu właśnie wydarza się „jedna z najprawdziwszych rewolucji" naszego świata.

Po powrocie do Bengazi od razu napisałem tekst o studencie matematyki, który stał się rewolucjonistą. Minęło kilka minut od chwili, gdy artykuł został opublikowany w internecie, i medialna machina ruszyła. Historię chłopaka przytaczały setki serwisów informacyjnych na całym świecie. Jeszcze tego samego dnia znalazłem w mojej skrzynce mejlowej widomość od nieznajomego – Adriana Honga.

„Wspaniała historia" – napisał, zwracając się do mnie, przez pomyłkę, imieniem Bob. Poprosił, żebym skontaktował go z Jeonem.

Adrian pisał, że wkrótce wybiera się do Libii i że chciałby pomóc Jeonowi w bezpiecznym powrocie do domu. Dałem mu adres mejlowy ojca Jeona, ale – sam się zdziwiłem – zacząłem też szukać w internecie śladów Adriana. Dowiedziałem się, że nazywa się Adrian Hong Chang i jest absolwentem Yale zajmującym się kwestią praw człowieka w Korei Północnej. Zaciekawiło mnie to, więc postanowiłem kontynuować nasz kontakt. Dlaczego młody aktywista zainteresowany Koreą Północną chce jechać do Libii?

W korespondencji był uprzejmy, ale pewny siebie. W tym, co pisał, zawsze było coś tajemniczego. Wyglądało na to, że jest jakoś związany z libijskimi buntownikami. I że ma też kontakt z rewolucjonistami z Syrii i Egiptu. Jednak wszystko to było mgliste i niejasne. Na początku, ale też i później, zastanawiałem się, czy on faktycznie robi te wszystkie rzeczy, o których pisał, czy tylko to zmyśla.

Mieszkałem wtedy w Kairze i zajmowałem się konfliktami na Bliskim Wschodzie. Wiedziałem, że wojna może działać jak magnes, przyciągać rozmaite typy dziwnych ludzi motywowa-

nych poczuciem obowiązku, altruizmem lub zyskiem. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to że Adrian jest amerykańskim szpiegiem udającym biznesmena. Dostrzegłem w nim jednak coś – jakąś autentyczność pomieszaną z amatorszczyzną – co kazało mi drążyć dalej. Było mało prawdopodobne, aby amerykański szpieg kontaktował się z amerykańskim dziennikarzem. Mógłby zostać zdemaskowany. Czy był facetem z prestiżowego uniwersytetu uważającym się za zbawcę ludzkości? A może zwykłym cywilem szukającym dreszczu ryzyka, może bardziej wyrafinowanym niż Chris Jeon, ale wciąż tylko poszukiwaczem przygód? A może kimś zupełnie innym, jakimś złowrogim typem ukrywającym motywy swojego działania?

Jedno było pewne – to człowiek, którego warto obserwować.

Pisanie o ludziach działających w tajemnicy – i o tajemniczych wydarzeniach – jest bardzo trudne. Śledziłem Adriana Honga i jego poczynania przez ponad dziesięć lat, a ostatnie trzy spędziłem, badając szczegółowo jego życie i losy organizacji dziś znanej pod nazwą Free Joseon. Żeby potwierdzić najważniejsze elementy tej historii i wypełnić ją szczegółami, rozmawiałem z wieloma dobrze poinformowanymi ludźmi z całego świata, którzy dysponowali niedostępnymi publicznie dokumentami, zdjęciami i nagraniami wideo.

Punktem wyjścia wszystkich moich książek były pytania o to, jak w XXI wieku działają ośrodki władzy i wpływy. Staram się to wyjaśniać, opowiadając wciągające historie. W *Billion Dollar Whale*, książce napisanej razem z Tomem Wrightem, próbowałem pojąć, jak to się stało, że młody malezyjski pozer, działający tuż pod nosem nadzorców świata finansów, zdołał wyłudzić miliardy dolarów i przekonać polityków, gwiazdy Hollywoodu oraz mnóstwo innych ludzi, że jest tym, za kogo się podaje. W *Ropie i krwi*, książce, którą napisałem

z Justinem Scheckiem, chciałem zrozumieć postać Muhammada ibn Salmana, tajemniczego księcia koronnego z Arabii Saudyjskiej, który pojawił się znikąd, by zająć się modernizacją bogatego w ropę kraju, i ujawnił przy tym swe okrutne oblicze w procesie konsolidacji władzy oraz w tłumieniu wszelkiego sprzeciwu. Chcieliśmy zbadać, w jaki sposób Muhammad ibn Salman zerwał prostą umowę kształtującą przez ponad osiemdziesiąt lat relacje amerykańsko-saudyjskie – ropa za wsparcie militarne – i ujawnić konsekwencje tego kroku.

W przypadku tej książki pytanie, na które miałem odpowiedzieć, było zwodniczo proste: Kim jest Adrian Hong? Chciałem zrozumieć, jak doszło do tego, że ten idealista, absolwent prestiżowego amerykańskiego uniwersytetu, stał się wiecznym uciekinierem. Co skłoniło go do wyboru takiego życia? Dlaczego uznał, że jest w stanie zmienić świat? Czy w epoce elektronicznego nadzoru i autokratycznych reżimów jest w ogóle możliwe, by zwykły obywatel ożywiony pasją i dobrymi intencjami (jeśli się założy, że były dobre) mógł wraz z grupką towarzyszy dokonać zmiany globalnego porządku politycznego? Mam nadzieję, że te pytania będą wam towarzyszyć w czasie lektury.

I jeszcze kilka uwag. Po pierwsze, jestem dziennikarzem, a nie historykiem. Jest wiele świetnych książek o historii Korei znacznie dokładniej opisujących najważniejsze zdarzenia i postaci. Starałem się przedstawić niezbędny kontekst historyczny, ale głównym tematem książki są współczesne wydarzenia i osoby. Mam nadzieję, że na jej stronach znajdą coś dla siebie zarówno czytelnicy znający historię Korei Północnej, jak i ci, dla których jest to temat całkowicie nowy.

Wiele osób przekazujących mi informacje potrzebne do napisania tej książki robiło to mimo poważnego ryzyka. Adrian Hong, jego koledzy z Free Joseon i inne związane z nimi osoby

prowadzili działalność, narażając się na śmierć i mnóstwo innych niebezpieczeństw. Postanowiłem nie wymieniać nazwisk żadnych osób, z wyjątkiem tych, o których powszechnie wiadomo, że są członkami grupy. Komunikując się z moimi informatorami, zachowałem szczególne środki ostrożności i nie zostawiłem żadnych śladów umożliwiających ewentualnym prześladowcom ich identyfikację.

Na koniec – kwestia zapisu nazwisk. W przypadku Koreańczyków będę najpierw podawał nazwisko, a potem imię. Jeśli imię ma dwie sylaby lub więcej, a tak jest najczęściej, oddziela się je dywizami. Reguły te nie dotyczą imion i nazwisk Amerykanów koreańskiego pochodzenia, którzy zazwyczaj przyjmują zachodnią konwencję zapisu. W ich przypadku oraz gdy chodzi o osoby o narodowości innej niż koreańska, będę używał (poza pierwszym ich wystąpieniem) samych nazwisk. Wyjątkiem jest Adrian Hong.

Prolog. Wtargnięcie

Madryt, 22 lutego 2019

Zima dobiegała końca. W chłodne piątkowe popołudnie do furtki ambasady Korei Północnej w Madrycie podszedł dobrze ubrany mężczyzna z dwiema eleganckimi torbami. Nacisnął dzwonek. Po kilku minutach w interkomie odezwał się głos.

– *¿Sí?*

– Dzień dobry, nazywam się Matthew Chao – odpowiedział mężczyzna niezłym hiszpańskim. Wyjaśnił, że był tu kilka tygodni temu, a teraz wrócił z prezentem dla „*señora* Seo". Było to nazwisko najwyższego rangą urzędnika ambasady.

Ambasada mieściła się w kompleksie ciemnopomarańczowych budynków w eleganckiej madryckiej dzielnicy słynącej z parków i luksusowych rezydencji. Wyglądała raczej jak posiadłość jakiegoś bogatego i może nieco paranoicznie usposobionego Hiszpana i nie przypominała utrzymanych w bardziej biurowym stylu siedzib innych ambasad. Furtka ukryta między dwoma załomami potężnego muru była cofnięta od chodnika. Z ulicy trudno było cokolwiek zobaczyć. Większość okolicznych mieszkańców mijała budynek, nie zwracając na niego uwagi. Ambasada przyjmowała bardzo niewielu gości.

Teraz jednak, usłyszawszy nazwisko szefa, jej pracownik, trzydziestoletni Jin Choe, który właśnie pielęgnował ogród, otworzył furtkę. Zobaczył uśmiechniętego, eleganckiego mężczyznę o azjatyckich rysach w czarnym garniturze, z krawatem w kropki i włosami spiętymi w koczek, i pozwolił mu wejść.

– Poszukam pana Seo – powiedział i wskazał gościowi ławkę. Mijała właśnie szesnasta trzydzieści.

Kiedy Jin wyruszył na poszukiwania pana Seo, starsza kobieta odpoczywająca na przystanku autobusowym obserwowała scenę, na widok której młody dyplomata zaryglowałby drzwi i schował się w bezpiecznym miejscu. Pod murem ambasady, niedaleko furtki przyczaiło się pięciu mężczyzn w dżinsach i okularach przeciwsłonecznych. Niektórzy z nich mieli duże czarne plecaki. Inni wyglądali tak, jakby szykowali się do skoku przez ogrodzenie.

Gdy tylko Jin zniknął, człowiek, który przedstawił się jako Matthew Chao, wstał z ławki i po cichu otworzył furtkę. Czekający na zewnątrz mężczyźni weszli do środka. Gdy znaleźli się na terytorium Korei Północnej, założyli kominiarki, wyjęli z plecaków pistolety i kajdanki, po czym rozbiegli się po terenie ambasady, komunikując się ze sobą za pomocą słuchawek bezprzewodowych i aplikacji zmieniającej telefony komórkowe w krótkofalówki.

Intruzi wtargnęli do budynku i krzykiem zmusili członków personelu do położenia się na podłodze. Skrępowali ich ręce plastikowymi opaskami i kajdankami, nałożyli im na głowy worki, po czym zagnali do sali konferencyjnej. Pana Seo, czyli Seo Yun-suka, początkowo umieszczono w łazience. Jego żona – która próbowała zabarykadować się z dzieckiem w sypialni – została na górze, pilnowana przez jednego z mężczyzn.

Napastnicy przeszukali pokój po pokoju, by poznać rozkład pomieszczeń ambasady i upewnić się, że nikt nie schował się w szafie bądź nieużywanym biurze. Większość była pusta, co było dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, że mieszkało tu czterech członków personelu dyplomatycznego, żony dwóch z nich i jeden mały chłopiec.

Potem intruzi wtargnęli do sali propagandy, gdzie na ścianach wisiały północnokoreańskie plakaty i stylizowane portrety trzech pokoleń dynastii Kimów, która rządzi krajem od 1948 roku, po tym jak w roku 1945 Korea została podzielona przez Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Sala była miejscem codziennych spotkań dyplomatów, którzy musieli tu odczytywać i recytować ideologiczne pochwały przywódcy Kim Dzong Una oraz jego ojca i dziada, boskich opiekunów dumnego kraju, ochraniających go przed złoczyńcami z całego świata, a w szczególności przed Stanami Zjednoczonymi.

W jednym z korytarzy na parterze napastnicy trafili na pomieszczenie, które znajduje się ponoć w każdej północnokoreańskiej ambasadzie na świecie – miejsce, które widzieli tylko bardzo nieliczni cudzoziemcy, a może i nie widział go żaden. Centrum wywiadu. Był tam komputer i stosy papierów, a ściany wyłożono metalową folią, która miała chronić pomieszczenie przed ciekawością zachodnich agencji wywiadowczych. Tutaj dyplomaci otrzymywali zaszyfrowane polecenia od przełożonych z Korei Północnej.

W ciągu piętnastu minut członkowie grupy opanowali całą ambasadę i zabezpieczyli teren. Albo tylko tak myśleli. Nie wszystko było tu tym, czym się wydawało – zarówno napastnikom, jak i uwięzionym dyplomatom.

Jeden z zakładników powiedział potem hiszpańskiej policji, że mężczyzna, który krępował mu ręce opaską zaciskową, nie wiedział, jak ona działa, i musiał poprosić o pomoc kolegę. Dziwna nieudolność – pomyślał Koreańczyk, który był przekonany, że ambasadę opanowała elitarna grupa paramilitarna.

Intruzi raz jeszcze przeszukali pokoje, pakując do plecaków, co mogli: pendrajwy, dwa komputery, dwa dyski twarde, telefon komórkowy i dokumenty. Jeden z dysków był połączony

z systemem monitoringu ambasady, więc odłączenie go miało uniemożliwić wykrycie obecności intruzów na jej terenie.

Kiedy przerażeni zakładnicy zostali związani i zamknięci w sali konferencyjnej, Matthew Chao zaprowadził Seo Yun-suka do piwnicy.

Pojawił się jednak problem. Napastnicy nie wiedzieli, że przeoczyli Jo Sun-hui, żonę jednego z urzędników, nieznaną im siódmą osobę mieszkającą w ambasadzie. Kiedy usłyszała, że budynek zaatakowali mężczyźni mówiący z południowokoreańskim akcentem, wpadła w panikę.

Od 1950 roku Korea Północna pozostaje w stanie wojny z Koreą Południową, dlatego dla każdego jej mieszkańca nieoczekiwane spotkanie z kimś z tej drugiej Korei jest czymś przerażającym. Koreańczycy z Północy słyszą od wczesnego dzieciństwa, że Stany Zjednoczone i Korea Południowa to „kanibale" pragnący zniszczyć ich wspaniały kraj. Kiedy nieznani mężczyźni chodzili od pokoju do pokoju, kopiąc w drzwi, Jo wymknęła się na balkon pomieszczenia na piętrze. Z obawy o swoje życie, postanowiła skoczyć. Spadła na beton, raniąc się w głowę i nogę.

Nie zważając na ból, pokuśtykała przez kort do padla w kierunku bocznego wyjścia, a stamtąd małą alejką do głównej ulicy. Dotarła tam już na czworaka.

Pracownik pobliskiej siłowni jadący przez spokojną zwykle dzielnicę niemal uderzył w krawężnik, gdy zobaczył krzyczącą kobietę o zakrwawionej twarzy. Zjechał na pobocze, żeby jej pomóc. Jak powiedział później policji, był przekonany, że padła ona ofiarą brutalnego napadu.

Zawiózł ją do pobliskiej przychodni, której pracownik wezwał pogotowie i policję. Z ust przerażonej, udręczonej kobiety płynął potok słów, ale Hiszpanie nic nie mogli zrozumieć.

Gdy przyjechali policjanci, próbowali ustalić, skąd ona pochodzi. Zadzwonili do chińskiej ambasady, ale okazało się, że kobieta nie mówi po chińsku. Jeden z lekarzy próbował rozszyfrować jej słowa za pomocą tłumacza Google'a. W końcu funkcjonariusze zrozumieli, że mieszka na terenie położonej całkiem niedaleko ambasady Korei Północnej. Ale w tym, co mówiła, było niewiele sensu.

– Jacyś mężczyźni weszli do ambasady. Zabijają i zjadają ludzi! – krzyczała Jo. – Tam są przecież dzieci!

Minęła godzina od chwili, gdy zamaskowani napastnicy zaatakowali budynek. W tym czasie Matthew Chao i jego ekipa związali personel, skonfiskowali całą stertę dokumentów, a nawet nakręcili wideo pokazujące, jak zrzucają na podłogę portrety byłych przywódców Korei Północnej.

Pół godziny później zamarli na dźwięk dzwonka przy wejściu. To była policja. Chao szybko ochłonął, wpiął w marynarkę znaczek z północnokoreańską flagą oraz podobiznami przodków Kim Dzong Una i podszedł do furtki.

Gdy ją otworzył, zobaczył trzech funkcjonariuszy madryckiej policji w okularach przeciwsłonecznych. Powiedzieli, że znaleziona na ulicy ranna kobieta wykrzyczała, że w ambasadzie dzieje się coś złego.

Chao przybrał wyniosły ton nieprzystępnego urzędnika i udając biurokratyczną nonszalancję, wyjaśnił im, że jeśli policja ma do załatwienia jakieś sprawy z ambasadą, musi się do niej zwrócić odpowiednimi kanałami. I zamknął drzwi.

Ale kto mógł wezwać policję? Napastnicy szukali luki w swoim doskonałym planie. W końcu zrozumieli, że musieli kogoś przeoczyć. Kogoś, kto się im wymknął, bo nie wiedzieli, że mieszka w ambasadzie.

Byli w niej już dwie godziny. Plan zakładał, że spędzą tu czterdzieści pięć minut.

Nagle zadzwonił telefon. Raz, drugi, trzeci.

Rozdzwoniły się wszystkie telefony. Intruzi próbowali nie zwracać na to uwagi i tłumaczyli Seo Yun-sukowi, że wszystko będzie dobrze, gdy wyruszą w dalszą drogę.

Ktokolwiek telefonował, robił to wyjątkowo uparcie, przez kilka godzin. Odgłosy dzwonków wypełniły przestronne pomieszczenia ambasady pozbawione mebli i dywanów. Minęło popołudnie, zaczął się wieczór. Zamaskowani mężczyźni wymieniali między sobą coraz bardziej zaniepokojone spojrzenia.

Siedzący na podłodze Koreańczycy z Północy wiercili się nerwowo. Czy dzwonki telefonów oznaczały nadciągającą pomoc, czy kolejne zagrożenie? Nie mogli jednak nic zobaczyć – wciąż mieli worki na głowach.

W piwnicy Seo Yun-suk, najwyższy urzędnik północnokoreańskiej ambasady, patrzył umęczonym spojrzeniem na człowieka, który przedstawił się jako Matthew Chao.

– Nie jesteś w stanie mnie ochronić, Adrianie – powiedział głosem pełnym rezygnacji. – Musicie odejść. Natychmiast.

1 Życie gotowe do użytku

> W obozie różnica między nimi [człowiekiem a zwierzęciem] zaciera się tak bardzo, że nawet rodzice, kiedy są głodni, potrafią kraść żywność swoim dzieciom, czego chyba nie robią zwierzęta.
>
> Gang Cheol-hwan, *Usta pełne kamieni*[1]

New Haven, Connecticut, wiosna 2002

Tom Nakanishi uczył się przy biurku w akademiku Uniwersytetu Yale, kiedy do pokoju wpadł jego współlokator z plikiem artykułów w dłoniach.

– Musisz to zobaczyć – niemal krzyknął do kolegi z drugiego roku, rozkładając je przed nim na blacie.

W artykułach opisany został szczegółowo świat obozów koncentracyjnych w Korei Północnej, gdzie więźniowie byli głodzeni, torturowani i zmuszani do katorżniczej pracy.

Współlokatorem był dziewiętnastoletni Adrian Hong Chang, chłopięcy, schludnie ubrany i stojący właśnie u progu wielkiej zmiany w życiu. W tamtym czasie deklarację, że zamierza się zmienić świat – ze studenckiego pokoju w stylizowanym na gotyk ceglanym budynku Berkeley College w Yale – mógł wygłosić niemal każdy z ich kolegów po wypaleniu wieczornego dżointa. Żaden z nich nie mógł jednak wiedzieć, że w przypadku Adriana narastająca obsesja na punkcie Korei Północnej stanie się iskrą, która doprowadzi go do konfrontacji z jednym z najbrutalniejszych reżimów świata na jego własnym terytorium i umożliwi ucieczkę setkom jego poddanych.

– Musimy coś z tym zrobić – powiedział Adrian Nakanishiemu, który jeszcze dwadzieścia lat później żywo pamiętał te słowa.

Adrian był zrozpaczony tym, że świat ignoruje ludobójstwo dokonywane w Korei Północnej. Jak na ironię, Amerykanie ronili wtedy łzy na filmach o II wojnie światowej, takich jak *Lista Schindlera* i *Szeregowiec Ryan*, nic sobie nie robiąc ze współczesnych obozów koncentracyjnych, pozasądowych zabójstw i masowego głodu.

Prawdę mówiąc, do tej pory Adrian wykazywał tylko przelotne zainteresowanie Koreą Północną, zarówno wtedy, gdy dorastał w Kalifornii, jak i później, w czasie studiów. W pierwszych latach XXI wieku mało uważny obserwator mógł mieć zaledwie mglistą świadomość, że Korea Północna, podobnie jak Kuba, była krainą, która utknęła w latach pięćdziesiątych. Ci uważniejsi mogli wiedzieć, że sytuacja ta była produktem ubocznym II wojny światowej i wojny koreańskiej, w wyniku których władzę w kraju objęła rodzinna dynastia reprezentowana ówcześnie przez nieco komiksową postać – Kim Dzong Ila, człowieka rozmiłowanego w filmach i brandy, władającego ostatnią na świecie przerażającą, a niekiedy też karykaturalną dyktaturą, pod względem manii wielkości porównywalnego jedynie ze złoczyńcami z filmów o Bondzie. Czytelnicy gazet mogli też coś słyszeć o wyniszczającym głodzie panującym w Korei w latach dziewięćdziesiątych, podczas którego z powodu katastrofalnych zaniedbań władzy zmarły miliony ludzi. Z całą pewnością natomiast słyszeli o posiadanej przez Kima broni atomowej.

Nagłówki były przerażające, ale w doniesieniach z Korei Północnej niewiele było szczegółów. Z prostego powodu – wielu tak zwanych ekspertów od tego kraju nigdy w nim nie było z powodu panującej tam obsesyjnej nieufności wobec cudzo-

ziemców. Dla zachodnich czytelników dziwaczna Korea Północna, doświadczająca tragedii typowych dla Trzeciego Świata, nie różniła się zbytnio od wielu innych miejsc na Ziemi, gdzie życie było o wiele cięższe niż w znanej im rzeczywistości.

Jednak w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, a potem na początku lat dwutysięcznych pojawiła się wzbierająca fala artykułów i raportów organizacji humanitarnych, a także książek zawierających ponure relacje uciekinierów opowiadających o życiu w tym „pustelniczym królestwie". Opisywali oni pokrywającą cały kraj sieć obozów koncentracyjnych przypominających te utworzone przez nazistów w Niemczech i Polsce. Korea Północna nie jest po prostu żyjącym w izolacji krajem rządzonym przez zadufanego w sobie dyktatora w rodzaju Aleksandra Łukaszenki na Białorusi czy Saddama Husajna w Iraku. Jest połączeniem krainy z dystopijnej powieści oraz metodycznej brutalności nazistowskiej partii Adolfa Hitlera. „Gorzej niż w *Roku 1984*" – tak w 2005 roku alarmował w nagłówku artykułu o Korei Północnej brytyjski pisarz Christopher Hitchens.

Fakty były szokujące, ale tylko nieliczni potrafili objąć umysłem pełen wachlarz okrucieństw tego reżimu. Adrian uznał, że jest to problem świadomości. Był przekonany, że kiedy ludzie zapoznają się, tak jak on sam, ze szczegółami i zobaczą zdjęcia, politycy z Waszyngtonu i innych stolic zaczną działać. Tak powiedział Nakanishiemu.

Tych dwóch przyjaciół dzielących w 2002 roku wspólny pokój różniło się od wcześniejszego, ironicznie nastawionego pokolenia X. Dziesięć lat wcześniej Francis Fukuyama wydał swoją problematyczną książkę *Koniec historii*, w której ogłosił, że po upadku Związku Radzieckiego na świecie zatryumfuje liberalna demokracja. Jednak zaledwie dwa tygodnie po tym,

jak Adrian i Nakanishi zaczęli studia w Yale, zobaczyli na własne oczy, że historia jednak się nie skończyła – islamistyczni dżihadyści wbili się uprowadzonymi samolotami w World Trade Center i Pentagon.

Zanim ci dwaj młodzi mężczyźni zjawili się w kampusie, gdzie mieli razem przeżyć 11 września, poznali się dzięki komunikatorowi internetowemu ICQ oraz stronie Xanga, platformie społecznościowej popularnej w tym okresie wśród Amerykanów pochodzących z Azji. Obaj dorastali w Kalifornii w azjatyckich rodzinach mieszkających w dzielnicach zdominowanych przez Latynosów. Obaj marzyli o tym, by wypowiedzieć się w sprawach polityki, tyle że nie wiedzieli dokładnie, co chcieliby powiedzieć. Nakanishi pochodził z Los Angeles, Adrian dorastał na przedmieściach San Diego.

Podczas internetowych czatów Adrian zaintrygował przyszłego kolegę z pokoju opowieściami o swoim dzieciństwie spędzonym w Tijuanie w Meksyku, skąd jego rodzina wyjechała, kiedy miał siedem lat. Był jedynakiem. Rodzice pochodzący z Korei Południowej byli chrześcijańskimi misjonarzami i prowadzili w Tijuanie sierociniec, którym zajmowali się nawet wtedy, gdy zamieszkali kilka kilometrów na północ od San Diego. Ojciec był mistrzem taekwondo, podobnie jak później Adrian, który na czacie występował jako „tkdmaster001”.

Jedna z sal treningowych taekwondo prowadzona przez ojca znajdowała się naprzeciwko liceum Bonita Vista, gdzie uczył się Adrian – wzorowy uczeń i redaktor szkolnej gazetki „The Crusader”. Po lekcjach wysportowany i promieniejący młodzieńczą energią chłopak często szedł do centrum handlowego, by poćwiczyć w sali położonej między zakładem fryzjerskim Fantastic Sams a salonem Massage Eden. Ponieważ trenował od dzieciństwa, miał już czarny pas.

Jego szkolni koledzy z tamtego czasu nie przypominają sobie, by mówił już wtedy o Korei Północnej, ale zapewniają, że był dumny ze swoich przodków. Zakładając konto na platformie Xanga, jako dzień urodzenia podał 1 marca 1919 roku, czyli datę masowych protestów Koreańczyków domagających się uwolnienia spod japońskiej władzy i kulturowej dominacji. Tego dnia zginęło ponad siedem i pół tysiąca ludzi. O wiele więcej było rannych i aresztowanych. Ten zryw był punktem zwrotnym w rozwoju świadomości narodowej Koreańczyków, którzy jednak wyzwolili się spod japońskiego panowania dopiero w 1945 roku – po zakończeniu II wojny światowej. Dziś w Korei tego dnia obchodzi się Dzień Ruchu Niepodległościowego.

Nakanishi był pod wielkim wrażeniem opowieści Adriana. Już wtedy, podczas tych nocnych czatów, zanim jeszcze spotkali się osobiście, wyczuł w nich przedsmak wielkiej przygody.

Po tym jak rodzina Adriana przeniosła się na północ od San Diego, on sam spędzał większość czasu w Chula Vista – tuż na południe od miasta. To wyjątkowo spokojne miejsce: palmy, galerie handlowe i plaża. Adrian miał dość wybuchową osobowość, ale czasem dopuszczał do głosu jej południowokalifornijską wersję i mówił do ludzi w wyluzowany, nazbyt poufały sposób, zwracając się do nich per „stary”.

„Nie ma to jak kawalerskie życie – napisał pewnego popołudnia w Yale na swoim blogu w serwisie Xanga. – Można siedzieć na kanapie i w spokoju oglądać wideo, jedząc prosto z puszki”.

Jego znajomi z tamtych czasów wspominają, że miał w sobie coś budzącego zaufanie, a do tego mnóstwo empatii. Opowiadają, że potrafił zauważyć kogoś, czyj głos był zagłuszany przez innych studentów, podejść do niego później i zapewnić, że słyszał to, co tamten chciał powiedzieć. Już w młodości spra-

wiał wrażenie człowieka tęskniącego za czymś większym niż beztroskie życie na przedmieściu, które było jego domem. W rozmowach z przyjaciółmi z liceum, którzy później odegrali ważną rolę w jego działalności konspiracyjnej, wyrażał się z podziwem o obrońcach praw człowieka, takich jak Martin Luther King.

Chociaż dorastał na południowokalifornijskiej prowincji wśród należących do klasy średniej pracowników biurowych, którzy dojeżdżali codziennie do pracy w San Diego, jego rodzice wpoili mu poczucie misji. Znaczna część pieniędzy, które ojciec zarabiał w swoich szkołach taekwondo, trafiała do Gloria World Mission, organizacji charytatywnej założonej przez rodziców Adriana w celu niesienia pomocy biednym lub pokrzywdzonym przez los mieszkańcom Tijuany. Często wybierali się całą rodziną do Meksyku – to było tylko pół godziny jazdy – by spędzić tam weekend lub uczestniczyć w świętach religijnych. Na samochodzie rodziców wymalowana była nazwa ich organizacji dobroczynnej.

Na stronie internetowej szkoły taekwondo jego ojca, która przedstawiała się jako „ramię finansowe" Gloria World Mission, znajdował się cytat z Pisma Świętego: „Dzieci, nie miłujmy słowem i językiem, ale czynem i prawdą!".

Adrian opowiadał później, że rodzicie wpoili mu obsesję na punkcie dobrych ocen, ale nie wyjaśnili, co ma ze sobą zrobić, kiedy już je dostanie. „Jestem normalnym gościem, chodziłem do szkoły publicznej – powiedział kiedyś koledze. – Radziłem sobie dobrze, ale kiedy poszedłem na uniwersytet, zacząłem się zastanawiać, czemu to ma służyć".

Jako nastolatek, a potem student pierwszego roku Adrian nie bardzo wiedział, co zamierza zrobić ze swoim życiem. Wkrótce po przybyciu do Yale zaczął chodzić razem z Nakanishim na spotkania Movimiento Estudiantil Chicano de Aztlán,

założonej w 1969 roku organizacji walczącej o sprawiedliwość społeczną, podczas których toczyła się ożywiona dyskusja nad amerykańską reakcją na 11 września. Jednym z założycieli Movimiento, a także powstałego znacznie wcześniej stowarzyszenia Asian American Students Association, był ojciec Nakanishiego.

Studenci rozmawiali o tym, jak potraktowano mieszkających w Stanach Zjednoczonych Japończyków i innych Amerykanów azjatyckiego pochodzenia po ataku na Pearl Harbor. Czy to samo spotka teraz amerykańskich muzułmanów? Adrian bardzo angażował się w te dyskusje.

Często okazywał zdecydowaną niechęć do ustalonego porządku świata, do popularnych opinii na wszelkie tematy i do bezpiecznych ścieżek proponowanych młodym poszukującym swojego miejsca w świecie. Miał poczucie, że wysiłki podejmowane przez otaczających go ludzi często są pozbawione sensu.

Na komunikatorze AOL występował jako „areadymadelife”[2]. Tak zatytułowane było opowiadanie koreańskiego pisarza Chae Man-sika z 1934 roku, w którym opisywał życie Koreańczyków z klasy średniej – ludzi wykształconych, lecz niepotrafiących odnaleźć się w świecie. Adrian czuł coś podobnego. Obserwując Koreańczyków i młodych Amerykanów koreańskiego pochodzenia, miał wrażenie, że dryfują bez żadnego głębszego celu.

Jako zuchwały student pierwszego roku opublikował w „The Korea Herald” liczący tysiąc sześćset słów artykuł, w którym ubolewał nad upadkiem wartości wśród swoich rodaków i wzywał Koreańczyków w kraju i za granicą do zaprzestania gonitwy za dobrami materialnymi oraz docenienia dziedzictwa Korei i historii jej walki z najeźdźcami. „Gdzie są tamci studenci, walczący w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych o demokrację i wolność? – pisał. – Gdzie są świadomi, wy-

kształceni młodzi ludzie pragnący wstrząsnąć tym światem? Zniknęli”.

Adrian opisał w artykule własne próby pogłębiania wiedzy o Korei i jej dziedzictwie, włącznie ze spontaniczną wizytą w koreańskiej misji przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, do której nie został wpuszczony. Był styczeń 2002 roku, a on – osiemnastolatek, jeden z najmłodszych studentów na roku – pisał długi artykuł o Korei, nie wspominając w zasadzie o Korei Północnej. Jedynym nawiązaniem do jej istnienia była wzmianka o „zjednoczeniu” kraju i o długiej południowokoreańskiej tradycji walki z komunizmem.

Adrian wciąż był bojownikiem poszukującym sprawy, o którą warto walczyć. I wtedy natknął się na książkę, która odmieniła jego życie.

2 Dzisiejszy świat wcale nie jest inny

Pjongjang, 1968

Gang Cheol-hwan urodził się w 1968 roku w Pjongjangu, stolicy Korei Północnej, ale jego rodzice wychowywali się głównie w Japonii. Począwszy od drugiej połowy lat pięćdziesiątych, Koreańczyków Zainichi – tak nazywano tych, którzy w poszukiwaniu lepszego życia wyjechali do Japonii w czasie japońskiej okupacji kraju lub pod koniec lat czterdziestych – karmiono propagandą przedstawiającą Koreę Północną jako socjalistyczny raj. Sam Kim Ir Sen zwracał się do nich, kusząc perspektywą życia z dostępem do solidnej edukacji i godnej pracy oraz statusem prawowitych obywateli. Akcję repatriacyjną popierały obie zainteresowane strony. Korea Północna, otrzymująca coraz mniejszą pomoc od innych państw socjalistycznych, próbowała zwiększyć swoją siłę roboczą, a japoński rząd chciał się pozbyć mniejszości etnicznych, niepasujących, jak uważano, do japońskiego społeczeństwa.

Obietnica komfortu materialnego i wezwanie do odbudowy tożsamości narodowej brzmiały kusząco dla tych członków koreańskiej diaspory, którzy w Japonii byli dyskryminowani i czuli, że nigdy nie będą sprawiedliwie traktowani w państwie dawnych okupantów. Ale dziadkowie Ganga ze strony ojca wyemigrowali do Japonii jako młodzi ludzie, założyli firmę prowadzącą sale do gry w pachinko i byli teraz zamożni – cieszyli się dostatnim życiem w najbardziej eleganckiej dzielnicy Kioto. Jednak jego babka, zagorzała socjalistka i szefowa działającej w mieście komórki powstałej niedawno koreańskiej Partii

Pracy, poczuła powołanie i namówiła męża na powrót do ojczyzny.

Rodzina Ganga przybyła do Korei Północnej na statku. Dziwiła się, że kraj jest tak biedny i gospodarczo zacofany. Podczas wojny koreańskiej jego terytorium było bombardowane przez amerykańskie lotnictwo, ale od tamtej pory minęło ponad dziesięć lat, a wciąż miało się wrażenie, że ludzie jeszcze nie powrócili tu do życia. Co gorsza, bariery biurokratyczne powodowały niedobory żywności. Wolność słowa nie istniała. Dawny partyzancki przywódca Kim Ir Sen wprowadził ideologię dżucze, której naczelnymi zasadami były samowystarczalność oraz polityczna jedność dająca państwu prawo do surowego kontrolowania wszystkich obszarów życia.

Przez kilka pierwszych lat w rodzinie nie rozmawiano o szokującej różnicy między rzeczywistością zastaną na miejscu a wizją roztaczaną przez północnokoreańskich wysłanników w Japonii. Dziadkowie Ganga za bardzo wstydzili się tego, że dali się tak łatwo oszukać.

Udało im się jednak osiągnąć wyższy niż przeciętny północnokoreański poziom życia, co zawdzięczali pracy dziadka na rządowych stanowiskach oraz prezentom przysyłanym przez krewnych z Japonii. Gang miał w swoim pokoju kilka akwariów świadczących o zamożności rodziny, do których potem nawiązał w tytule swojej książki.

Z czasem jednak ich polityczna pozycja podupadła i pewnego dnia 1977 roku, bez żadnego uprzedzenia, do mieszkania wkroczyła milicja i wszystkich aresztowała. Gang nigdy się nie dowiedział, za co dokładnie trafili do obozu, ale przypuszcza, że chodziło o jakąś wypowiedź dziadka, którą inny urzędnik uznał za oznakę zdrady. Cokolwiek to było, ich życie z dnia na dzień zmieniło się diametralnie. Milicja skonfiskowała wszystko, co posiadali, i przewiozła ich do obozu koncentracyjnego

2915 w Yodeok, gdzie spali na klepisku i pracowali w niebezpiecznej kopalni złota. Wielokrotnie widywali ludzi umierających z głodu lub wyczerpania. Po dziesięciu latach spędzonych w obozie i kolejnych pięciu, podczas których próbował przeżyć jako robotnik bez przydziału pracy, Gang zdołał uciec do Chin i dotrzeć do Seulu.

Po latach opowiedział swoją historię francuskiemu dziennikarzowi. W ten sposób powstała książka *Les aquariums de Pyongyang*[3]. Opublikowana najpierw we Francji w 2000 roku, dotarła do szerszej publiczności pod koniec roku 2001, gdy ukazał się jej angielski przekład, a potem stała się międzynarodowym bestsellerem przetłumaczonym na ponad dwadzieścia języków.

W Yale Adrian pochłonął ją w stanie wielkiego wzburzenia. Znalazł wreszcie sprawę tak oczywistą i wymagającą działania, że był gotów się jej poświęcić. Niedługo po przeczytaniu książki i po tym, jak rozłożył przed Tomem Nakanishim artykuły o Korei Północnej, zaczął się zastanawiać, w jaki sposób on, niespełna dwudziestoletni student, mógłby wywrzeć jakikolwiek wpływ na nierozwiązywalny, jak się zdawało, problem, jakim był wojowniczy, prowadzący samotne życie naród dysponujący coraz większym arsenałem broni atomowej.

W tym samym mniej więcej czasie, gdy Adrian po raz pierwszy zagłębił się w książki na temat Korei Północnej, jego przyszły znajomy David Hawk pisał ostatnie słowa przełomowego raportu za rok 2003, w którym ujawniał ogromny zakres naruszeń praw człowieka przez reżim Kimów.

Hawk zyskał reputację niezłomnego obrońcy praw człowieka, gdy udokumentował przerażające zbrodnie, jakich dopuścili się Czerwoni Khmerzy w Kambodży w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku. Wcześniej pracował jako

dyrektor generalny Amnesty International – za jego kadencji, w 1977 roku, organizacja ta otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla. W połowie lat dziewięćdziesiątych Hawk zajął się ludobójstwem w Rwandzie, a potem skupił się na północnokoreańskim systemie obozów pracy przymusowej. Ostatnie lata życia poświęcił w dużej części informowaniu świata o ucisku, jakiemu poddane są miliony mieszkańców tego kraju.

W październiku 2003 roku ukazał się liczący sto dwadzieścia stron raport *The Hidden Gulag. Exposing North Korea's Prison Camps* [Ukryty Gułag. Prawda o obozach w Korei Północnej] zawierający relacje więźniów oraz zdjęcia satelitarne dowodzące, że Korea Północna systematycznie więzi, torturuje i morduje swoich obywateli. Nie ma procesów ani wyroków sądowych. To partia decyduje, kto powinien zniknąć i trafić do obozu. Raport Hawka, który w następnych latach doczekał się czterech wydań, był przekonującym, dobrze udokumentowanym oskarżeniem reżimu Kima o masowe łamanie praw człowieka. Zawarte w nim obserwacje, wraz ze świadectwami ludzi takich jak Gang, zwróciły uwagę świata na funkcjonujący w Korei Północnej system więzień i tortur.

Wnioski z raportu pojawiły się w nagłówkach gazet całego świata. Szczególne zainteresowanie wzbudziły zdjęcia satelitarne, którymi Hawk posłużył się, by uwiarygodnić zarzuty.

W pracy nad raportem, opublikowanym przez amerykański Komitet Praw Człowieka w Korei Północnej (U.S. Committee for Human Rights in North Korea), pomocna okazała się rosnąca społeczność północnokoreańskich uciekinierów mieszkających w Seulu. W czasie głodu w latach dziewięćdziesiątych Kim Dzong Il otworzył granice dla międzynarodowych organizacji humanitarnych, które napływały do Korei Północnej, by nieść pomoc milionom jej mieszkańców. W kolejnych latach Koreańczycy z Północy uciekali z kraju przez chińską granicę.

Hawk oraz inni badacze i obrońcy praw człowieka docierali do tych ludzi, by dowiedzieć się, jak wyglądają życie codzienne i polityka w opresyjnym reżimie. Jednym z najbardziej wstrząsających tematów ich rozmów były obozy – niektórzy ze zbiegów opisywali je na podstawie własnych doświadczeń.

Hawk doszedł do wniosku, że nędza, w jakiej żyją mieszkańcy Korei Północnej, jest we współczesnym świecie zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju. Opisywane przez niego wcześniej ludobójstwa w Kambodży i Rwandzie były krwawymi kampaniami, w których chodziło o eliminację, z powodów politycznych lub religijnych, wielkiej liczby ludzi. W Kambodży mordy trwały trzy i pół roku, w Rwandzie – osiem bolesnych miesięcy.

W Korei Północnej natomiast systematyczne deptanie praw człowieka nasilało się od drugiej połowy lat pięćdziesiątych. Uciskowi poddawano kolejne pokolenia, a wielu więźniów pochodziło z niższych grup społecznych. W kraju tym funkcjonuje system *seongbun*, wprowadzony w 1957 roku po wielkiej czystce wymierzonej w elementy „neutralne" i „wrogie". Dzieli on obywateli na pięćdziesiąt jeden kategorii oraz trzy główne klasy w zależności od ich pochodzenia i postępowania przodków. W rezultacie powstało coś w rodzaju połączenia indyjskiego systemu kastowego ze stalinowskim podziałem społeczeństwa na grupy według lojalności politycznej. Awans jest niemal niemożliwy, ale upadek na samo dno bardzo łatwy – wystarczy wygłosić jedną nierozważną uwagę. Jeśli ktoś był dzieckiem posiadacza ziemskiego, kupca albo chrześcijańskiego duchownego lub współpracował z japońskim okupantem, miał zagwarantowany bardzo niski status społeczny.

Dziś w liczącej dwadzieścia pięć milionów mieszkańców Korei Północnej jedna czwarta społeczeństwa należy do najwyższej, „głównej" klasy lojalnych poddanych. Jej członkowie ko-

rzystają z życiowych szans i przywilejów, mają smartfony i mieszkają w apartamentowcach w dzielnicy nazywanej czasem żartobliwie Pjonghattanem. To ich widuje się zwykle na materiałach filmowych kręconych przez reporterów, którym pozwolono wjechać do kraju. Zachęca się ich, by zawierali związki małżeńskie w obrębie tej klasy, tak aby ich doskonała krew nie została skalana żadnymi domieszkami. To oni uczestniczą w rządach i obsadzają placówki dyplomatyczne w różnych krajach świata.

Mniej więcej połowa mieszkańców to klasa „chwiejna". Jej członkowie służą klasie „głównej" jako pracownicy techniczni i robotnicy. Poziom ich życia jest porównywalny do sytuacji najlepiej usytuowanych członków najbiedniejszych warstw społeczeństw Zachodu. Zarabiają tyle, ile trzeba, by przeżyć, czasem tylko zdobywając jakieś nadwyżki. Wolno im mieszkać w Pjongjangu, gdzie pracują na podrzędnych stanowiskach.

Kolejna grupa, czyli ostatnia jedna czwarta społeczeństwa, to klasa „wrogów". Jej członkowie pracują do upadłego, zarabiając sumy z trudem wystarczające na przeżycie. Wielu z nich to potomkowie domniemanych kolaborantów z czasów japońskiej okupacji albo osób, które w jakiś sposób sprzeciwiły się Kim Ir Senowi. Prawie nikt ich nie widuje. Nawet żyjącym w Pjongjangu dyplomatom rzadko pozwala się na opuszczenie miasta i na swobodne podróżowanie po najbiedniejszych regionach kraju. Z raportów organizacji broniących praw człowieka wynika, że w domach rodzin należących do „wrogiej" klasy często nie ma elektryczności ani bieżącej wody. Ludzie ci żyją jak średniowieczni chłopi – niemal wszystkie owoce swojej pracy oddają potężnemu władcy jako podatek, nie otrzymując w zamian żadnych przysług ani praw. Z tej klasy wywodzi się większość ze stu, a może i stu dwudziestu tysięcy osób osadzonych w obozach.

Rozmawiając z uciekinierami z Korei Północnej, Hawk stwierdził, że nie dochodziło tam do ludobójstwa. Był to raczej sterowany przez państwo system unicestwiania ludzkich dusz. Dla tych, których zamknięto w obozach, najprostszą drogą ucieczki była śmierć. Samobójstwa były na porządku dziennym. Strażnicy zmuszali więźniów do coraz cięższej pracy przy coraz mniejszych porcjach żywności, aż do momentu, gdy ich ciała po prostu przestawały działać. Wycieńczeni, umierali z głodu – z wszelkiej godności zostali odarci w chwili przybycia do obozu. Byli idealnymi maszynami do wydzierania węgla spod ziemi, pracy przy żniwach i wytwarzania produktów sprzedawanych potem w Chinach za tak potrzebną reżimowi twardą walutę.

Ogromna większość obywateli była w rzeczywistości należącymi do państwa i pozbawionymi wszelkich praw niewolnikami. Ich jedynym zadaniem miało być budowanie potęgi i umacnianie władzy reżimu Kimów. Ci uprzywilejowani mieli lepszy dostęp do żywności i innych dóbr, ale żyli w nieustannym strachu przed utratą wszystkiego.

Podczas wywiadu Hawk powiedział mi, że najbardziej poruszyła go historia Kim Hye-suk, kobiety, którą zamknięto w wieku trzynastu lat w obozie numer 18 (znanym jako Bukchang), gdzie spędziła dwadzieścia siedem lat. Większość jej krewnych trafiła tam cztery lata wcześniej. Wszystko, jak się zdaje, dlatego, że jej dziadek ze strony ojca uciekł do Korei Południowej. Oni wszyscy byli „winni współuczestnictwa”, czyli *yeonjwaje*. Tak działał system zbiorowej odpowiedzialności za przestępstwo.

Jako nastolatka Kim Hye-suk chodziła czasem do szkoły, ale głównie pracowała w dziecięcej brygadzie robotniczej i spędzała większość dnia na ścinaniu drzew i zbieraniu drewna. Niedługo później przeniesiono ją do kopalni węgla Hongje,

gdzie mężczyźni i chłopcy wyrąbywali węgiel, a kobiety i dziewczęta wynosiły go w wiadrach, taczkach i wózkach, które musiały wypchnąć na powierzchnię.

Podczas pobytu w obozie straciła ojca, matkę i syna. Przez ćwierć wieku spała na podłodze w jednym pokoju z żyjącymi wciąż członkami rodziny. Musieli dzielić się jednym kocem. Żywili się rzadką kaszą kukurydzianą, do której dodawali trawę i liście zbierane wszędzie, gdzie się dało. Gdy w końcu w 2001 roku mogli wyjść na wolność, jej brat i siostra mieli do tego stopnia wyprane mózgi, że chcieli zostać w obozie.

Jej życie na wolności było tak trudne, że próbowała wrócić do Bukchangu, ale odmówiono jej wstępu. Uciekła więc do Chin i dotarła do Korei Południowej, gdzie spotkała zagranicznych obrońców praw człowieka, w tym Hawka, którym opowiedziała swoją makabryczną historię.

Jedną z osób, z którymi Kim Hye-suk rozmawiała w 2013 roku, była ówczesna wysoka komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw praw człowieka Navanethem Pillay. Poruszona jej opowieścią i historiami innych uciekinierów, Pillay podjęła przełomową decyzję – powołała Komisję Śledczą Narodów Zjednoczonych do badania Praw Człowieka w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej.

Wprawdzie raport Hawka z 2003 roku ujawnił przerażające naruszenia praw człowieka w tym kraju, ale wiele państw interesowało się nim głównie w kontekście jego arsenału nuklearnego.

Źródłem atomowych ambicji Korei Północnej jest filozofia polityczna jej pierwszego przywódcy, Kim Ir Sena, który przez całe dziesięciolecia kształtował ultraparanoiczny system polityczny łączący w sobie sowiecki typ komunizmu z dżucze, czyli filozofią całkowitej samowystarczalności. Podstawowy element tego systemu miał charakter nieco mitologiczny i paso-

wał bardziej do starożytnej Persji niż do współczesnej polityki. Była to wiara, że rodzina Kimów to istoty boskie, obdarzone nadludzkimi mocami, więc jako jedyne są predystynowane do rządzenia krajem.

Według najbardziej wiarygodnych źródeł pierwszy rzekomo boski przywódca urodził się w 1912 roku w biednej wiosce na północy Korei. W latach dwudziestych uciekł spod władzy okupantów, którzy napadli na Koreę i przyłączyli ją do Cesarstwa Wielkiej Japonii. Wraz z rodzicami przedostał się do Mandżurii, ówczesnej chińskiej prowincji, gdzie dołączył do niewielkiej antyjapońskiej grupy oporu. Oficjalny północnokoreański mit głosi, że młody Kim był założycielem Koreańskiej Armii Ludowo-Rewolucyjnej, poprzedniczki powstałej w 1932 roku Koreańskiej Armii Ludowej. Odkładając na bok tę propagandową przesadę, trzeba jednak przyznać, że do połowy lat trzydziestych Kim faktycznie walczył w koreańskiej partyzantce.

W czerwcu 1937 roku grupa około stu pięćdziesięciu bojowników dowodzonych prawdopodobnie przez dwudziestopięcioletniego Kima zaatakowała okupowane przez Japończyków budynki publiczne, w tym komisariat policji i urzędy w Pochonbo, mieście położonym przy chińskiej granicy. Kim zyskał pozycję, dzięki której został później kapitanem Armii Czerwonej i dowódcą batalionu koreańskiego. Ponieważ znał rosyjski i był dość posłuszny, zwrócił na siebie uwagę Stalina. Ten uznał, że Kim nadaje się na przywódcę reprezentującego interesy Związku Radzieckiego, który w sierpniu 1945 roku, niedługo przed kapitulacją Japonii, wypowiedział jej wojnę. Kim potrafił po mistrzowsku budować swoją pozycję polityczną, nie robiąc przy tym wrażenia człowieka pragnącego władzy. Dziś, ponad siedemdziesiąt lat po tym, jak został przywódcą Korei Północnej, historia jego życia jest tak wymieszana z pro-

pagandą, że odróżnienie w niej prawdy od mitu jest ogromnym wyzwaniem.

Wraz z kapitulacją Japonii dobiegła końca trzydziestopięcioletnia okupacja Korei. Zanim jednak Koreańczycy zdążyli nacieszyć się wolnością, ich kraj został arbitralnie podzielony wzdłuż trzydziestego ósmego równoleżnika. Część południowa znalazła się pod kontrolą Stanów Zjednoczonych, a północna przypadła Związkowi Radzieckiemu. Decyzja o podziale kraju, podobnie jak wiele innych decyzji dotyczących newralgicznych punktów na mapie świata, które zapadły po II wojnie światowej, została podjęta na Zachodzie bez pełnej świadomości tego, jak poważne mogą być jej konsekwencje. Pomysł na dwie Koree powstał wieczorem 10 sierpnia 1945 roku w położonym obok Białego Domu budynku, gdzie zebrali się amerykańscy oficjele, by zastanowić się nad kolejnymi krokami w obliczu coraz bardziej prawdopodobnej kapitulacji Japonii.

Dwóm urzędnikom średniego szczebla, Charlesowi H. Bonesteelowi i przyszłemu sekretarzowi stanu Deanowi Ruskowi, zlecono opracowanie projektu podziału kraju między Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, który na konferencji w Jałcie w lutym tego roku zgodził się na plan objęcia Korei nadzorem czterech wielkich mocarstw. Nie zastanawiając się wiele, panowie ci sięgnęli po wydaną w 1942 roku przez „National Geographic" mapę *Azja i terytoria sąsiednie* i wybrali trzydziesty ósmy równoleżnik, ponieważ dzielił kraj na dwie prawie równe części. Stolica, czyli Seul, i rozmieszczone wokół niego obozy jenieckie z czasów wojny znalazły się w strefie amerykańskiej. Stalin, który nieszczególnie interesował się Koreą, zgodził się na tę propozycję i rozkazał swoim wojskom, by zatrzymały się na uzgodnionej linii.

Idąc za radą okrutnego szefa swojej tajnej policji Ławrientija Berii, Stalin wybrał na administracyjnego zarządcę kraju,

nazwanego przez Związek Radziecki Koreańską Republiką Ludowo-Demokratyczną na Północy, posłusznego Kim Ir Sena.

W tym czasie Stany Zjednoczone i Związek Radziecki dzieliły między siebie terytoria w różnych miejscach świata, w tym w Berlinie. Podział Korei doprowadził jednak do powstania jednego z niewielu tak trwałych i groźnych punktów zapalnych na świecie. Koreańczycy mieszkający po obu stronach granicy nigdy jej nie zaakceptowali, podobnie jak koncepcji istnienia dwóch niepodległych państw na Półwyspie Koreańskim.

W roku 1950 napięcie sięgnęło zenitu. Pierwszy ruch wykonała Koreańska Armia Ludowa Kim Ir Sena, która przekroczyła trzydziesty ósmy równoleżnik tak nagle i gwałtownie, że przejęła kontrolę nad niemal całym terytorium kraju. Jednak po dwóch miesiącach Amerykanie, działający przy wsparciu ONZ, zdołali zmobilizować siły wystarczające do odwrócenia sytuacji. Zmienne koleje wojny sprawiły, że Seul był wyzwalany cztery razy.

Wojska Korei Północnej zostały zepchnięte do granicy, której po obu stronach pilnowały dwa mocarstwa, i nastąpił impas. Ostateczne zawieszenie broni z 1953 roku zostało wymuszone przez trwające dwa lata amerykańskie ataki z powietrza. Na Koreę Północną spadło sześćset trzydzieści pięć tysięcy ton bomb, w tym napalmu, czyli prawie czterdzieści procent tego, co Stany Zjednoczone zrzuciły w Europie podczas całej II wojny światowej.

W tej sytuacji Kim Ir Sen, otoczony ze wszystkich stron przez gotowe do interwencji siły światowych mocarstw, uświadomił sobie, jak krucha jest jego władza, i coraz bardziej pogrążał się w swojej paranoi. Wprawdzie ideologia dżucze ma korzenie marksistowskie, ale z czasem pojawiła się w niej teza, że Korea Północna różni się od innych państw socjalistycznych

i że musi się za wszelką cenę obronić. Jest więc ona jedynym „socjalistycznym” państwem na świecie rządzonym przez potomków jej założyciela, co z punktu widzenia marksizmu jest absolutną herezją.

W latach sześćdziesiątych, dzięki pomocy Związku Radzieckiego i Chin oraz kontroli gospodarki, Korea Północna szybko się rozwijała. Jednak w latach osiemdziesiątych owa odgórna kontrola doprowadziła kraj do stagnacji, podczas gdy Korea Południowa, dzięki rządowemu wsparciu dla najważniejszych branż – metalurgicznej, stoczniowej, chemicznej i elektronicznej – przeżywała gwałtowny wzrost gospodarczy. Związek Radziecki upadł w 1991 roku, a trzy lata później zmarł Kim Ir Sen, co doprowadziło do nasilenia problemów ekonomicznych Korei Północnej i trwającego cztery lata głodu, w wyniku którego zmarły setki tysięcy, jeśli nie miliony jej mieszkańców.

Propaganda porównywała ten okres do trzeciego „forsownego marszu”, jak nazywano drogę dowodzonego przez Kim Ir Sena oddziału partyzantów, którzy pod koniec lat trzydziestych wędrowali rzekomo przez Mandżurię, cierpiąc z powodu głodu i zimna. Mieszkańcy komunistycznej Korei mieli, tak jak żołnierze Kim Ir Sena, poświęcić się i zjednoczyć, by stawić czoła przeciwnościom losu. Nie powiedziano im jednak – bo tak było wygodniej – że głód był spowodowany nieudolnością rządu.

Izolacja, w jakiej na własne życzenie żyła Korea Północna, sprawiła, że światowa opinia publiczna nie zdawała sobie w pełni sprawy ze skali katastrofy humanitarnej w tym kraju. Koreę Północną przez niemal cały czas jej istnienia określano mianem „pustelniczego królestwa". Dziś mało kto o tym pamięta, ale termin ten powstał w czasach dynastii Joseon panującej w Korei od 1392 do 1910 roku. Po powtarzających się napaściach Chin i Japonii należący do niej władcy przyjęli skrajnie izolacjonistyczną politykę, która przyniosła krajowi trwający ponad dwieście lat okres pokoju, rozkwitu kultury i względnej stabilności. Jednak w połowie XIX wieku zakończył się on, podobnie jak w Chinach, w wyniku konfliktów wewnętrznych i obcych interwencji.

W 1888 roku w dzienniku „The New York Times" pojawił się artykuł *Trouble in the Hermit Kingdom* [Kłopoty w pustelniczym królestwie], w którym donoszono, że w Korei ludzie wyłapują przedstawicieli władzy i ścinają im głowy. Gazeta określała kraj mianem „pustelniczego królestwa" jeszcze w XX wieku i dopiero po II wojnie światowej, gdy Korea Południowa stała się jednoznacznie kapitalistycznym, otwartym społeczeństwem, termin ten zaczął być stosowany tylko w odniesieniu do Korei Północnej.

Kim Ir Sen, który nie zapomniał, że w czasie wojny koreańskiej amerykański generał domagał się użycia wobec niej bomby atomowej, uznał, że właśnie taka broń uchroni Koreę Północną przed obcą ingerencją i potencjalnymi najeźdźcami. Na początku lat sześćdziesiątych radzieccy inżynierowie zbudowali Ośrodek Badań Jądrowych w Yongbyeon, ale nawet owi sojusznicy Kima mieli obawy przed udzielaniem mu dalszej pomocy na drodze do skonstruowania bomby atomowej.

Wywiady państw Zachodu doszły później do wniosku, że w latach dziewięćdziesiątych w realizacji programu atomowego Korei Północnej pomagał Pakistan. Dziś uważa się, że kluczową rolę w zapoznaniu inżynierów Kim Ir Sena z technologią produkcji broni jądrowej odegrał Pakistańczyk Abdul Qadeer Khan, który wcześniej skonstruował ją dla swojego własnego kraju – szczegóły tej współpracy opisał w swoich wspomnieniach były prezydent Pakistanu.

W pierwszych latach XXI wieku polityka Stanów Zjednoczonych wobec Półwyspu Koreańskiego skupiała się głównie na nakłanianiu Korei Północnej do rezygnacji z programu atomowego. Ale sankcje i ostrzeżenia nie wystarczyły do poskromienia nuklearnych ambicji Kimów. W październiku 2006 roku wykryto, że w położonej na samej północy kraju prowincji doszło do podziemnej eksplozji atomowej. Państwowa agencja informacyjna oświadczyła, że Korea Północna przeprowadziła udaną próbę jądrową. W kolejnych latach przeprowadzała dalsze próby i gromadziła zapasy uranu i plutonu.

W tym czasie, gdy uwaga świata zwrócona była raczej na rozbudowę arsenału nuklearnego Korei Północnej niż na tamtejsze obozy koncentracyjne, jedną z niewielu grup stanowczo domagających się przestrzegania praw człowieka w tym kraju byli koreańscy chrześcijanie, zwłaszcza ci mieszkający w Ameryce. W miejscach takich jak All Nations Church w Los Angeles czy w San Diego, rodzinnym mieście Adriana Honga, natchnieni pastorzy prowadzili głośne modlitwy w tej intencji i zachęcali uciekinierów do opowiadania swoich historii.

Dla nich sprawa Korei Północnej była jasna. Tam cierpieli ludzie, a ich świętym obowiązkiem było działanie na rzecz ich wyzwolenia.

Na znajomych Adrian Hong robił wrażenie człowieka zainteresowanego przede wszystkim sprawiedliwością społeczną i wolnością polityczną. Jednak jego przyjaciele rozumieli, że źródłem jego światopoglądu są głębokie przekonania religijne. Kiedy był w Yale, sugerował w rozmowach, że tak jak każdy inny student potrafi się wyluzować, ale stronił od alkoholu i narkotyków – nie osądzając jednak tych, którzy robili inaczej.

Czasem do późnego wieczora prowadził ze swoim kolegą Cole'em Carneseccą – również Kalifornijczykiem i chrześcijaninem – długie rozmowy na temat biblijnego wezwania do uczestnictwa w działalności charytatywnej. Carnesecca był jednym z organizatorów All-Campus Worship, comiesięcznych nabożeństw, w których uczestniczyli członkowie chrześcijańskich grup z całego uniwersytetu.

W jednej z rozmów zastanawiali się nad tym, czy wspólnoty religijne mogłyby zmobilizować się na tyle, by stworzyć szeroki ruch społeczny, tak jak w czasie walki o prawa obywatelskie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku. Carnesecca zapamiętał, że dla Adriana wiara i aktywizm społeczny stanowiły dwa połączone ze sobą aspekty jego politycznej tożsamości.

Kiedy Adrian wrócił do Yale na jesienny semestr 2003 roku, był już na drodze do podjęcia działalności na rzecz ofiar północnokoreańskiego reżimu. Przestał interesować się wykładami i poświęcał czas przede wszystkim na zdobywanie wiedzy o regionie i jego historii. Zastanawiał się, jak przejść od poczucia misji do praktycznego działania. Zaczął jeździć wzdłuż całego Wschodniego Wybrzeża i odwiedzać rozmaite uczelnie, by nawiązać kontakty ze stowarzyszeniami studiujących tam Koreańczyków. Z czasem intensywność tych podróży nasiliła się tak bardzo, że jego koledzy dziwili się, gdy wracał na chwilę do Yale.

Adrian pożerał książki o Korei Północnej, a ponieważ nigdy nie był nieśmiały, nie miał skrupułów, by dzwonić bez uprzedzenia do ekspertów od tego kraju. Pewnego dnia zadzwonił do Kongdan Oh z Instytutu Analiz Obronnych, pełnej życzliwości uczonej, która przekazywała amerykańskim władzom raporty na temat Korei Północnej.

Oh, jak zawsze gdy miała do czynienia z kimś zainteresowanym kwestiami drogimi jej sercu, wygłosiła zaimprowizowany wykład na temat historii Korei i złożonych problemów zagrażających pokojowi. Jednym z nich była amerykańska obsesja na punkcie broni atomowej, która jej zdaniem utrwalała jedynie północnokoreańskie *status quo* oraz izolacjonistyczną politykę tego kraju.

Broń atomowa zapewniała Korei Północnej bezpieczeństwo w świecie zdominowanym przez Zachód, dlaczego więc miałaby ona rezygnować z asa w rękawie? Oh powiedziała Adrianowi, że żadna wymiana handlowa ani pomoc nie skłoni Kima do zaryzykowania utraty władzy, a negocjacje do niczego nie doprowadzą. Jej słowa zrobiły na nim wielkie wrażenie.

Adrian miał chłopięce rysy twarzy i był o rok młodszy od swoich kolegów ze studiów, dlatego gdy wybierał się do innych uczelni, zakładał garnitur, by w oczach koreańskich studentów wyglądać poważniej i na nieco starszego. Rozmawiał z nimi coraz swobodniej i udawało mu się czasem namówić osoby potrafiące tańczyć i śpiewać po koreańsku do występów podczas spotkań, na których opowiadał o sytuacji w Korei Północnej.

Jego wizja nabierała rozmachu. Gdy wracał do Kalifornii, gdzie mieszkali jego rodzice i najlepszy przyjaciel z dzieciństwa, badał możliwość stworzenia nowej, ogólnokrajowej organizacji studenckiej. Podczas jednej z tych podróży spotkał się z innym amerykańskim Koreańczykiem, starszym od niego o osiem lat Paulem Kimem, znanym jako PK. PK był stand-upe-

rem i jednym z twórców Kollaboration, czyli konkursu, w którym współzawodniczą ze sobą amerykańscy artyści koreańskiego pochodzenia. Kiedy przyjechał z jakiejś okazji do Yale, ci dwaj młodzi ludzie odkryli, że łączy ich wspólne zainteresowanie amerykańską polityką wobec państw Azji. Obaj byli też aktywnymi użytkownikami portalu Xanga. W Kalifornii Adrian opowiadał PK o planie stworzenia ogólnokrajowej organizacji studenckiej.

Zastanawiali się nad jej nazwą. PK opowiadał później dziennikarzowi „The New Yorkera", że jeden z nich spojrzał wtedy na nazwę koreańskiego baru Blink, w którym siedzieli – na pierwszym piętrze centrum handlowego przy Wilshire Boulevard w koreańskiej dzielnicy Los Angeles.

Tak wpadli na pomysł skrótu nazwy organizacji: LiNK, czyli Liberation in North Korea (Wyzwolenie Korei Północnej). Brzmiała nieco agresywnie, ale dobrze. Później Adrian dał się przekonać innym studentom do łagodniejszej wersji, Liberty in North Korea (Wolność w Korei Północnej), chociaż osobiście wolał tę pierwszą.

Powstanie LiNK-u ogłoszono podczas Korean American Students Conference (KASCON) w Yale w marcu 2004 roku. W konferencji uczestniczyły setki studentów z całego kraju. Adrian był członkiem komitetu organizacyjnego i zajmował się planowaniem wystąpień gości zaproszonych na kilkudniowe obrady.

Przyjechał na nią również PK z grupą prominentnych Amerykanów koreańskiego pochodzenia. Dla wielu studentów coroczne spotkania KASCON były ważnymi wydarzeniami pomagającymi im w młodzieńczym poszukiwaniu własnej tożsamości. Zaczynały się od wywieszenia koreańskiej flagi zjednoczenia przedstawiającej błękitny kształt Półwyspu Koreańskiego, symbolizującej jedność zamieszkującego go narodu. Wielu po-

chodzącym z Azji młodym Amerykanom konferencje te dodawały sił i ich jednoczyły. Jeden ze znajomych Adriana, który w nich uczestniczył, powiedział: „One nas wciągały i czasem stawały się ważniejsze niż studia i kariera. Myślę, że Hong też tak je odbierał, ale on nie zapominał o ich przesłaniu, tak jak zrobiła to większość z nas".

Wielu z niemal ośmiuset uczestników konferencji KASCON w 2004 roku zachwyciło się pomysłem powołania organizacji LiNK. Z jednej strony zainspirowali ich mówcy opowiadający historie uciekinierów z Korei Północnej – z drugiej zaś przeraził pokaz nieukończonego filmu dokumentalnego pokazującego niedożywione dzieci szukające resztek jedzenia w czasie klęski głodu.

Były to przerażające historie dotyczące ich przodków, więc wielu poczuło potrzebę działania. Gdy konferencja dobiegła końca, Adrian miał dość zgłoszeń, by stworzyć dziesiątki komórek LiNK-u na różnych amerykańskich uczelniach. Poczuł wiatr w żaglach. Coraz więcej osób, przynajmniej wśród inteligencji, dowiadywało się o łamaniu praw człowieka w Korei Północnej.

Na miesiąc przed konferencją i tuż przed otrzymaniem Nagrody Pulitzera za książkę o radzieckim gułagu Anne Applebaum napisała dla „The Washington Post" zjadliwy artykuł wstępny o Korei Północnej, w którym nawiązywała do sześćdziesiątej rocznicy wyzwolenia Auschwitz.

> Zadowoleni z siebie kręcimy głowami, bo jesteśmy pewni, że gdybyśmy wtedy tam byli, wyzwolenie nadeszłoby szybciej. Nie zauważamy jednak, że dzisiejszy świat wcale nie jest inny. – Takimi słowami poprzedziła opis nowego, wstrząsającego filmu dokumentalnego o Korei Północnej. – Za kilkadziesiąt lat okaże się, że już w 2004 roku wiadomo było całkiem sporo o obozach w tym kraju. Okaże się, że z informacji zebranych przez grupy obrońców praw

człowieka, południowokoreańskie kościoły, ekscentrycznych dziennikarzy i szpiegów wyłaniał się dość dokładny obraz reżimu zła. Okaże się również, że coś można było w tej sprawie zrobić, że mógł coś zrobić rząd Korei Południowej, że Stany Zjednoczone mogły otworzyć nowe kanały dyplomatyczne, że Chiny mogły wywrzeć jakąś presję.

Początki działalności LiNK-u były równie chaotyczne, co emocjonujące. Adrian sprawnie prezentował ogólne cele organizacji, natomiast praktycznymi aspektami jej funkcjonowania, takimi jak docieranie do opinii publicznej i pozyskiwanie funduszy, zajmowali się członkowie grup działających na różnych kampusach, którzy mieli większy talent organizacyjny. Jednym z nich był Cole Carnesecca.

W krajowym zarządzie LiNK-u, gdzie podejmowano decyzje programowe, znaleźli się Adrian oraz Hannah Song, młoda Amerykanka koreańskiego pochodzenia z New Jersey, która później stała się najważniejszą postacią w organizacji w całym okresie jej istnienia. Song studiowała na Uniwersytecie Nowojorskim i była pod wielkim wrażeniem książki *Usta pełne kamieni*. Kilka miesięcy po konferencji KASCON zadeklarowała chęć włączenia się w działalność LiNK-u i wspólnie z Adrianem opracowywała program dla powstających w całym kraju oddziałów.

Jej rodzina, podobnie jak wiele koreańskich rodzin mieszkających w Stanach Zjednoczonych, miała własną tragiczną historię. Jej babka uciekła z Pjongjangu tuż przed wybuchem wojny koreańskiej, w nadziei, że szybko dołączy do męża i dwójki dzieci. Wojna jednak ciągnęła się i przerodziła w długotrwały impas, a babka straciła wszelki kontakt z mężem. Zrozpaczona zamieszkała w Seulu, gdzie po jakimś czasie założyła nową rodzinę.

Jedną z pierwszych akcji podjętych przez LiNK były organizowane w jej oddziałach pokazy dokumentalnego filmu *Pociąg do Seulu* z 2004 roku. Film opowiadał o wolontariuszach pomagających Koreańczykom z Północy w ucieczkach wbrew wszelkim przeciwnościom losu – podobnie jak kiedyś w Stanach Zjednoczonych robili to ochotnicy z Underground Railroad[4] – oraz o dramatach uciekinierów, którym odmawiano azylu.

W filmie pokazano historię rodziny Han-mi, zwanej grupą MoFA Seven, która w 2002 roku próbowała przedostać się do japońskiego konsulatu w chińskim mieście Shenyang. Dwóch mężczyzn wbiegło do środka, ale na ulicy zostały dwie kobiety z trzyletnim dzieckiem. Chińscy policjanci pilnujący wejścia przewrócili je na ziemię. Mężczyzn również wydano Chińczykom, więc cała piątka znalazła się w ich rękach. Jednak dzięki fali międzynarodowego zainteresowania sprawą nie odesłano ich do Korei Północnej – jak to zwykle robią Chiny, które nazywają uciekinierów „migrantami ekonomicznymi" – lecz pozwolono im wyjechać do Seulu.

Niedługo po konferencji KASCON Carnesecca zauważył, że Adrian coraz częściej opuszcza zajęcia w Yale. Zaniepokojony postanowił przemówić mu do rozsądku i nakłonić do skupienia się na nauce. Adrian chciał zrezygnować ze studiów, ale Carnesecce udało się go przekonać, by wytrwał i je skończył. W tym czasie Adrian odwiedzał trzy kampusy tygodniowo – piątki, soboty i niedziele poświęcał na zakładanie nowych oddziałów LiNK-u. Już wtedy jednak miał dręczące poczucie, że ta gorączkowa działalność organizacyjna nie wystarcza.

W XXI wieku świadomość społeczeństwa jest kształtowana przez zalew informacji – każda z nich ma wielkość pojedynczego kąska. Co tydzień ludzie dowiadują się o nowym kryzysie, nieszczęściu, katastrofie humanitarnej i nie mają dość cza-

su, by ocenić ich znaczenie. Przyjaciele Adriana zauważyli, że czasem pogrąża się on całkowicie we własnych myślach, a potem wybudza się z nich, by przedstawić nowy pomysł lub rozwiązanie.

Jeden z tych pomysłów zapoczątkował jego nową obsesję – postanowił pójść w ślady bohaterów *Pociągu do Seulu* i pomagać w ucieczkach mieszkańcom Korei Północnej. Nigdy jednak nie był w Chinach i nie miał wiedzy ani doświadczenia koniecznych do organizacji tak ryzykownych przedsięwzięć. Musiał więc wybrać się na misję rozpoznawczą.

„Nie mogę mówić o rzeczach, których nie widziałem" – powiedział jednemu z przyjaciół.

3 Przez rzekę Tuman

Ku Tobie, Ojcze, wyciągam ramiona,
Nigdzie pomocy innej nie znajduję;
Jeśli się wzdrygniesz i cofniesz przede mną,
Gdzież powędruję?

Ulubiony hymn religijny Josepha Kima, uciekiniera z Korei Północnej[5]

Dandong, Chiny, listopad 2004

We wrześniu 2004 roku wśród członków LiNK-u zaczęło krążyć dziwne ogłoszenie w sprawie pracy:

> Jeśli ktokolwiek z was (lub ktoś, kogo znacie) jest gotów na to, by spędzić co najmniej rok jako wolontariusz w pewnym kraju we wschodniej Azji (nie jest to Korea Południowa, Japonia ani Chiny), niech wyśle do nas e-mail.
>
> Uwaga: warunki pracy będą pewnie koszmarne, będziesz pracować *pro bono* i nie będzie przyjemnie. Absolutnie konieczna jest biegła znajomość koreańskiego i podstawowa znajomość chińskiego. [...] Prosimy tylko o bardzo, bardzo poważne oferty.

Autorem listu był Adrian Hong. Wprawdzie nie skończył jeszcze studiów na Yale, ale jego ambicje sięgały już znacznie dalej niż ograniczona z natury rzeczy działalność na uczelni.

Pod koniec roku dwudziestoletni już Adrian znalazł się z pierwszą grupą ochotników LiNK-u w Chinach. Przylecieli do Pekinu, a następnie, z plecakami na ramionach i czapkami bejsbolowymi na głowach, dotarli do granicy z Koreą Północną. Celem tej wyprawy było tak naprawdę zebranie informacji, ale możliwość stanięcia nad toczącymi się powoli brązowy-

mi wodami rzeki Tuman i zobaczenia na własne oczy terytorium kraju, który zawładnął myślami i wyobraźnią Adriana, była niezwykle ekscytująca. Na lotnisku i pasie przygranicznym widział w pełni uzbrojonych chińskich żołnierzy. To się dzieje naprawdę – pomyślał.

Pozostałych w kraju kolegów z LiNK-u informował, że kilka razy zrobiło się niebezpiecznie. „To wygląda znacznie gorzej, niż nam się wydawało”, napisał w listopadzie.

Dzięki rosnącej sieci kontaktów jego grupie udało się spotkać z działaczami i przywódcami religijnymi, którzy organizowali w Chinach tajne kryjówki dla uciekinierów. Dla tych weteranów wspólnej sprawy Adrian i jego młodzi towarzysze oznaczali dopływ świeżej energii do misji pomocy mieszkańcom Korei Północnej, a także nowe źródło finansowania.

Adrian i jego koledzy spędzili wiele czasu na rozmowach z uciekinierami, spisywaniu ich opowieści i sondowaniu gotowości do podjęcia ryzyka, jakim była próba przedostania się do innego kraju. Jedyną inną opcją, jaka im pozostawała, było życie w ukryciu i w ciągłej obawie przez schwytaniem i odesłaniem do Korei Północnej. Adrian często pytał, czy chcieliby pojechać do Ameryki. Dla wielu z nich sama myśl o tym była tak niedorzeczna, jakby proponował im lot na Księżyc.

Uciekinierzy rozmawiający z młodymi studentami z LiNK-u opowiadali wstrząsające historie. Pewne dziecko powiedziało im spokojnym głosem, że jego matka umarła z głodu, a ojciec został w obozie koncentracyjnym. Młoda kobieta tłumaczyła, że uciekła od rolnika mieszkającego na północnokoreańskiej prowincji, który ją więził i gwałcił przez kilka lat.

Adrian i pozostali uświadomili sobie dzięki tej podróży, jak niewiele było dróg ucieczki z Korei Północnej, a jeśli próba się powiodła – jak niewiele było opcji, gdzie jechać dalej. Patrząc na mapę, można uznać za oczywiste, że uchodźcy powinni

próbować przedostać się bezpośrednio do Korei Południowej, gdzie mogli otrzymać azyl – prawo tego kraju automatycznie gwarantuje Koreańczykom z Północy obywatelstwo i paszport, ponieważ tamtejszy rząd uważa się za jedyną legalną władzę Korei, której jurysdykcja rozciąga się na cały Półwysep Koreański i pobliskie wyspy.

W rzeczywistości jednak przekroczenie tej granicy jest niemal niemożliwe. To wyjątkowo niebezpieczna strefa. Od czasu gdy 27 lipca 1953 roku przedstawiciele ONZ i strony komunistycznej podpisali dziewięć kopii porozumienia w sprawie rozejmu, obie Koree dzieli długa na dwieście sześćdziesiąt kilometrów i szeroka na cztery strefa zdemilitaryzowana. Po stronie północnej jest strzeżona przez potężne siły zbrojne mające do dyspozycji tysiące dział artyleryjskich skierowanych na południe. Każdy uciekinier, który miałby tyle szczęścia, że dotarłby do granicy, zostałby na niej natychmiast zastrzelony. W 2018 roku usunięto stamtąd liczne miny lądowe, ale wciąż są tam gęste zwoje drutu kolczastego i mnóstwo żołnierzy obserwujących okolicę z wież strażniczych.

W strefie zdemilitaryzowanej jest więcej osobliwości. Znajduje się tam pas ziemi zwany wspólną strefą bezpieczeństwa, gdzie stoją naprzeciwko siebie uzbrojeni żołnierze obu krajów. Po stronie północnej zainstalowane są głośniki nadające północnokoreańską propagandę, a po południowej uciekinierzy z Północy wypuszczają balony z ulotkami i żywnością. W latach osiemdziesiątych Korea Południowa postawiła po swojej stronie stumetrowy maszt z flagą, na co Korea Północna odpowiedziała masztem wysokim na sto sześćdziesiąt metrów. Gesty te nazwano później wojną na maszty. W tej opuszczonej od dziesiątek lat strefie pojawiły się rzadkie i zagrożone gatunki zwierząt, na przykład żuraw białoszyi i niedźwiedź himalajski.

Patrząc przez lornetkę na stronę północnokoreańską, można dostrzec Kijong, miasteczko zabudowane kolorowymi murowanymi domami. Na jego ulicach regularnie pojawiają się ekipy sprzątające. Przy dużym powiększeniu widać jednak, że zbudowane w latach pięćdziesiątych domy są puste. Nikt tam nie mieszka. To prawdziwa wieś potiomkinowska.

Ze względu na napięcie panujące w strefie zdemilitaryzowanej i jej ścisłą kontrolę niemal wszyscy uciekinierzy wybierają drogę przez granicę z Chinami. Jednak również tam grozi im wiele niebezpieczeństw. Chińskie władze postanowiły, że osób uciekających z Korei Północnej nie można uznać za uchodźców, więc należy je czym prędzej zatrzymać i odesłać z powrotem. Nie interesuje ich to, że ludzie ci niemal na pewno zostaną zamknięci na wiele lat w obozach pracy.

Dotarcie do granicy od strony Korei Północnej jest stosunkowo łatwe, zwłaszcza dla mieszkańców terenów wiejskich. W takich odległych od miast okolicach jest ona patrolowana dość nieregularnie. Jej duża część biegnie wzdłuż zamarzających zimą rzek Tuman i Jalu. W pobliżu miast granica jest po obu stronach strzeżona przez mobilne patrole. Zbiegowie zatrzymani po stronie koreańskiej są od razu zamykani w obozach, a tych zatrzymanych w Chinach odsyła się do kraju, gdzie czeka ich podobny los. Północnokoreańscy strażnicy strzelają do przechodzących przez rzekę ludzi, którzy zaszli za daleko, by ich schwytać, co budzi strach wśród okolicznych mieszkańców kąpiących się w niej i piorących ubrania.

Żeby wydostać się z Chin, uciekinierzy muszą znaleźć jakąś kryjówkę, by nabrać sił, i znaleźć godnych zaufania przewodników, którzy będą mogli im pomóc w kolejnym, równie niebezpiecznym etapie podróży. Tym właśnie zajmowali się wolontariusze. Ich grupy, często wspomagane finansowo przez

organizacje chrześcijańskie, tworzyły sieć kryjówek w pobliżu północnokoreańskiej granicy.

Niektórzy z nich pracowali dla zajmującego się pomocą humanitarną ewangelickiego pastora Timothy'ego Petersa. Adrian spotkał go po raz pierwszy w 2004 roku, po tym jak wrócił ze swoją grupą z misji zwiadowczej. Peters prowadził wtedy w Seulu, od prawie dziesięciu lat, organizację Helping Hands Korea.

Pastor przyjechał do Korei Południowej w latach siedemdziesiątych i po jakimś czasie stwierdził, że ma tu przed sobą dwie misje: publiczną krytykę Korei Północnej za łamanie praw człowieka oraz stworzenie wzorowanej na amerykańskiej Underground Railroad organizacji pomagającej uciekającym mieszkańcom tego kraju. Udało się – przeprowadzała ona każdego roku kilkudziesięciu uchodźców. Peters uznał, że jeśli chodzi o drugi obszar działalności, najważniejsze będzie zachowanie całkowitej tajemnicy i wstrzymanie się od reklamy. Pomaganie tym ludziom będzie tym łatwiejsze, im mniej będzie dyskusji nad tym, co się robi w ich sprawie.

Peters spotkał się z Adrianem nie w Chinach, lecz podczas pobytu na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych pod koniec 2004 roku, gdzie został zaproszony na Uniwersytet Browna przez tamtejszą komórkę LiNK-u. Dostrzegł w nim „coś wyjątkowego". Zobaczył młodego człowieka mającego niezwykły talent do politycznego uświadamiania studentów i przekonywania ich, że mogą zrobić coś w ważnej sprawie łamania praw człowieka w hermetycznie zamkniętym, totalitarnym państwie. „Umiejętność wzbudzenia w młodych ludziach zainteresowania sytuacją praw człowieka w Korei Północnej była czymś rzadkim" – wspomina Peters.

Światowi politycy wypowiadający się na temat Korei Północnej, zaprzątnięci kwestią broni atomowej oraz rozgrywka-

mi dyplomatycznymi na wysokim szczeblu, liczyli co najwyżej na stopniowe zmiany, które mogłyby doprowadzić do poprawy sytuacji w tym kraju. Peters i podobni mu działacze kierowali się jedną oczywistością: mieszkańcy Korei Północnej cierpią i zasługują na to, by im pomóc.

Pastor szybko nauczył się, że organizacja ucieczek wymaga unikania jakiegokolwiek rozgłosu. Wyprowadzenie zbiegów spod granicy Korei Północnej z Chinami zależało od pomocy wielu wolontariuszy – członków tajnych chińskich organizacji pozarządowych, chrześcijan, ludzi z Zachodu i Koreańczyków. Jedną z najtrudniejszych rzeczy było ukrycie uciekinierów, zanim zostaną zauważeni przez okolicznych mieszkańców, którzy doniosą na nich władzom, albo zatrzymani przez wszechobecną chińską policję. Aktywiści tacy jak Peters starali się ich znaleźć i umieścić w jakimś domu lub kryjówce, gdzie ich karmiono, dawano im ubrania i przygotowywano na dalszą podróż przez Chiny, a potem przez jeszcze jedną granicę. W tej wędrówce towarzyszyli im nieustraszeni przewodnicy.

Niektórzy uciekinierzy decydowali się na niebezpieczną trasę przez mroźne stepy do Mongolii i dopiero stamtąd lecieli do Korei Południowej. Częściej jednak wybierali drogę na południowy wschód do prowincji Junnan, na skos przez całe Chiny. Podróżowali pociągami, autobusami, taksówkami – niekiedy całymi tygodniami. Stamtąd przechodzili przez góry do Laosu lub Mjanmy albo do Tajlandii, skąd mieli nadzieję polecieć do Seulu. Na każdej z tych tras mogli wzbudzić podejrzenia chińskiej policji – byli przecież ludźmi, którzy nie mieli do czynienia z nowoczesnym transportem, społeczeństwem ani technologią – i trafić do aresztu. Ryzykowali również natknięcie się na kryminalistów, którzy często rabowali lub gwałcili bezbronnych uchodźców.

Dzięki przyjazdowi do Chin – oraz spotkaniom z ludźmi takimi jak Peters – Adrian i towarzyszący mu członkowie LiNK-u, którzy szukali nowych metod pomagania uciekinierom i finansowania kryjówek, zdali sobie sprawę z ogromu tego wyzwania. Lokale były zwykle prymitywne – a uchodźcy musieli spędzać w nich czasem całe miesiące bez dostępu do światła słonecznego ani większego ruchu – ale to one były najważniejszym elementem Undergound Railroad.

Szansa pojawiła się w październiku 2004 roku, gdy prezydent George W. Bush podpisał projekt North Korean Human Rights Act (Ustawy o prawach człowieka w Korei Północnej), której przedmiotem była „godna ubolewania sytuacja praw człowieka” w tym kraju. Po latach lobbingu prowadzonego przez aktywistów, działaczy chrześcijańskich i wojowniczo nastawionych konserwatystów przeznaczono dwadzieścia milionów dolarów rocznie na pomoc północnokoreańskim uchodźcom i kolejne miliony na promowanie demokracji w samej Korei Północnej oraz szerzenie informacji wśród jej mieszkańców. Adrianowi i jego kolegom wydało się jasne, że Stany Zjednoczone otwierają się na uchodźców. Pozostawało pytanie, jak ich sprowadzić na amerykańską ziemię.

Rozmawiając niedługo później z przedstawicielem Departamentu Stanu, Adrian otwarcie spytał, czy amerykański rząd ma plan na przyjęcie ludzi z Korei Północnej. Urzędnik spojrzał na niego tak, jakby widział największego naiwniaka na świecie. No bo przecież co z geopolityką, równowagą sił i bronią atomową? To było najważniejsze.

Zapytany powtórnie urzędnik przyznał, że „muszą minąć lata, zanim rząd rozważy takie rozwiązanie”.

Dla Adriana sprawa była jasna – jeśli dorośli nie planują niczego zrobić w tej sprawie, będą się tym musiały zająć dzieciaki z college’u.

Po powrocie z podróży Adrian, wciąż oszołomiony, lecz także pełen energii, miał kłopoty ze skupieniem się na nauce w ostatnich miesiącach w Yale. Zdołał jednak zaliczyć tyle zajęć, by nie zostać wyrzuconym. Po tym jak zaczął przy różnych okazjach zapowiadać, że zrezygnuje ze studiów, Carnesecca i inni przyjaciele pomogli mu dotrwać do ich zakończenia w maju 2006 roku.

Uczelnia wydała mu się teraz prowincjonalnym zakątkiem, w którym młodzi ludzie żyją pod kloszem. Ich idealistyczne deklaracje brzmiały czysto teoretycznie. W większości przypadków natchniona gadanina nie przeszkadzała kolegom z renomowanych uniwersytetów zmierzać prostą drogą do tradycyjnie pojmowanego sukcesu. Adrian widział kandydatów na zbawców ludzkości, którzy koniec końców zostawali prawnikami i bankierami.

Owszem, wydawało się, że dokonał czegoś wielkiego – setki amerykańskich studentów azjatyckiego pochodzenia wstąpiły do LiNK-u w pierwszym roku jego działalności. Jednak młodzi aktywiści podupadali na duchu, stykając się z kompletną obojętnością Amerykanów, których informowali o straszliwej sytuacji mieszkańców Korei Północnej. Adrian liczył na to, że ludzie wyjdą na ulice, by zaprotestować przeciwko najbardziej dramatycznym naruszeniom praw człowieka w XXI wieku, ale okazało się, że najczęstszą reakcją było wzruszenie ramionami. Czasem wydawało się, że nawet członkowie LiNK-u tracą zainteresowanie tą sprawą.

Dlaczego świat nie zdobył się na oburzenie, które pozwoliłoby pozbyć się tej plagi? Adrian uważał życie bez śmiałych celów za niewarte przeżycia.

Tym, co irytowało go szczególnie, była obojętność młodych ludzi z Korei Południowej. Od lat pięćdziesiątych kraj ten – w przeciwieństwie do sąsiada z północy – wyewoluował z bie-

dnego rolniczego społeczeństwa w jedną z najszybciej rozwijających się gospodarek świata. Ekonomiści nazwali ten proces cudem nad rzeką Han. Na początku XXI stulecia południowokoreańscy nastolatkowie i studenci zdawali się nic nie wiedzieć o katastrofie humanitarnej tuż za granicą ich kraju. Karmili się muzyką tak zwanych grup idoli, z których wywodzi się K-pop, i pracowali na okrągło w ultrakapitalistycznym i ultramaterialistycznym społeczeństwie.

Rozpamiętujący te sprawy Adrian wydawał się swoim znajomym tajemniczy, ale też nieco arogancki. Nie wszyscy reagowali dobrze na jego wyniosły ton. Wprawdzie nigdy nie krytykował wprost wyborów podejmowanych przez innych, ale w tym, co mówił, wyczuwało się osąd.

„Ludzie zawierają swoje prywatne kompromisy – powiedział kiedyś. – Nie mam nic przeciwko temu, by dbali o własne sprawy". Ale chwilę później dodał, że „źli ludzie umożliwiają działanie innym złym ludziom na świecie".

Coraz bardziej martwiła się również jego rodzina. Te jego podróże – czy on oszczędza dość pieniędzy? Kto się nim zajmie, jeśli wpadnie w kłopoty?

Pochłaniająca Adriana troska o życie cierpiących Koreańczyków z Północy utrudniała mu cieszenie się jego własnym. Pewnego wieczora – ostatniego roku w Yale – dziewczyna Adriana zaprosiła jego przyjaciół na urodzinowe przyjęcie niespodziankę. Cole Carnesecca miał przyprowadzić chłopaka na pierwsze piętro baru położonego niedaleko kampusu, ale mimo wielkich wysiłków nie był w stanie go skłonić do ruszenia się z miejsca. Adrian w końcu ustąpił i poszli do baru. Jednak tuż przed wejściem odwrócił się do Carnesecci i powiedział, że od początku wiedział o niespodziance.

Innym razem, gdy rozmawiali o sytuacji w Darfurze, Adrian spytał go, co by się stało, gdyby namówił dziesięciu emeryto-

wanych żołnierzy piechoty morskiej, by ryzykując własne życie, podjęli się obrony tamtejszych obozów dla uchodźców. Wygląda na to, że innych nic nie obchodzi, tłumaczył koledze, ale może to pomogłoby w uświadomieniu światu, że tam giną ludzie.

Były to tylko studenckie eksperymenty myślowe, ale po latach Canesecca przypomniał sobie tamtą rozmowę jako jedną z chwil, w których Adrian przechodził od oryginalnych pomysłów na pomaganie uciekinierom do czegoś bardziej niebezpiecznego.

4 Szóstka z Shenyangu

> Nie potrzebuję wolności, kiedy jestem martwy.
> Nie mogę wyżyć na jutrzejszym chlebie.
>
> Langston Hughes

Shenyang, Chiny, grudzień 2006

Trzy dni przed świętami Bożego Narodzenia 2006 roku Adrian Hong wszedł wraz z dwiema członkiniami LiNK-u do restauracji KFC w Shenyangu. Towarzyszyło im sześcioro północnokoreańskich uciekinierów – dwóch osieroconych chłopców w wieku szesnastu i siedemnastu lat, trzy kobiety po czterdziestce i jedna dwudziestokilkuletnia dziewczyna.

Siedząc przy stoliku, mogli dostrzec amerykański konsulat – brązowy, przypominający fortecę budynek otoczony murem zwieńczonym drutem kolczastym. Gdyby na maszcie przed budynkiem nie powiewała amerykańska flaga, przypadkowy przechodzień mógłby uznać go za ściśle strzeżone więzienie. Adrian znalazł się tu, ponieważ Shenyang był jednym z największych miast położonych w pobliżu granicy z Koreą Północną. Z Dandongu można było tam dojechać samochodem w trzy godziny, a pociągiem jeszcze szybciej.

Podróż była ryzykowna, ale Adrian odbywał ją nie po raz pierwszy. Dwa miesiące wcześniej przejechał tę trasę, by pomóc w dotarciu do amerykańskiego konsulatu trzem nastolatkom. Jednym z nich był szesnastoletni Joseph Kim.

Podobnie jak wielu północnokoreańskich uciekinierów, Joseph zdążył doświadczyć w ciągu tych szesnastu lat więcej cierpienia niż większość ludzi przez całe życie. Był małym dziec-

kiem, gdy w Korei Północnej zaczął się wielki głód. Jego przyczynami były niewydolny system dystrybucji żywności, kryzys w bloku socjalistycznym i katastrofy ekologiczne, a skutkiem – śmierć milionów ludzi. Wcześniej jedzenia starczało dla wszystkich, teraz trzeba było o nie walczyć. Ojciec Josepha często rezygnował ze swojej porcji, tłumacząc mu, że ponieważ chłopiec jeszcze rośnie, powinien jeść więcej niż on. Kiedy Joseph miał dwanaście lat, ojciec zmarł z głodu.

Matka szukała prac dorywczych, by zapewnić rodzinie życiowe minimum. W końcu Joseph odłączył się od matki oraz siostry i odszedł w poszukiwaniu nowych źródeł żywności. W pewnym momencie został sam na ulicy – stał się jednym z *kkojjebi*, czyli „pstrokatych wróbli". Tak w Korei Północnej nazywano tysiące bezdomnych dzieci, które jak ptaki wyszukiwały na ziemi pojedyncze ziarna ryżu i kukurydzy.

Przez większą część młodości Joseph żył samodzielnie. Matkę widywał tylko czasami, gdy udało się jej zarobić trochę więcej pieniędzy i mogła wesprzeć syna i córkę. Po jakimś czasie uciekła do Chin, została jednak odesłana z powrotem i trafiła do więzienia.

Po kolejnym okresie bezdomności pozbawiony wsparcia rodziny Joseph postanowił przeprawić się przez Tuman, by szukać lepszego życia w Chinach. Po kilku dniach dotarł do granicy.

Chociaż udało się mu przedostać na drugą stronę rzeki, nie oznaczało to końca jego problemów. Każdy chiński przechodzień mógł donieść na niego policji, a wtedy zostałby aresztowany. Przez wiele miesięcy żył z tego, co udało mu się wyżebrać, i dzięki pomocy okolicznych kościołów. Spał, gdzie się dało, również w lesie, a później w kościele w Tumenie. W końcu pozwoliła mu u siebie zamieszkać starsza kobieta, chrześcijanka z pobliskiego miasta Yanji.

W połowie 2004 roku chrześcijański wolontariusz pomógł chłopcu i jego przybranej babce przenieść się do domu dla uciekinierów prowadzonego przez żarliwych chrześcijan i częściowo finansowanego przez LiNK. Pod wpływem chrześcijańskich działaczy Joseph zaczął całymi dniami czytać Biblię – zaczynał razem z innymi uchodźcami o czwartej rano i kończył o wpół do dziesiątej wieczorem.

Znalazł w tej księdze pocieszenie, ale też doszedł do wniosku, że jeśli chce wydostać się z Chin, musi przekonać prowadzących placówkę wolontariuszy, że gorliwie się uczy i jest prawdziwym chrześcijaninem. Gdy inni szli już spać, on czytał dalej. Modlił się: „Proszę, wskaż mi drogę” – jak napisał później w swojej autobiografii[6].

Znów jednak musiał cierpliwie czekać. Mijały miesiące i nic się nie działo. Aż nagle pewnego dnia w ich kryjówce pojawił się Amerykanin, który zrobił na nim wielkie wrażenie. „Był młody, modnie ostrzyżony i ubrany w fajne amerykańskie ciuchy. W ogóle cały był *cool*”, napisał Joseph w swojej autobiografii *Pod jednym niebem.*

Ewakuacja Josepha i dwóch innych nastolatków była pierwszą misją ratunkową w ramach rozpoczętego przez LiNK projektu Safe Haven (Bezpieczna Przystań). Po ukończeniu studiów w Yale Adrian przeniósł się do Waszyngtonu, żeby prowadzić skuteczniejszy lobbing i założyć ogólnokrajową siedzibę organizacji, z której mógłby kierować coraz bardziej ambitnymi przedsięwzięciami.

Grupa stawiających pierwsze kroki działaczy LiNK-u wprowadziła się do piętrowego domu mieszkalnego przy Embassy Row, gdzie – opłacana symbolicznie albo wcale – obradowała na kanapach i przy kuchennymi stole. Wielu z nich wykonywało w ciągu dnia inne prace, żeby móc sobie pozwolić na

działalność społeczną w organizacji. Hannah Song pracowała przez osiem miesięcy 2006 roku jako kierowniczka do spraw mediów w firmie marketingowej Mindshare, ale zrezygnowała z tej posady i wysokiej pensji, by zostać zastępczynią Adriana na pełen etat.

Od powrotu Adriana z pierwszej podróży do Chin LiNK częściowo finansował tajne kryjówki w tym kraju, by wspomagać całkiem sporą społeczność nielegalnych imigrantów. Organizacji nie było stać na otwarcie własnej tego typu bazy, ale przekazywała fundusze pozyskane z kiermaszów dobroczynnych, pokazów filmów dokumentalnych i innych źródeł na zakup żywności i wyposażenia dla tych, które już działały. Sieć kryjówek dawała żywność, ubrania i dach nad głową tysiącom ludzi takich jak Joseph Kim, niemających dostępu do chińskich instytucji rządowych i do legalnej pracy.

Gdy Adrian wysłuchał historii Josepha, spytał go i jego dwóch kolegów po koreańsku, czy chcieliby wyjechać do Ameryki. Joseph był zdumiony tym, jak spokojnie i rzeczowo Adrian mówił o tej nieprawdopodobnej perspektywie. Z bijącym sercem odpowiedział, że tak.

Plany Adriana były znane jedynie asystentom członków Kongresu wspierających imigrację uciekinierów z Korei Północnej do Stanów Zjednoczonych. Nie powiedział o nich nawet członkom LiNK-u i nikt z konsulatu nie wiedział dokładnie, co ma się wydarzyć. Poinformowani zostali natomiast doradcy niektórych waszyngtońskich polityków, którzy w razie potrzeby mieli interweniować w Departamencie Stanu.

W ramach przygotowań do wyprowadzenia chłopców z Chin Adrian kupił im zachodnie ubrania i uczył ich zachowywać się jak rozpuszczeni młodzi Amerykanie azjatyckiego pochodzenia. Josephowi powiedział, że ma robić wokół siebie dużo hałasu i nosić się jak skateboardzista.

Dla młodych Koreańczyków z Północy rady, jakich udzielał im Adrian, brzmiały niedorzecznie. Joseph i jego dwaj koledzy próbowali, z umiarkowanym powodzeniem, odgrywać wyznaczone im role podczas krótkich spacerów po mieście. Gdy Adrian w końcu uznał, że grupa jest gotowa, wyruszyli z kryjówki w Yanji do amerykańskiego konsulatu w Shenyangu. Gdy znaleźli się w tym mieście i wynajęli pokój w hotelu, Adrian zarządził, że chłopcy będą spali w łóżkach, on zaś na podłodze. Joseph pisał później o szoku, jakim był dla niego widok luksusowych kołder i możliwość zadzwonienia w każdej chwili z jakąś prośbą na recepcję.

„Kiedy spałem w miękkiej pościeli, czułem, że moje życie ulegnie drastycznej zmianie. Niosła mnie fala, nie wiedziałem, co zdarzy się za chwilę".

Dwudziestogodzinna jazda pociągiem do Shenyangu była pełna napięcia. Młodzi ludzie, bojąc się, że zwrócą na siebie uwagę innych pasażerów, postanowili udawać głuchoniemych.

Podczas oczekiwania na właściwy moment w ostatnim, nędznym hotelu chłopcy zaczęli panikować. Kiedy Adrian zostawił ich, by zatelefonować do kolegów z LiNK-u, zamknęli się na klucz, pewni, że za chwilę zostaną złapani. W końcu Adrian wrócił i powiedział, że czas ruszać.

Przybyli do konsulatu, w którym czekała na nich młoda urzędniczka, ale nawet tam, w tej bezpiecznej przystani Joseph bał się, że zaraz cały plan się posypie i trafią do aresztu. Później wspominał, że chciał uciec, ale spojrzał na Adriana, który powiedział: „Jesteś bezpieczny!".

Jednak nawet w konsulacie nie wszystko poszło gładko. W pewnym momencie Adriana oddzielono od grupy i zaprowadzono do osobnego pokoju. Urzędnicy zauważyli, że ma meksykańskie obywatelstwo. Pytali więc, kto upoważnił go do przyprowadzania uchodźców z Korei Północnej do amerykań-

skiego konsulatu. Zamiast wyrazić uznanie dla jego wysiłków, potraktowali go jako zagrożenie dla bezpieczeństwa placówki. Odpowiedział zuchwale:

– A konstytucja?

Słowa te nie zostały przyjęte najlepiej, ale wkrótce został wypuszczony.

Adrian był przekonany, że akcje takie jak uratowanie Josepha Kima i dwóch innych młodych chłopców to właściwa droga rozwoju jego organizacji. Wreszcie, po dwóch latach od powstania, LiNK zaczął prowadzić operacje w terenie, które realnie zmieniały życie Koreańczyków z Północy. Joseph zamieszkał na Brooklynie, a po jakimś czasie znalazł pracę w Bibliotece George'a H. W. Busha w College Station w Teksasie.

Wkrótce jednak Adrian uznał, że uratowanie garstki uciekinierów to za mało.

Grupa ubiegających się o azyl uciekinierów (wśród nich był Joseph Kim) znajdowała się wciąż w konsulacie w Shenyangu, czekając na pozwolenie na wylot do Stanów Zjednoczonych, gdy w grudniu Adrian znów pojawił się w mieście wraz z sześciorgiem kolejnych uchodźców. W tej grupie była matka jednego z chłopców towarzyszących Josephowi.

W konsulacie trwały napięte negocjacje między Stanami Zjednoczonymi a Chinami, mające zdecydować o losie trzech młodych Koreańczyków. Stanowisko Amerykanów było nieugięte. Urzędnicy konsulatu przyjęli uciekinierów i próbowali radzić sobie z wynikającymi z tego problemami, ale nie znaczyło to, że Adrian zyskał tam jakąś szczególnie mocną pozycję.

Żadna z innych organizacji domagających się przestrzegania praw człowieka w Korei Północnej nawet nie spróbowała zrobić czegoś podobnego. Jedynymi, którzy zbliżyli się do tego

poziomu zaangażowania, byli chrześcijańscy działacze w rodzaju Timothy'ego Petersa, którzy po cichu pomagali uciekinierom wydostać się przez granicę z Mongolią, Laosem czy Mjanmą.

Tym razem jednak w Shenyangu coś było nie w porządku. Kiedy Adrian zadzwonił do konsulatu na ten sam co poprzednio numer i powiedział, że ma więcej „przesyłek" do dostarczenia, otrzymał chłodną odpowiedź. Kobieta, która odebrała telefon, poprosiła o jego numer i powiedziała, że ktoś do niego oddzwoni.

Kilka minut później zadzwonił urzędnik. Oświadczył, że nie przyjmą „uciekinierów z Korei Północnej", po czym zasugerował lekceważącym tonem, by Adrian zwrócił się do wysokiego komisarza ONZ do spraw uchodźców w odległym o ponad tysiąc kilometrów Pekinie.

Chociaż Adrian planował akcję od miesięcy, ta sytuacja była dla niego wielkim zaskoczeniem. Próbował zachować spokój, ale wiedział dobrze, w jak niebezpiecznym położeniu się znaleźli.

Jego podopieczni mieli za sobą dwudziestogodzinną jazdę pociągiem z Yanji. Już ta podróż była pełna niebezpieczeństw. Każdy chiński policjant lub konduktor, który zorientowałby się, że w pociągu są Koreańczycy z Północy, mógł wpędzić całą grupę w poważne kłopoty. Dalsza jazda do chińskiej stolicy byłaby jeszcze bardziej ryzykowna.

Dla Adriana jeszcze gorsze było to, że urzędnik użył na niezabezpieczonej linii sformułowania „uciekinierzy z Korei Północnej". On sam posługiwał się zaszyfrowanym kodem, bo wiadomo było, że chiński wywiad podsłuchuje wszystkie rozmowy pracowników konsulatu. Wypowiedzenie tych słów było równoznaczne z powiadomieniem miejscowych władz o nielegalnej działalności. Ów urzędnik tłumaczył później swo-

jemu koledze, że jego zdaniem Adrian, który nie poprosił o pozwolenie na przyprowadzenie uchodźców pod drzwi konsulatu, ryzykował ich życie – nie tylko dlatego, że było to politycznie niebezpieczne, lecz również z tego powodu, że w budynku nie było miejsca dla tłumu poszukujących azylu uchodźców.

Dopiero wtedy Adrian zaczął rozumieć, jak wiele ryzykował. Działał instynktownie i metody takie jak używanie słownego kodu wymyślał na poczekaniu. W jego grupie nie było wyszkolonych szpiegów, tylko studenci. Odwagi mieli z pewnością pod dostatkiem, ale czy to wystarczało, by uratować szóstkę z Shenyangu?

Adrian wiedział, że północnokoreańscy uciekinierzy zatrzymani na terytorium Chin są odsyłani w ramach umowy zawartej między Pekinem a Pjongjangiem. Poszukujących azylu uchodźców chińskie władze uznawały za „migrantów ekonomicznych" i nie przyjmowały do wiadomości relacji o prześladowaniach, choć wiadomo było, że odesłani do kraju zostaną najpewniej uwięzieni.

Wrogie nastawienie Chin sprawiało, że ucieczka z Korei Północnej była wyjątkowo trudna. Granica na południu była dobrze strzeżona przez północnokoreańskich żołnierzy, ale nawet gdy komuś udało się przedostać do Chin, mógł w każdej chwili zostać zatrzymany i odesłany z powrotem, nie mając żadnej szansy na tłumaczenie, że szuka ochrony przed reżimem.

Dla amerykańskiego konsulatu w Shenyangu uczestnictwo w przerzucie północnokoreańskich uchodźców z Chin do Stanów Zjednoczonych oznaczało podważenie umowy między Chinami a Koreą Północną. Chiny z kolei, po latach umiejętnego manipulowania Koreą Północną, która była buforem oddzielającym je od Korei Południowej – gdzie w Camp Humphreys, sześćdziesiąt kilometrów na południe od Seulu, stacjono-

wało trzydzieści tysięcy amerykańskich żołnierzy – nie chciały, by Kim zaczął wymachiwać szabelką albo skierował na Pekin swoje wyrzutnie rakiet jądrowych. *Status quo* bardzo Chinom odpowiadało.

Gdy druga grupa uciekinierów siedziała w KFC naprzeciwko amerykańskiego konsulatu w Shenyangu, Adrian próbował robić dobrą minę do złej gry. Ostatnie, czego by sobie życzył, to atak paniki wśród jego podopiecznych. Przez okno zobaczył, że na ulicy zatrzymuje się furgonetka. Wysiadło z niej kilku krzepkich mężczyzn wyglądających na policjantów w przebraniu. Było to dla niego oczywiste potwierdzenie, że Chińczycy podsłuchali rozmowę telefoniczną i wysłali funkcjonariuszy mających schwytać uciekinierów. Powtórzyłaby się sytuacja z 2002 roku, gdy policja zatrzymała uchodźców z MOFA Seven usiłujących dostać się do japońskiego konsulatu w Shenyangu.

Adrian nie miał wiele czasu na myślenie, więc wysłał swoich podopiecznych do bardziej oddalonej od konsulatu kawiarni, a sam został w pobliżu, by spróbować wykorzystać swoje kontakty w amerykańskiej administracji. Zadzwonił do ambasady w Pekinie. Odebrał urzędnik, który poprosił o jego numer i obiecał przekazać sprawę dalej.

Po chwili Adrian odebrał telefon od wyższego rangą przedstawiciela ambasady, który niemal krzycząc, oświadczył, że konsulat nie jest w stanie przyjąć kolejnych uchodźców, i zarzucił Adrianowi, że przywożąc ich bez uprzedzenia do Shenyangu, naraża ich życie.

Komunikat był jasny: żaden Koreańczyk z Północy nie wydostanie się z Chin przez placówkę Stanów Zjednoczonych – przynajmniej nie teraz – a każda próba wprowadzenia do niej uciekinierów skończy się ich aresztowaniem. Po tym jak kilka miesięcy wcześniej udało się wprowadzić do konsulatu Jose-

pha i jego dwóch towarzyszy, był to niepokojący zwrot. Dlaczego rząd tak szybko zmienił swoją politykę?

Adrian błagał dyplomatę, by spróbował spojrzeć na sytuację z punktu widzenia uchodźców. Przecież oni świadomie podjęli ryzyko, decydując się na ucieczkę, ponieważ uwierzyli, że Stany Zjednoczone nie kłamały, obiecując im schronienie. Tłumaczył, że teraz, po tym jak urzędnik konsulatu wymienił w rozmowie telefonicznej jego nazwisko i wspomniał o „uciekinierach z Korei Północnej", ryzyko to znacznie wzrosło.

Prawdę mówiąc, Adrian nie prosił z wyprzedzeniem o pozwolenie, ponieważ wiedział, że nielubiący ryzyka urzędnicy się nie zgodzą i udaremnią plan już na wstępie. Uważał, że Ustawa o prawach człowieka w Korei Północnej jest otwartym zaproszeniem do konsulatu dla szukających azylu uciekinierów, i nie zamierzał dawać biurokratom pola do interpretacji ducha obowiązującego prawa. Widział to tak, że lepiej było prosić ich o wybaczenie, a nie pozwolenie.

Ale plan nie wypalił. Teraz Adrian odpowiadał za grupę bezbronnych ludzi niemających żadnej siatki ratunkowej ani miejsca, do którego mogliby się udać. Robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Wspierający go kongresmeni nie mogli jednym telefonem zmienić z dnia na dzień nastawienia Departamentu Stanu. Adrian potrzebował szybkiego rozwiązania.

Poprosił raz jeszcze urzędnika z konsulatu o przyjęcie uchodźców.

– Jesteśmy sto metrów do was – argumentował. Nic jednak nie uzyskał.

Swoim podopiecznym powiedział, że mają do wyboru dwie opcje: wrócić do wcześniejszej kryjówki w Yanji albo, jak proponował człowiek z konsulatu, wyprawić się do Pekinu. Decyzja była jednogłośna – uchodźcy chcieli jechać dalej. Odesłania

bali się bardziej niż podróży w nieznane. Chcieli być jak najdalej od Korei Północnej.

Obawiając się, że swoją publiczną działalnością na rzecz tego kraju wzbudził zainteresowanie chińskiej służby bezpieczeństwa i że może ona dysponować jego zdjęciem, Adrian jako pierwszy poleciał do Pekinu, gdzie opłacił pokój w hotelu InterContinental i czekał tam na resztę grupy. Wynajął kierowcę, który miał przywieźć uchodźców wypożyczoną furgonetką – nocna podróż miała trwać około siedmiu godzin.

Następnego dnia Adrian obudził się wcześnie, by przygotować się na ich przyjazd. Planował, że zjawią się bez uprzedzenia w siedzibie ONZ, tak jak próbowali to zrobić w konsulacie w Shenyangu. Był już późny ranek, a uciekinierzy wciąż się nie pojawiali. Zaczął się niepokoić. Mijały godziny i nie było ani śladu Koreańczyków.

Nagle ktoś zapukał do pokoju. Wyjrzał przez dziurkę od klucza i zobaczył sprzątaczkę w hotelowym uniformie, ale gdy otworzył drzwi, ujrzał pięciu chińskich policjantów. Został natychmiast aresztowany i odesłany samolotem do Shenyangu.

Podróż była przerażająca, ale prawdziwy szok przeżył, gdy zobaczył wnętrze chińskiego więzienia. Zatłoczone, obskurne cele zamieszkałe przez dziesiątki domniemanych przestępców – to przekraczało jego najgorsze wyobrażenia.

W Shenyangu Adrian dowiedział się, że jego koledzy z LiNK-u i sześcioro Koreańczyków zostali zatrzymani w połowie drogi. Mimo że wiadomość była zła, przyjął ją spokojnie. Uznał, że to stwarza okazję do dowiedzenia się czegoś więcej o relacjach Chin z Koreą Północną. Podczas przesłuchania próbował odwrócić role – pytał policjanta, jak wielu Koreańczyków z Północy trafia rocznie do więzienia. Oficer powiedział mu, że procedura jest prosta: wszyscy zidentyfikowani uchodźcy zostają aresztowani i natychmiast odsyła się ich do Korei Północnej.

Nikt nie próbuje się dowiadywać, dlaczego stamtąd uciekli i co się z nimi dzieje po powrocie.

Mijały dni, a przesłuchania ciągnęły się bez końca. W pewnym momencie sfrustrowany Adrian spróbował wywrzeć presję na Chińczyków i rozpoczął strajk głodowy. Po dwóch dniach strażnicy ostrzegli, że będą go odżywiać na siłę.

On i jego koledzy mogli zniknąć w mrocznych zakamarkach chińskiego wymiaru sprawiedliwości. Jednak dzięki refleksowi Adrian zdołał w chwili aresztowania w hotelu schować w kapturze bluzy telefon z amerykańską kartą SIM, a policjantom konfiskującym rzeczy oddał telefon z kartą chińską. Podczas podróży do Shenyangu udało mu się sięgnąć po aparat i – zanim mu go odebrano – wysłać kilka wiadomości do działaczy LiNK-u i asystentów kongresmenów.

Jedną z osób, które zostały natychmiast powiadomione o aresztowaniu Adriana i dwóch innych członków organizacji, był asystent Jaya Lefkowitza, specjalnego wysłannika George'a W. Busha do spraw badania praw człowieka w Korei Północnej, który od razu przekazał mu tę informację. Adrian spotykał się z Lefkowitzem kilkukrotnie, by omówić kwestię uciekinierów oraz możliwych dróg sprowadzania ich z Chin do Stanów Zjednoczonych.

Gdyby Adrian nie zdołał zawiadomić swoich amerykańskich kontaktów, on i jego koledzy mogli utknąć w więzieniu na całe miesiące, a może na dłużej. Ludzie, którzy zostali schwytani na pomaganiu uciekinierom na długo przed nimi, wciąż siedzieli w innych chińskich zakładach karnych.

Trwały ferie bożonarodzeniowe, ale w Białym Domu odbywały się spotkania i rozmowy, podczas których urzędnicy, a wśród nich Lefkowitz, pracowali z Hannah Song, zastępczynią Adriana w LiNK-u, nad planem sprowadzenia do Ameryki, w porozumieniu z władzami chińskimi, trzech członków organizacji oraz sześciorga uciekinierów.

W pewnym momencie pojawiła się przeszkoda – kwestia obywatelstwa Adriana. Mimo że spędził w Stanach Zjednoczonych prawie całe życie, wciąż przebywał tu na podstawie zielonej karty jako obywatel meksykański. Amerykańscy urzędnicy zastanawiali się, czy nie lepiej będzie, jeśli w jego sprawie będzie występował rząd Meksyku. Lefkowitz i jego ludzie zdołali jednak przekonać stronę chińską, że pomijając kwestię paszportu, Adrian jest pod każdym względem Amerykaninem, podobnie jak dwaj inni wolontariusze, i że LiNK jest organizacją amerykańską.

Ich starania przyniosły częściowy sukces. Po dziesięciu dniach członkowie LiNK-u zostali deportowani do Stanów Zjednoczonych. Jednak Koreańczycy zostali w więzieniu. Adrian opowiadał później dziennikarzowi z „The Wall Street Journal", że tuż przed wyjściem wyrwał się strażnikowi i podbiegł do zakratowanego okienka celi, w której byli dwaj chłopcy z Korei Północnej, by wykrzyczeć do nich słowa otuchy.

„Nie da się z niczym porównać spojrzenia w oczy ludziom przekonanym, że umrą. Oni obaj tak patrzyli, jakby nie było żadnej nadziei" – wspominał.

5 Słoń w składzie porcelany

Waszyngton, koniec 2006 roku

Pod koniec 2006 roku opinie w amerykańskiej administracji w sprawie wybranej przez Adriana Honga strategii pomagania północnokoreańskim uchodźcom zaczęły się polaryzować. Po jednej stronie byli ci, którzy uważali, że każda forma pomocy uciekającym przed brutalnym reżimem Kima jest uzasadniona, nawet jeśli nie zostało to powiedziane wprost na samym początku. Ich zdaniem Adrian i jego koledzy podjęli wielkie osobiste ryzyko, by pomóc niewinnym ludziom w poszukiwaniu lepszego życia.

Wśród osób wspierających LiNK był Sean Woo, doradca do spraw zagranicznych senatora Sama Brownbacka. Wywodzący się z rodziny żyjących w Kansas farmerów Brownback był charyzmatycznym republikaninem znanym z tego, że angażował się w chrześcijańską działalność dobroczynną.

Senator zainteresował się po raz pierwszy Koreą Północną, gdy w 2001 roku otworzył gazetę i natknął się na zilustrowany szokującymi zdjęciami artykuł o MOFA Seven, grupie uciekinierów z tego kraju, którzy próbowali dostać się do japońskiego konsulatu w Shenyangu, ale zostali zatrzymani przez chińską policję.

Brownback chciał dowiedzieć się czegoś więcej o Korei Północnej, więc spotkał się, w towarzystwie swojego personelu, z Adrianem i mieszkającymi w Waszyngtonie działaczami LiNK-u. „Pomyśleliśmy, że jest nadzieja na to, by zrobić z tego ważny temat” – wspominał Woo, asystent senatora.

Gdy jednak Brownback i Woo spotkali się z przedstawicielami Departamentu Stanu i innych agencji rządowych, byli zaskoczeni oporem wobec propozycji zmiany kursu w sprawie łamania praw człowieka w Korei Północnej. „Byłem zdumiony – opowiadał Woo. – Po dziesiątkach lat pomagania poetom i uczonym w wydostaniu się z sowieckiego zniewolenia nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego rząd ustępuje w sprawie północnokoreańskich uchodźców”. Kiedy w grudniu 2006 roku Adrian i jego koledzy zostali aresztowani w Chinach, to właśnie Woo i Brownback naciskali na amerykańskie władze, by im pomogły.

Ale w amerykańskiej administracji byli też ludzie znacznie mniej przychylni Adrianowi. Należało do nich wielu realistycznie usposobionych dyplomatów z Departamentu Stanu, na przykład Christopher Hill, przewodniczący amerykańskiej delegacji na rozmowy sześciostronne mające na celu nakłonienie Korei Północnej do odłożenia „bezcennego miecza”, jak nazywano w Pjongjangu jej program atomowy.

Z punktu widzenia owych realistów dopóki Korea Północna dysponowała bronią masowego rażenia, stanowiła globalne zagrożenie. Tak, reżim deptał bezlitośnie prawa człowieka, ale atomowa pożoga w Azji, która pochłonęłaby miliony ludzkich istnień, byłaby jeszcze gorsza. Zdaniem realistów łobuzerskie wybryki w stylu LiNK-u szkodziły bardziej od całkowitej bezczynności – tego rodzaju ruchu obywatelskiego nie sposób było kontrolować, co stwarzało ryzyko zaognienia konfliktu i pokrzyżowania planów światowej dyplomacji.

Faktycznie, tego samego dnia, gdy Adrian próbował ucieczki z Shenyangu, Hill zakończył ostatnią rundę owych sześciostronnych rozmów, w których uczestniczyły również Korea Południowa, Japonia, Chiny i Rosja. Niewiele udało się w nich

uzgodnić, ale sam fakt, że się odbyły, dowodził, że z Koreą Północną można negocjować na drodze dyplomatycznej.

Gdy 9 października 2006 roku północnokoreańska agencja informacyjna opublikowała oświadczenie, że dzień wcześniej przeprowadzono w kraju udaną podziemną próbę atomową, instytucje międzynarodowe zajmujące się globalnym bezpieczeństwem były przerażone.

W komunikacie agencji nazwano to wydarzenie „pasjonującą chwilą, w której wszyscy mieszkańcy kraju dokonują wielkiego skoku na drodze do budowy wspaniałego, dostatniego i potężnego socjalistycznego narodu”. I dalej, w duchu ideologii dżucze, dodano, że ów test, przeprowadzony z „właściwą naszemu krajowi mądrością i technologicznym kunsztem”, potwierdził „jego potęgę i zdolność do samoobrony”.

W kolejnych latach Korea Północna zaniepokoiła świat jeszcze bardziej, dowodząc, że potrafi zwiększać skuteczność i zasięg swojej broni atomowej. Dlatego, mimo doniesień o tamtejszej sieci obozów koncentracyjnych, międzynarodowa dyskusja na temat tego kraju sprowadzała się do kwestii jego arsenału jądrowego.

Grudniowa akcja ratunkowa w Chinach, która zbiegła się w czasie z jedną z najważniejszych politycznych inicjatyw w sprawie Korei Północnej, oraz śmiałe, lecz ryzykowne posunięcie Adriana, który bez uprzedzenia pojawił się z uchodźcami przed konsulatem, ściągnęły na niego więcej gromów niż późniejsza o trzynaście lat akcja w Hiszpanii. W tym jednak przypadku dramat polegał na tym, że stworzony przez LiNK szlak ewakuacyjny został spalony wkrótce po tym, jak zadziałał po raz pierwszy.

Od świąt 2006 roku do początku stycznia roku następnego wielebny Tim Peters, założyciel organizacji Helping Hands Korea,

po cichu objeżdżał kryjówki dla uciekinierów w pobliżu północnokoreańskiej granicy.

Pracował właśnie nad wyprawieniem nowej grupy uchodźców w długą drogę z Laosu do Mjanmy, gdy zadzwonił do niego działający w tym regionie zaufany tajny sprzymierzeniec.

– Musimy się natychmiast spotkać – powiedział.

Peters opuścił góry, w których przebywał, by porozmawiać z nim z dala od ludzkich uszu w kotłowni pewnego budynku. Mężczyzna opowiedział mu o aresztowaniu działaczy LiNK-u. Ponieważ w ich operacji uczestniczył jeden z jego współpracowników, w organizacji pozarządowej, dla której pracował, pojawiła się policja.

– Musisz wyjechać z miasta – ostrzegał.

Peters szybko opuścił Chiny i wrócił do Seulu. Po jego pospiesznym wyjeździe chińska policja została postawiona w stan podwyższonej gotowości, co jeszcze bardziej utrudniło funkcjonowanie sieci konspiracyjnej pomagającej uchodźcom. W tej sytuacji trzeba było odłożyć na kilka miesięcy organizowany właśnie wyjazd kolejnej grupy. Za te problemy Peters obwiniał Adriana.

„Adrian był jak słoń w składzie porcelany – opowiadał. – To jest niezwykle delikatna materia. Tu działają wywiady wszystkich możliwych krajów. Chiny natychmiast przejęły kontrolę nad sytuacją".

Działalność LiNK-u irytowała wielu ludzi od 2006 roku, gdy Adrian ukończył Yale i poświęcił się całkowicie sprawie Korei Północnej. Niedługo później zapoczątkował Project Sunshine (Projekt Słońce), którego celem było brutalne wstrząśnięcie sumieniami Koreańczyków z Południa i zmuszenie ich do zwrócenia uwagi na ciężki los rodaków z Północy. Wprawdzie wielu z nich ma po drugiej stronie granicy krewnych – kuzynów, dziadków, rodzeństwo – ale większość mieszkańców Korei Po-

łudniowej niechętnie rozmawia o kłopotliwym totalitarnym sąsiedzie.

Project Sunshine zrodził się podczas dyskusji w biurze LiNK-u przy Embassy Row w Waszyngtonie. Chodziło o zainscenizowanie przed siedzibą Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Handlu w Seulu ceremonii żałobnej w celu – jak można przeczytać w ówczesnym komunikacie prasowym – „upamiętnienia ofiar głodu, egzekucji i tortur w Korei Północnej, będących również ofiarami apatii i obojętności opinii publicznej”.

Adrian powiedział wtedy: „Wolność, demokracja i dostatek, którymi cieszy się dziś Korea Południowa, nakładają na nią obowiązek pomagania Koreańczykom, którzy mieli mniej szczęścia. Możemy zacząć od naszych żyjących na północy krewnych, znajdujących się w tragicznym położeniu”.

Oglądając zdjęcia z tej demonstracji, można odnieść wrażenie, że niektórzy z przechodzących obok niej południowych Koreańczyków okazują zainteresowanie, ale większość nie zatrzymała się, by wysłuchać przemówienia.

W grudniu 2006 roku społeczność ludzi obserwujących sytuację w Korei Północnej zaalarmowała wiadomość o aresztowaniu Adriana, jego kolegów i grupy uchodźców.

O wydarzeniu informowała również światowa prasa, ale nie zyskało ono rangi międzynarodowego incydentu, być może dlatego, że doszło do niego podczas świąt Bożego Narodzenia.

Niedługo przed wyruszeniem do Chin na ową feralną misję Adrian podróżował z Jae Ku, Amerykaninem koreańskiego pochodzenia, który odchodził właśnie ze stanowiska dyrektora projektu północnokoreańskiego we Freedom House, by zacząć pracę jako profesor Szkoły Zaawansowanych Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa.

Freedom House to założona w 1941 roku organizacja non profit finansowana głównie przez amerykański rząd, której zadaniem jest wspieranie demokracji, wolności politycznej i praw człowieka. Kiedy powstał LiNK, Freedom House zasilił organizację sumą dziesięciu tysięcy dolarów, żeby mogła ruszyć ze swoją działalnością. Adrian często jeździł razem z Ku na międzynarodowe konferencje i sympozja. Tym razem towarzyszył mu w trzydniowym wyjeździe do Japonii na spotkanie organizacji pozarządowych i polityków poświęcone Korei Północnej.

Po zakończeniu spotkania Ku spytał go o plany na ferie świąteczne.

– Lepiej, żeby pan nie wiedział – odparł.

Ku chciał jednak wiedzieć przynajmniej, w jakim kierunku się wybiera.

– Lecę do Władywostoku, żeby poszukać nowych szlaków dla uciekinierów.

Ku życzył mu powodzenia. To było coś, czego można się spodziewać po zuchwałym dwudziestolatku.

W wigilię Ku odebrał telefon. Dzwonił dyplomata z ambasady Korei Południowej w Waszyngtonie, który poinformował go o aresztowaniu Adriana. Chciał się dowiedzieć, czy Adrian ma południowokoreański paszport. Gdyby miał, ambasada mogłaby pomóc w wydostaniu go z Chin. Adrian go jednak nie posiadał – gdyby otrzymał taki dokument, byłby zobowiązany do odbycia osiemnastomiesięcznej służby wojskowej.

Po dziesięciu dniach amerykańskiej presji dyplomatycznej Chiny zgodziły się uwolnić trzech działaczy LiNK-u, ale los sześciorga uchodźców wciąż był niepewny. Adrian został deportowany do Stanów Zjednoczonych. Po krótkiej wizycie u rodziców w San Diego wrócił do Waszyngtonu, by działać dalej.

Gdy dotarł na miejsce, zajął się razem z kolegami ratowaniem Koreańczyków, których musieli zostawić w Chinach, przekazując mediom ich historię. Opowiedział o ich losie publicyście z „The Wall Street Journal" i 4 stycznia 2007 roku gazeta opublikowała artykuł redakcyjny zatytułowany *The Shenyang Six* [Szóstka z Shenyangu].

Mimo dyplomatycznego zamieszania wyglądało na to, że cała ta przygoda, włącznie z dziesięcioma dniami spędzonymi w chińskim więzieniu, nie osłabiła zapału Adriana – chociaż wciąż miotał się między wściekłością a smutkiem, gdy myślał o urzędniku konsulatu, który udaremnił misję, rozmawiając o niej przez niezabezpieczoną linię telefoniczną.

W mejlu rozesłanym 26 stycznia do osób wspierających LiNK Adrian napisał: „To dziwne uczucie – znaleźć się z powrotem w Waszyngtonie w naszym biurze i pisać na komputerze. Ci z was, którzy śledzili wiadomości, wiedzą, że ostatnie tygodnie nie były spokojne ani przyjemne. Były raczej nerwowe i dramatyczne". Dalej tłumaczył, że cała historia jeszcze się nie skończyła, ale na razie może powiedzieć tylko tyle. Prosił swoich sympatyków o cierpliwość – zanim będzie mógł powiedzieć coś więcej, muszą się zakończyć rozmowy prowadzone na wysokim szczeblu.

Doczekał do 1 marca, ale ponieważ nie doszło do żadnego przełomu, postanowił zwiększyć presję. Edward Royce, republikański kongresmen z Kalifornii, którego pracownicy przyjaźnili się z Adrianem, poświęcił czas, jaki przyznano mu na wystąpienie podczas toczących się w Kongresie przesłuchań w sprawie łamania praw człowieka w Korei Północnej, na publiczne odczytanie oświadczenia Adriana.

W oświadczeniu tym Adrian najpierw opowiedział o swoich doświadczeniach z amerykańskim konsulatem w Shenyangu

oraz ambasadą w Pekinie, a potem sformułował pod ich adresem poważne oskarżenie:

> Byłem przekonany, że tajne sieci przerzutu mogą uratować tysiące północnokoreańskich uchodźców, jeśli tylko znajdzie się naród, który zgodzi się ich przyjąć […] Jest absolutnie nie do przyjęcia, jest wręcz haniebne to, że amerykańska placówka dyplomatyczna odrzuca ludzi mających prawo do ubiegania się o azyl polityczny, a zwłaszcza tych, którym zagraża uwięzienie i odesłanie do kraju pochodzenia […]. Ci ludzie są zawracani przed naszymi drzwiami i wysyłani nie wiadomo dokąd, co jest pogwałceniem amerykańskich wartości, a być może również amerykańskiego prawa.

Dla Adriana pierwsze miesiące 2007 roku były okresem jeszcze intensywniejszej pracy na rzecz Korei Północnej. W marcu był w Genewie, gdzie przedstawił prezentację na temat tamtejszych obozów i uczestniczył w sesji Rady Praw Człowieka ONZ, a w lipcu wygłosił porywający wykład o Korei Północnej w siedzibie Google'a w Mountain View w Kalifornii. Następnie, w Waszyngtonie, wziął udział w Międzynarodowym Festiwalu Filmowym Shenzhou, podczas którego odebrał nagrodę w imieniu twórców filmu *Pociąg do Seulu*. Jego uczestnictwo w tych wszystkich wydarzeniach świadczyło z jednej strony o talencie do nawiązywania kontaktów, z drugiej zaś o tym, jak niewielu było młodych ludzi upominających się o przestrzeganie praw człowieka w Korei Północnej – a na ich mobilizacji najbardziej zależało garstce aktywistów.

W sierpniu amerykański rząd doprowadził wreszcie do zawarcia z Chinami umowy, dzięki której szóstka z Shenyangu została wypuszczona z kraju, ale zamiast do Stanów Zjednoczonych wysłano ich do Korei Południowej. Chiny nazwały ten gest „wyjątkiem" w ich polityce – wyjątkiem, który nie zmienia nic, jeśli chodzi o kolejnych uciekinierów ubiegających się

o azyl. I faktycznie, bardzo niewielu Koreańczykom z Północy udało się potem skorzystać z tego „korytarza”.

Stało się to zresztą znacznie trudniejsze. Chińska policja wzmocniła ochronę zachodnich ambasad i konsulatów, by skuteczniej wyłapywać uchodźców, zanim staną się przedmiotem politycznej rozgrywki.

Wciąż jednak zdarzały się jakieś sukcesy, nagłaśniane przez LiNK w kampaniach medialnych i podczas wizyt północnokoreańskich uchodźców w kampusach i salach konferencyjnych, gdzie mogli opowiedzieć swoje historie. Adrian spotykał się często z Josephem Kimem, który po ponad czterech miesiącach spędzonych w konsulacie w Shenyangu dotarł do Kalifornii.

Kim nie potrafił zrozumieć, dlaczego Adrian troszczy się o ludzi, których nigdy nie poznał. Jak pisał w swojej autobiografii, pomyślał kiedyś, że musi on być jednym z najbogatszych Amerykanów i dlatego może sobie pozwolić na pomaganie innym.

Gdy jednak odwiedził siedzibę LiNK-u w Waszyngtonie, zdziwił się, ponieważ trafił do zabałaganionego domu „pełnego dwudziestoparolatków stukających w klawiatury laptopów”. Był to jeden z pięciu lokali, w których trzy lata po tym, jak Adrian skończył studia, pracowali działacze jego organizacji.

„Dowiedziałem się – pisał Kim w autobiografii – że niektórzy z ochotników pracują na część etatu gdzie indziej tylko po to, by móc pomagać uchodźcom z Korei Północnej, mimo że pokończyli takie uczelnie jak Yale i Harvard. Z trudem wiązali koniec z końcem. Byłem zdumiony. Ci ludzie poświęcali »amerykański sen« po to, by pomagać osobom takim jak ja”[7].

W tym czasie innym ważnym wydarzeniem w życiu Adriana było spotkanie z W., zajmującą się pedagogiką młodą Amery-

kanką koreańskiego pochodzenia, która później została jego żoną. Połączyło ich pragnienie pomagania innym. W., tak jak on, była idealistką. Im bardziej jednak Adrian angażował się w sprawę Korei Północnej, tym ściślej dzielił własne życie na różne obszary. Pojawiał się wśród ludzi niespodziewanie, a o sprawach osobistych informował tylko najbliższych przyjaciół.

Ten związek musiał być czasem trudny. Adrian, zamiast zmniejszyć częstotliwość podróży, zwiększył ją, a o tym, co dokładnie robi i co zamierza, nie mówił nawet W.

W połowie 2008 roku podczas podróży do Seulu, gdzie miał odwiedzić tamtejsze biuro LiNK-u, Adrian oświadczył niespodziewanie, że odchodzi z organizacji. Nie było żadnego scenariusza sukcesji, ale jego zastępczyni Hannah Song stanęła na wysokości zadania i zgodziła się przejąć na jakiś czas obowiązki szefowej. Później powiedziała działaczom LiNK-u, że chociaż w ciągu kilku ostatnich miesięcy zaczęła dostrzegać, że Adriana ciągnie do nowego rodzaju działalności, to decyzja o zerwaniu z organizacją, którą sam założył, była dla niej szokiem.

Sam Adrian tłumaczył potem przyjacielowi: „LiNK już mnie nie potrzebował. Mogli dalej robić to, co robili, beze mnie". I faktycznie, chociaż niektórzy z pozyskanych przez niego kilka miesięcy wcześniej donatorów oferujących organizacji sześciocyfrowe sumy byli rozczarowani, Song zdołała przekonać członków organizacji i najważniejszych sponsorów do jej dalszego wspierania.

Adrian uświadomił sobie po prostu, choć nie ośmielił się tego powiedzieć publicznie, że to, co robił LiNK, nie wystarcza. Trzeba było zrobić coś więcej.

– Mogliśmy ratować uchodźców przez kolejne pięćset lat, ale to nie zmieniłoby sytuacji w tym kraju – powiedział mi później.

W tekście, który opublikował w „The New York Times" kilka miesięcy po swojej rezygnacji – prawie dwa lata po tym, jak został aresztowany w Chinach – wyjaśnił, dlaczego zmienił nastawienie. Nazwał w nim rozmowy sześciostronne „pożałowania godną porażką" i domagał się bardziej zdecydowanych działań.

Przyznał, że mylił się, unikając jasnego wezwania do zmiany systemu. „Dziś nie potrafię zaprzeczyć temu, co najchętniej uznałbym za nieprawdę – północnokoreańskie elity nigdy nie wyrzekną się narzędzi, które chronią je przed utratą władzy". A kilka akapitów dalej napisał: „Jeśli tego reżimu i jego działań nie można nazwać złem, to trzeba uznać, że słowo to straciło wszelkie znaczenie".

W tym czasie Adrian zwierzał się najbliższym przyjaciołom, że zamierza zrobić coś bardziej doniosłego, ryzykownego, a może nawet niebezpiecznego.

Niedługo po tym, jak ujawnił w prasie swoje stanowisko, pisarz John Cha, autor biografii koreańskich i amerykańskich przywódców, skrytykował go w wywiadzie dla wydawanej w San Francisco gazety „East Bay Express".

„Wydaje mi się, że on jest trochę stuknięty – mówił Cha. – Za bardzo wojowniczy. »Och, musimy się pozbyć Kim Dzong Ila«. Tak, świetnie, tylko jak to zrobić? Ale on potrafi tylko powiedzieć: »Chciałbym tam wejść i załatwić go tak, jak załatwiliśmy Saddama«".

Adrian przeczytał tę bezlitosną krytykę, ale zamiast się złościć, skontaktował się z Cha, żeby porozmawiać z nim o Korei Północnej. Ten powiedział mu, że wyzwolenie kraju jest niemożliwe, dlatego celem, jaki należy sobie wyznaczyć, jest jego rozłożona na lata stopniowa demokratyzacja.

Adrian słuchał uważnie, ale dodawał swoje opinie. Zanim spotkanie dobiegło końca, zgodzili się co do tego, że widzą pro-

blem podobnie, choć mają inne pomysły na rozwiązanie. Tego rodzaju otwartość w dyskusji pozwoliła Adrianowi pozyskać w kolejnych latach wielu sprzymierzeńców.

6 Projekt Pegaz

> Zatem pierwsze pytanie, jakie zadał sobie kapłan, pierwsze pytanie, jakie zadał sobie Lewita, brzmiało: „Jeśli zatrzymam się, by pomóc temu człowiekowi, co stanie się ze mną?”.
>
> Ale potem nadszedł dobry Samarytanin. I odwrócił pytanie: „Jeśli nie zatrzymam się, aby pomóc temu mężczyźnie, to co się stanie z nim?”.
>
> Martin Luther King o przypowieści o dobrym Samarytaninie[8]

Los Angeles, lata osiemdziesiąte

Christopher Ahn dorastał w Kalifornii i nie myślał zbyt wiele o Korei Północnej. Jego rodzice wyemigrowali z Korei Południowej do Stanów Zjednoczonych jeszcze przed jego narodzinami w roku 1981 i zachęcali go do możliwie najpełniejszej asymilacji z amerykańską kulturą.

Jego matka, ciotka i babka zachowały koreańską tożsamość. Podczas rodzinnych spotkań śpiewały i opowiadały po koreańsku, podawały też tradycyjne potrawy, takie jak sogogi muguk, czyli zupę rzodkiewkową na wołowinie, i japoński omlet z ryżem omurice. Generalnie jednak Christopher i jego młodszy brat dorastali tak jak wszyscy inni amerykańscy chłopcy z przedmieścia – grali w baseball i spędzali czas na plaży z kolegami.

Na początku lat dziewięćdziesiątych ojciec Christophera, Young Chul Ahn, dawniej służący w amerykańskich siłach powietrznych jako operator radaru, otworzył sklep z odzieżą w dzielnicy mody Los Angeles, niedaleko centrum i Skid Row. Sprzedawał modne wówczas ubrania w stylu streetwear i czę-

sto zatrudniał didżeja. To był sukces. Jednak w 1992 roku miasto ogarnęły zamieszki wywołane uniewinnieniem przez sąd czterech policjantów, którzy pobili Rodneya Kinga. Oburzenie tą decyzją sięgnęło zenitu, gdy do światowych mediów trafił nagrany przez przypadkowego świadka film przedstawiający brutalny atak funkcjonariuszy na czarnego kierowcę.

Drugiego dnia po uniewinnieniu policjantów zamieszki przeniosły się do dzielnicy koreańskiej, położonej kilka kilometrów na zachód od dzielnicy mody. Podczas gdy policja blokowała ulice prowadzące do bardziej zamożnych, zamieszkałych głównie przez białych części miasta, takich jak Beverly Hills i West Hollywood, dzielnica koreańska pozostała prawie bez żadnej ochrony. Właściciele sklepów próbowali ocalić je przed szabrownikami, czasem z bronią w ręku, ale ostatecznie okazało się, że połowa szkód w mieście, wycenionych łącznie na osiemset pięćdziesiąt milionów dolarów, została wyrządzona właśnie tam.

Wprawdzie sklep Ahna nie został zniszczony przez tłum plądrujący dzielnicę koreańską, ale zamieszki wpłynęły na sytuację w dzielnicy mody. Z dnia na dzień strumień klientów kupujących streetwearowe ubrania wysechł kompletnie – po części z powodu napięć między czarnymi i koreańskimi mieszkańcami Los Angeles, wywołanymi przez Koreańczyka, który zastrzelił w swoim sklepie niewinną piętnastoletnią dziewczynę, biorąc ją za złodziejkę. (Na opublikowanym później filmie widać, że miała w dłoni pieniądze, którymi chciała zapłacić za zakupy). W obliczu finansowej zapaści ojciec Christophera Ahna postanowił zreformować swój biznes i wprowadził do sprzedaży własną markę spodni.

Rodzina sprzedała dom i wynajęła inny, a zaoszczędzone pieniądze zainwestowała w firmę sprzedającą elegancką odzież, którą ojciec nazwał Zannini. Nazwa ta miała kojarzyć

się z wysoką jakością włoskich ubrań – chociaż firma nie miała żadnych związków z tym krajem. Przedsiębiorczy Young Chul podpisał umowy z chińskimi producentami i od tej pory razem z żoną pracował całymi dniami nad rozkręceniem nowego biznesu. Jednak gdy rodzina pomału wydobywała się z finansowej zapaści, zaczął się skarżyć na problemy z żołądkiem.

Wyniki pierwszej biopsji okazały się niepokojące, więc zalecono kolejną. To był rak żołądka. Cztery dni po pierwszej wizycie u lekarza Young Chul zmarł, a siedemnastoletni Christopher stał się głową rodziny. Ta nagła strata była druzgocącym ciosem dla wszystkich – jego młodszego brata, matki i babki – bo ich przyszłość zależała od firmy, która jeszcze nie wystartowała.

To był trudny czas dla całej rodziny. Christopher i jego matka musieli się zająć prowadzeniem firmy. Nieoczekiwana zmiana sytuacji oznaczała dla nich poważne ryzyko. Obawiali się, że jeśli chińscy dostawcy dowiedzą się o nagłej śmierci Young Chula, mogą stracić wszystko, co u nich zamówili. Za każdym razem, gdy dzwonili chińscy partnerzy, Christopher i jego matka, We Young Ahn, wymyślali jakieś wymówki. W czasie tych rozmów Christopher bez mrugnięcia okiem podejmował decyzje dotyczące wyboru materiału i liczby sztuk.

Prowadzili tę grę przez siedem miesięcy. Christopher dzielił czas między naukę w liceum a firmę. Gdy zamówiony towar dotarł w końcu do Los Angeles, chłopak poleciał z matką do Chin, by wyjaśnić partnerom handlowym, że Young Chul nie żyje. Obawy były bezpodstawne. Chiński dostawca uronił łzę z powodu śmierci ojca Christophera i zapewnił, że będą kontynuować współpracę w imię jego pamięci.

W szkole Christopher miał opinię beztroskiego młodzieńca, ale gdy po śmierci ojca wziął na swoje barki zarządzanie ro-

dzinnym biznesem, spoważniał. Po ukończeniu liceum, przed rozpoczęciem studiów, wstąpił do Rezerwy Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. „Chciałem jak najszybciej stać się mężczyzną" – opowiadał później. Ale nawet w obozie dla rekrutów, gdzie jego życie zyskało nowy wymiar, ciężkie brzemię odpowiedzialności pozostało. Matka przysyłała do obozu próbki ubrań, by mógł podejmować decyzje w sprawie produktów Zannini. Instruktorzy, którzy uczyli go musztry, byli zdumieni, gdy zorientowali się, że Christopher w czasie morderczego treningu pomaga w prowadzeniu rodzinnego biznesu.

Jesienią 2000 roku, po trzynastotygodniowym szkoleniu w bazie Korpusu Piechoty Morskiej w San Diego, Ahn zaczął pierwszy semestr studiów na wydziale nauk politycznych Uniwersytetu Kalifornijskiego w Irvine. Każdego miesiąca poświęcał jeden weekend na ćwiczenia w bazie marynarki wojennej w Seal Beach.

Dzięki staraniom Christophera i jego matki marka Zannini zaczęła przynosić zyski, ale gdy w branży sprzedaży detalicznej zaczęły się problemy, w 2003 roku postanowili sprzedać firmę chińskim partnerom. Dzięki temu Christopher mógł skupić się na studiach.

Po ich ukończeniu miał podjąć pracę jako handlowiec w Teksasie. Wiązałoby się to z przeniesieniem do tamtejszej jednostki piechoty morskiej. Wtedy jednak – był rok 2005 – dowiedział się, że jego koledzy ze służby mają zostać wysłani do Faludży. Ameryka zakończyła właśnie jedną z najkrwawszych bitew wojny w Iraku, która przeszła do historii jako operacja Phantom Fury albo druga bitwa o Faludżę. Miasto zostało poważnie zniszczone i stało się wyjątkowo niebezpiecznym miejscem.

W poczuciu lojalności wobec ludzi, z których wielu traktowało go jak starszego brata, Christopher odwołał wyjazd do Teksasu, poprosił o przydzielenie go do dawnej jednostki i rok po ukończeniu studiów wyjechał do Faludży, gdzie służył jako analityk wywiadu.

W prowadzonych tam w wolnym czasie rozmowach opowiedział kolegom z piechoty morskiej o tym, jak jego ciotka podczas wojny w Korei została uratowana przez amerykańskiego żołnierza. Jego babka uciekała z Seulu z dwiema córkami, ale w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że jedna z nich – ciotka Christophera, która dopiero uczyła się chodzić – gdzieś się zgubiła. Kiedy spotkała żołnierza, potrafiła powiedzieć po angielsku tylko: „*Baby, baby!*". On jednak zrozumiał i pomógł jej odnaleźć dziewczynkę.

– Ten facet odmienił nasze życie – powiedział im. – Dla naszej rodziny jest prawdziwym bohaterem.

Ta historia była jednym z głównych powodów, dla których Christopher chciał również zostać amerykańskim żołnierzem, idąc tym samym w ślady ojca. Young Chul nauczył go doceniać szanse, jakie Ameryka dawała pierwszym pokoleniom imigrantów. Dlatego w Iraku namawiał kolegów z piechoty morskiej, by spojrzeli na sytuację tamtejszych mieszkańców jako ich główne zadanie – mieli ich nie tylko bronić, lecz także pomagać im w budowaniu nowego społeczeństwa.

Po trwającym blisko rok zaciągu zrezygnował ze służby w armii. Ale po tak długim pobycie w Iraku szukanie dla siebie nowego miejsca w życiu było niełatwe. Koniec końców Christopher wybrał coś, co wydawało mu się naturalną kontynuacją misji – dołączył do działającej na rzecz weteranów organizacji Vets for Freedom z siedzibą w Waszyngtonie. Jej szefem był David Bellavia, również weteran i jeden z niewielu żyjących żołnierzy odznaczonych Medalem Honoru. Bellavia i Ahn za-

mieszkali w jednym mieszkaniu, gdzie godzinami rozmawiali o wojnie. Z czasem Bellavia zaczął ją postrzegać podobnie jak jego kolega.

„Dla mnie przeciwnik był kimś, kogo muszę zabić, żeby go unieszkodliwić – opowiadał. – Ale on zawsze widział w przeciwniku człowieka, który staje się ofiarą. Nigdy nie spotkałem faceta noszącego mundur, który miałby w sobie tak wiele empatii”.

Gdy podczas kryzysu finansowego w 2008 roku organizacja utraciła źródła finansowania, Ahn po raz pierwszy w życiu poczuł, że nie wie, co robić dalej. Zastanawiał się, czy nie pójść do jakiejś szkoły biznesu. Mama, którą zostawił w Los Angeles, utrzymywała się z pieniędzy ze sprzedaży firmy Zannini, ale potrzebowała też pomocy synów. Wciąż mieszkała ze swoją matką, babką Christophera. Był zagubiony.

Chciał zrobić coś nowego. Ale co?

I wtedy spotkał kogoś, kto odmienił jego życie.

W południe 5 kwietnia 2010 roku Adrian Hong wszedł do restauracji sieci Lolita’s Mexican Food w San Diego. Kilka minut później podszedł do niego z szeroko otwartymi ramionami uśmiechnięty Christopher Ahn.

Dwaj mężczyźni zaczęli znajomość, przegryzając burrito w bezpretensjonalnej restauracji znanej ze wspaniałych frytek carne asada. Skontaktował ich ze sobą amerykański biznesmen koreańskiego pochodzenia, który poznał każdego z nich w zupełnie różnych okolicznościach: Adriana, gdy ten szukał funduszy dla LiNK-u, a Christophera, gdy chłopak odezwał się do niego niespodziewanie po lekturze jego bloga.

W pewnym sensie byli swoimi przeciwieństwami. Adrian roztaczał wokół siebie aurę tajemniczości i często przemawiał podniosłym tonem obrońcy praw człowieka. Christopher był

bardziej otwarty i skromniejszy. Mimo imponującej postury i groźnego wrażenia, jakie robił na ludziach, gdy przestawał się uśmiechać, był bardzo wrażliwym i spostrzegawczym człowiekiem, dodatkowo obdarzonym odziedziczoną po ojcu przedsiębiorczością. „Ja tylko chcę pomóc” – mówił ludziom i rzadko przyjmował komplementy czy wyrazy wdzięczności.

W tym czasie Adrian już od roku nie zajmował się LiNK-iem i podobnie jak Christopher zastanawiał się nad kolejnym etapem swojego życia. Wciąż myślał o Korei Północnej, ale żeby mieć jakikolwiek wpływ na to, co się w niej dzieje, potrzebował pieniędzy.

Do amerykańsko-koreańskiego biznesmena zwrócił się po radę w sprawie firmy konsultingowej Pegasus Strategies – nazwa ta była dowodem jego długiej fascynacji mitycznym uskrzydlonym koniem – którą właśnie założył. Było to przedsięwzięcie czysto biznesowe. Firma miała pomagać początkującym przedsiębiorcom w organizacji działalności i szkoleniach personelu, ale niemal wszystkie zyski, jakie przynosiła, Adrian inwestował w działalność związaną z Koreą Północną. Miał żyłkę do interesów – jego znajomi zastanawiali się później, co by się stało, gdyby zamiast zajmować się Koreą, założył wtedy spółkę technologiczną.

Podczas tamtego spotkania Ahn, który niedawno wrócił do Kalifornii po odejściu z Vets for Freedom, poprosił Adriana o radę w sprawie założenia własnego biznesu. Czy powinien pójść na studia MBA? Adrian zdecydowanie mu to odradził. Powiedział, że on sam – po tym, jak niemal został wyrzucony z Yale, ponieważ nauka przeszkadzała mu w robieniu tego, co chciał – nie widzi sensu w studiowaniu.

– Uczenie się biznesu to głupota – powiedział. – Jeśli chcesz coś zrobić, zrób to od razu. Jeśli jest w tobie pasja, ona udzieli

się ludziom.

Słysząc tę deklarację wiary, Ahn mógł się tylko uśmiechnąć. Jedli i opowiadali sobie różne historie. Ahn zorientował się, że Adrian kieruje się w życiu przede wszystkim „pragnieniem czynienia dobra". Spodobało mu się to, ponieważ sam szukał dla siebie zajęcia, które pozwoli mu „robić krok po kroku coś, co zmieni świat na lepsze".

Zanim się pożegnali, Ahn zwrócił się do Adriana:

– Słuchaj, wiem, że będziesz zajmował się w przyszłości różnymi rzeczami. Mnie interesują takie sprawy jak LiNK. Jeśli będziesz potrzebował jakiejkolwiek pomocy, daj znać.

Wtedy mogło się to wydawać niewiele znaczącą formułką rzuconą na pożegnanie. Później zdali sobie sprawę, że był to moment, w którym ich życia splotły się ze sobą – a potem zostały radykalnie odmienione.

Christopher nie skorzystał z rady Adriana i zapisał się do Szkoły Biznesu Dardena na Uniwersytecie Wirginii.

Wkrótce jednak spotkali się po raz drugi.

Adrian nie miał wprawdzie szacunku do szkół biznesu, lecz nie był całkowicie antysystemowy. Po odejściu z LiNK-u został wytypowany do pierwszego rocznika stypendystów programu TED Fellows. Jako obyty ze współczesną techniką i pragnący pomagać ludziom idealista był doskonałym kandydatem. Do 2009 roku wykłady TED Talks zdążyły się już stać znaną marką. Było to zasługą Chrisa Andersona, przedsiębiorcy z branży medialnej, którego fundacja odkupiła osiem lat wcześniej markę TED Conferences od jej dwóch założycieli i zrealizowała w jej ramach mnóstwo wydarzeń oraz materiałów filmowych prezentujących „najbardziej inspirujących myślicieli świata".

Po tych pierwszych sukcesach fundacja rozpoczęła program stypendialny TED Fellows, skierowany do intelektualistów i uczonych młodego pokolenia. Dzięki pomocy finansowej Jeffa Bezosa, fundacji Google i innych darczyńców dołączył on do grupy innych programów wspierania ludzi pragnących zmienić świat na lepsze, takich jak słynna nagroda MacArthur Genius Grant.

W TED skupiano się na młodych „naprawiaczach świata". Kandydaci na stypendystów mogli mieć od dwudziestu jeden do czterdziestu lat i musieli się wykazać wyjątkowymi osiągnięciami w swojej dziedzinie. Fundacji nie chodziło tylko o pokazywanie idei, lecz także o ich inspirowanie. Dwadzieścioro z pięćdziesięciorga wybranych stypendystów jest zapraszanych ponownie jako TED Senior Fellows do trzyletniego programu, podczas którego otrzymują fundusze na uczestniczenie w konferencjach i dalszą pracę nad swoimi ideami i projektami.

W lutym 2009 roku, w mejlu dotyczącym pierwszego rocznika stypendystów (w którym znalazł się Adrian), dyrektor TED Conferences Tom Rielly napisał: „Ci mężczyźni i kobiety zostali wybrani dzięki swoim dotychczasowym dokonaniom, ale także dzięki nadziejom, jakie stwarzają na przyszłość. Każde z nich ma realny potencjał wywoływania pozytywnych zmian [...] zarówno w swoich krajach, jak i na całym świecie".

W przypadku Adriana komisja kwalifikacyjna TED była pod wrażeniem planowanego przezeń Pegasus Project, czyli Projektu Pegaz. W przeciwieństwie do nazywającej się podobnie firmy konsultingowej Pegasus Strategies inicjatywa ta była ważnym elementem akcji pomocy Korei Północnej. W artykułach i wywiadach w kolejnych latach Adrian przedstawiał ją na różne sposoby. W roku 2009 nazwał ją „częścią »kolei pod-

ziemnej« dla północnokoreańskich uchodźców" i wyjaśnił, że jej cele są podobne do dawnych celów LiNK-u.

Jednak w roku 2010, gdy został wybrany na jednego z dwudziestu pierwszych TED Senior Fellows, kładł nacisk na technologiczny aspekt projektu, który w broszurze TED opisał jako „inicjatywę mającą na celu przenikanie za pomocą najnowszych technologii do zamkniętych społeczeństw i wyposażenie ich członków w narzędzia umożliwiające im wzajemną komunikację oraz kontakt ze światem zewnętrznym".

Wykorzystanie technologii do zwalczania reżimu Kima było dla Adriana ekscytującą i potencjalnie przełomową koncepcją po latach prób pomagania mieszkańcom Korei Północnej z zewnątrz, czyli poprzez skomplikowaną sieć organizacji dobroczynnych i grup religijnych nastawionych na ochronę praw człowieka.

Adrian doszedł do przekonania, że w tym kraju nie dojdzie do żadnej zmiany bez upowszechnienia dostępu do informacji. Reżim Kima mógł tak skutecznie kontrolować poddanych nie tylko dzięki swojej bezwzględności, lecz także dlatego, że zdołał ich utrzymać w całkowitej izolacji od światowej kultury i prawdy na temat życia mieszkańców innych krajów. Przeciętnemu obywatelowi łatwiej było uwierzyć w państwową propagandę – powtarzaną i nasilającą się każdego dnia – niż wytężać umysł, próbując wyobrazić sobie obce kraje.

Thomas Schäfer, były niemiecki ambasador w Korei Północnej, który mieszkał tam łącznie przez ponad osiem lat na początku XXI wieku – niewielu zachodnich dyplomatów zostawało tak długo – twierdził, że tamtejszy system jest silniejszy niż sprawujące w nim władzę jednostki, czyli członkowie rodziny Kimów. Podstawowym celem systemu było wymuszenie na obywatelach posłuszeństwa.

„Trzeba ich doprowadzić do wyczerpania – mówił Schäfer, wyjaśniając sposób myślenia reżimu. – Trzeba dawać im nieustannie męczące zadania. Trzymać ich w ryzach, tak by nie mieli czasu na myślenie o nowych ideach. Gdy będą już wyczerpani, podporządkują się”.

Nie ma na świecie – i zdaje się, nigdy nie było – społeczeństwa równie zamkniętego. Było ono takie od chwili powstania państwa pod koniec II wojny światowej – czyli od początku ery megalomańskiego, owładniętego obsesją kontroli Kim Ir Sena.

Uciekinierzy z Korei Północnej i obrońcy praw człowieka w tym kraju opowiadają, że jego mieszkańcy muszą każdego dnia zapisywać w specjalnych notatnikach, w jaki sposób zawiedli w okazywaniu lojalności wobec państwa i jak zawiedli w tym względzie ich znajomi. Następnie co tydzień, po wysłuchaniu ideologicznych prelekcji, każdy musi publicznie wskazać tych, którzy się takich zaniedbań dopuścili. System jest groźny, a zarazem śmiertelnie nudny. Jedynym sposobem na przetrwanie jest dogadanie się z innymi, jakie drobne przewinienia mogą sobie wzajemnie zarzucić – przewinienia dość istotne, by zasługiwały na wytknięcie, ale nie na tyle poważne, by wymagały zabiegów dyscyplinujących.

Szczuto na siebie sąsiadów, ale państwo zdołało doprowadzić też do osłabienia więzi rodzinnych. Wszyscy mieszkańcy Korei Północnej kończący szkołę średnią muszą odbyć siedmioletnią służbę wojskową. Według organizacji zajmujących się prawami człowieka w tym czasie zwykle nie widują się oni ze swoimi rodzinami. Często się zdarza, że ludzie przez całe życie nie wyjeżdżają z miejscowości, w której się urodzili – choćby po to, by spotkać się z mieszkającymi gdzie indziej dziadkami.

Dawni przywódcy narodu są czczeni z religijną żarliwością. Założyciel Korei Północnej Kim Ir Sen zwany jest Wielkim

Przywódcą, a Kim Dzong Il – Ukochanym Przywódcą. W Pjongjangu codziennie o szóstej rano przez megafony nadawana jest instrumentalna wersja pieśni *Gdzie jesteś, ukochany generale?*. Pochodzi ona z opery rewolucyjnej z 1971 roku zatytułowanej *Prawdziwa córa Partii*. Później rządowi propagandyści sfałszowali historię, ogłaszając, że jej twórcą jest sam Kim Dzong Il. Żaden dorosły obywatel nie wychodzi z domu bez wpiętego w ubranie portretu Ukochanego Przywódcy.

Propaganda nigdy nie ustaje. Jednym z jej celów jest umacnianie w społeczeństwie mitologii trzech przywódców. Drugim – odcięcie ich od reszty świata, co pod koniec XX i na początku XXI wieku, gdy informacje okrążają Ziemię niemal w mgnieniu oka, wydaje się niewyobrażalne.

Jedynymi źródłami informacji są kontrolowane przez państwo gazety, takie jak „Rodong Sinmun”, czyli „Gazeta Robotnicza”, oficjalny organ prasowy Komitetu Centralnego Partii Pracy Korei, najwyższej władzy w kraju. W wiadomościach z Korei Północnej można zobaczyć grupki pasażerów metra w Pjongjangu zebranych wokół najnowszego wydania pisma umieszczonego w szklanej gablocie. Radio i telewizja wychwalają nieustannie nieomylność władz reżimu. Do umysłów obywateli nie dociera nic, co nie zostało wcześniej przeżute i przemielone przez machinę propagandową.

Większość mieszkańców Korei Północnej nie ma dostępu do komputera, a tym bardziej do internetu. Tylko najwyższa kasta społeczeństwa może korzystać z wewnątrzkrajowej sieci zwanej Gwangmyeong. Z opowieści przekazywanych przez uciekinierów obrońcom praw człowieka wynika, że niektórzy mieszkańcy odległych obszarów wiejskich nie mają prawa wjazdu do dużych miast, takich jak Pjongjang, ponieważ nadano im status „wrogów". Mają zaledwie mglistą świadomość kształtu granic kraju, a jeszcze mniej wiedzą o rzeczach takich jak internet.

Internet jest dostępny tylko dla niewielkich grup funkcjonariuszy reżimu i zagranicznych dyplomatów. Śledztwo przeprowadzone przez „The Wall Street Journal" ujawniło, że cieszący się złą sławą północnokoreańscy hakerzy działają prawie wyłącznie z zagranicznych lokalizacji w porozumieniu ze szpiegami i dyplomatami pracującymi w ambasadach Korei Północnej. Kiedy Adrian rozpoczynał Pegasus Project, kraj ten połączył się właśnie po raz pierwszy z internetem za pośrednictwem założonej w Tajlandii firmy joint venture. Do końca 2014 roku zarejestrowano w nim zaledwie 1024 adresy IP – to jednak wystarczało, by z sieci mogły korzystać tysiące pracowników północnokoreańskich ministerstw.

Pojawiła się jednak inna droga dla informacji. Wiele pochodzących z Chin odbiorników telewizyjnych ma porty USB umożliwiające oglądanie filmów i programów telewizyjnych nagranych na pendrajwy. Rozkwitł więc rynek zakazanych nagrań, oglądanych szczególnie chętnie w pobliżu chińskiej granicy, gdzie ludzie mogą widzieć na własne oczy jasne światła położonego po drugiej stronie rzeki Jalu miasta Dandong.

Adrian i wielu innych wierzyli, że rozrywka może być potężną bronią w walce o osłabienie reżimu. Nawet Kim Dzong Il

rozumiał moc srebrnego ekranu i przeznaczał znaczące środki na produkcję wzruszających patriotycznych filmów.

Do pokazywania mieszkańcom Korei Północnej tego, jak wygląda życie poza jej granicami, najlepiej nadawały się filmy i programy telewizyjne z Korei Południowej. Były łatwiejsze do zrozumienia, a poza tym można było je wysyłać za granicę szlakami przemytniczymi. Północnokoreańscy aktywiści wymyślali też inne, czasem osobliwe metody dystrybucji, takie jak przyczepianie ich do balonów, które przy sprzyjających wiatrach docierały do północnego sąsiada.

Adrian skontaktował się z myślącymi podobnie jak on działaczami z Korei Południowej, między innymi z grupą Fighters For a Free North Korea (Bojownicy na rzecz Wolnej Korei Północnej), która zwróciła na siebie uwagę właśnie tym kontrowersyjnym pomysłem wysyłania z dogodnych miejsc przyczepionych do balonów odbiorników radiowych, płyt DVD i nośników pamięci USB. Tym sposobem ściągnęła ona na siebie gniew nie tylko Korei Północnej – za wyzwanie rzucone reżimowi, lecz także Południowej – za stworzenie zagrożenia dla obywateli mieszkających przy granicy i za niepotrzebne rozognianie atmosfery oraz podsycanie napięcia między dwoma państwami.

Adrian miał jednak nadzieję, że utworzenie wyłomów w wielkim murze – idea przyświecająca jego projektowi realizowanemu w ramach TED – umożliwi wytyczenie nowych dróg przekazywania informacji i zachęci mieszkańców Korei Północnej do buntu. W sytuacji gdy inicjatywy polityczne doprowadziły do impasu, rozwiązania technologiczne wydawały się inspirującym kierunkiem myślenia.

Jednym z pomysłów Adriana było znalezienie zamożnych sponsorów, którzy pomogliby w sfinansowaniu czegoś w rodzaju pirackiego internetu. Miał on być emitowany z satelity,

tak by każdy, kto ma sprzęt łączący się z Wi-Fi, mógł zyskać dostęp do prawdziwszego obrazu własnego kraju i świata. Jednak tak jak w przypadku wielu innych jego projektów, sam pomysł był najłatwiejszą częścią przedsięwzięcia.

W mowie *Hackers for Human Rights* [Hakerzy na rzecz praw człowieka] wygłoszonej w Nowym Jorku w lipcu 2010 roku na konferencji HOPE (Hackers on Planet Earth, czyli Hakerzy Planety Ziemia) Adrian – ubrany w niebieską koszulę, dokładnie ogolony, z żelem na włosach – przedstawił zebranym wizję zaoferowania obrońcom praw człowieka na całym świecie bezpieczniejszych metod komunikacji i działania w trudnych okolicznościach.

Poprosił uczestników spotkania o pomoc w stworzeniu narzędzi umożliwiających omijanie zapór sieciowych i prowadzenie anonimowej komunikacji, które uchronią przed aresztowaniem dysydentów i aktywistów wyrażających swoje poglądy. Zasugerował im, by spotkali się później poza salą konferencyjną, bo nie może wyjaśnić bardziej szczegółowo swoich pomysłów „w świetle kamer".

Gdy skończył omawiać rolę technologii w walce o prawa człowieka, przedstawił dobitniej niż kiedykolwiek wcześniej istotę swojej działalności na rzecz mieszkańców Korei Północnej. Opisując swoją podróż, powiedział, że dwa lata wcześniej – w czasie gdy odchodził z LiNK-u – doświadczył objawienia.

Wielu aktywistów mówiących o tym, co skłoniło ich do działania, powtarza często dobrze znany refren: „Co pomyślą o nas nasze dzieci, gdy spojrzą po latach na to, co robiliśmy?". Dla Adriana jednak zasadnicze pytanie nie dotyczyło następnego pokolenia, lecz sensu istnienia całej ludzkości.

– Po co nam ta cała cywilizacja, lśniące drapacze chmur i nowoczesne technologie, jeśli ludziom odrąbuje się kończyny

na oczach ich bliskich tylko dlatego, że mówią innym językiem? – zapytał. Uważał, że bezczynność niewiele różni się od wspierania najgorszych aspektów ludzkiej natury.

Tłumaczył, że jednym ze źródeł jego objawienia z 2008 roku była ostatnia mowa Martina Luthera Kinga, którą wygłosił niedługo przed tym, jak został zamordowany. King przedstawił w niej nową interpretację biblijnej przypowieści o dobrym Samarytaninie. Obok drogi leży poraniony wędrowiec. Żydowski kapłan, a potem lewita mijają go obojętnie. Dopiero trzeci przechodzień, Samarytanin, zatrzymuje się, by mu pomóc.

W tradycyjnym ujęciu Samarytanin okazuje się bohaterem, ponieważ pomaga wędrowcowi, ale King proponuje głębszą interpretację. Zarówno kapłan, jak i lewita mogą mieć dobre powody, by się nie zatrzymywać. Pierwszy może się obawiać, że nie zdąży wygłosić kazania, drugi – że narazi się na niebezpieczeństwo. Obaj myślą tak: „Co stanie się ze mną, jeśli się zatrzymam, by pomóc temu człowiekowi?".

Martin Luther King tłumaczy, że Samarytanin zadał inne, nowe pytanie o tę sytuację: „Co stanie się z tym człowiekiem, jeśli się nie zatrzymam, by mu pomóc?".

To właśnie było pytanie, na które chciał odpowiedzieć Adrian. To ono doprowadziło go do wstąpienia – niezależnie od konsekwencji – na drogę walki o wolność w Korei Północnej.

– To jest idea, która zmienia wszystko – powiedział tłumowi zgromadzonych w Nowym Jorku hakerów.

Jeśli za pomocą nowych technologii uda się na bieżąco wydobywać na światło dzienne pogwałcenia praw człowieka, to jak moglibyśmy – my, przechodnie – nie zatrzymać się, by pomóc, bez względu na ryzyko?

„Co stanie się z tymi ludźmi, jeśli nie zatrzymamy się, by im pomóc?" – pytał.

Pomysłów Adrian miał pod dostatkiem, trudniej jednak było o fundusze i chętnych do działania partnerów. Rozziew między jego aspiracjami a realiami działalności społecznej w XXI wieku przyprawiał go nierzadko o ból głowy.

Jednym z ludzi obserwujących z bliska, jak Adrian próbuje radzić sobie z tym rozziewem, był Michael Horowitz, żydowski obrońca praw człowieka, który w ramach konserwatywnego think tanku Hudson Institute prowadził International Religious Liberty Project (Międzynarodowy Projekt na rzecz Wolności Religijnej). Horowitz i Adrian poznali się i polubili w czasie, gdy Adrian starał się skłonić administrację Busha do uznania uciekinierów z Korei Północnej za uchodźców.

Horowitz był w Waszyngtonie znany z umiejętności przekonywania przedstawicieli partii o odmiennych sposobach myślenia i poglądach politycznych do angażowania się we wspólne projekty. Po uchwaleniu w 2004 roku Ustawy o prawach człowieka w Korei Północnej chciał nakłonić działaczy, duchownych i organizacje humanitarne do wywarcia jeszcze silniejszej presji na reżim Kima i skupienia się na potwornych pogwałceniach praw człowieka w tym kraju.

Horowitz dostrzegł w Adrianie potencjalnego lidera, kogoś kto potrafiłby nagłośnić te starania. Powiedział mu nawet, że mógłby zostać pierwszym amerykańskim prezydentem koreańskiego pochodzenia – nie wiedział bowiem, że urodzony w Meksyku Adrian nie miał prawa startować w wyborach.

W ich dyskusjach pojawiały się czasem złośliwości, ale spory zawsze były pełne wzajemnego szacunku. „Ciągle z niego żartowałem – wspomina Horowitz. – Adrian, masz dość inteligencji, motywacji i umiejętności, by zostać postacią historyczną. Możemy obalić ten reżim. [...] Ale dla niego było to o jeden most za daleko. Na propozycję zostania rzecznikiem naszej sprawy reagował niechętnie”.

Horowitz doceniał ofiarność młodszego kolegi, nawet jeśli nie chciał on się podjąć publicznej roli, w jakiej go widział. Dla niego było jasne, że Adrian mógłby zbić fortunę, gdyby zajął się prawem lub bankowością. On jednak, ze swoimi kwalifikacjami zdobytymi na prestiżowej uczelni, rzucił wszystko dla sprawy.

Szczególne światło na stan umysłu Adriana rzuca ich korespondencja z 12 listopada 2009 roku. Po narzekaniach Horowitza na brak osoby, która potrafiłaby zmobilizować Amerykanów koreańskiego pochodzenia do działań na rzecz Korei Północnej, o dwudziestej drugiej dwanaście Adrian odpisał:

> nikt nie wybierał mnie na prezydenta społeczności amerykańskich Koreańczyków. Nie wiem, co odpowiedzieć na twoje pretensje do naszej społeczności, ale wierz mi – moje rozczarowanie jest jeszcze głębsze niż twoje. Próbuję ich zmobilizować, ale nie spodziewam się zbyt wiele. Rozumiem twoją frustrację, ale powinieneś wiedzieć, że dając jej wyraz w postaci zgryźliwych komentarzy, nie zyskasz sprzymierzeńców.

Horowitz odpowiedział o dwudziestej drugiej czterdzieści dziewięć:

> kiedy ty albo jakikolwiek lider amerykańskich Koreańczyków zaryzykujecie wykluczenie lub porażkę, podejmując decyzje bez oglądania się za siebie, by sprawdzić, kto za wami podąża?

Adrian poczuł się skarcony, więc o dwudziestej trzeciej siedemnaście napisał:

> przestałem oglądać się za siebie dawno temu. w rezultacie trafiłem do chińskiego więzienia, ale nie żałuję, bez wahania zrobiłbym to jeszcze raz. nie bardzo wiem, co masz na myśli, kiedy mówisz „nie czekaj, po prostu to zrób”. rzuciliśmy się śmiało – może zbyt śmiało – w działalność konspiracyjną i zapłaciliśmy za to, ale nadal pra-

cujemy. jak jednak możemy przewodzić naszej społeczności, nie zatrzymując się czasem, żeby POCZEKAĆ? mogę wydać tyle komunikatów prasowych i zwołać tyle spotkań, ile mi się spodoba, ale jeśli nikt się nimi nie zainteresuje, nic nie osiągniemy. w tutejszej koreańskiej społeczności dokonuje się powolna zmiana, która zaczęła się wiele lat temu. wielu pionierów i sponsorów podziemnej działalności to amerykańscy Koreańczycy. ludzie, na których czekam, to nie przywódcy wspólnot religijnych ani politycy, lecz osoby będące w stanie pomóc nam w zdobyciu paliwa, którego potrzebujemy, by nasz wóz jechał dalej. ja trzymam się jeszcze tej społeczności mimo osobistego rozczarowania – oni są przecież w najdosłowniejszym sensie moją rodziną, więc ich moralna dwuznaczność (i tchórzostwo) jest dla mnie tym bardziej niszcząca.

Być może w tym czasie Adriana zaprzątała jeszcze jedna sprawa wzmagająca napięcie, w jakim żył. W sierpniu, na kilka miesięcy przed tą wymianą korespondencji z Horowitzem, ożenił się z W. Nie porzucił oczywiście z tego powodu marzenia o wyzwoleniu Korei Północnej, ale teraz musiał myśleć również o swojej nowej rodzinie.

Pozycja Adriana rosła, a lista kontaktów z ważnymi ludźmi była coraz dłuższa, lecz w porównaniu z jego mentorem Jae Ku, który wsparł finansowo LiNK na samym początku działalności, był zaledwie młodzieńcem, który próbuje dopiero odnaleźć swoje miejsce w świecie.

Zawsze gdy Ku widywał się z Adrianem, nawet po tym jak otrzymał on stypendium TED i inne wyrazy uznania, traktował go jak biednego studenta i na koniec spotkania dawał mu wszystkie pieniądze, jakie miał w portfelu.

„Wyobrażałem sobie, że ten chłopak nie ma zbyt wiele pieniędzy, więc dawałem mu coś, żeby starczyło na kilka obiadów – wspominał. – Myślę, że bardzo to doceniał”.

Kilka miesięcy po jednym z takich spotkań w 2010 roku Adrian siedział późnym wieczorem przy komputerze z włączo-

nym telewizorem za plecami. Usłyszał reklamę zestawu narzędzi stolarskich. Ponieważ stolarstwo było ulubionym hobby Ku, zamówił je natychmiast i mu wysłał. „Myślałem, że ci się spodobają” – powiedział mu później.

Gest impulsywnej hojności był typowy dla Adriana – tę jego cechę zauważyło wielu ludzi, którzy się z nim zetknęli, choćby na krótko.

7 *Hurrijja*[9]

> Teraz, gdy wyszliśmy z ukrycia,
> Dlaczego mielibyśmy żyć w mogiłach, jakie uczyniliśmy z naszych dusz?
>
> Khaled Mattawa

Dubaj, 2011

– Tak właśnie reżim zdobywa twardą walutę – wyszeptał Adrian przez stół swojemu nowemu koledze Usamie Abu Szakurowi.

Dwaj mężczyźni spotkali się w Dubaju w restauracji Pyeongyang Ongnyugwan, której nazwę można przetłumaczyć jako „pawilon jadeitowego strumienia”, znajdującej się w centrum dzielnicy Deira, czyli starej części Dubaju. Niedaleko stamtąd do słynnej zatoki pełnej drewnianych łodzi dau pływających tam i z powrotem do Iranu, do którego wożą telewizory, pralki i inne towary.

Lokal ten, później zamknięty podczas pandemii COVID-19, był filią działającej od dawna restauracji z Pjongjangu, specjalizującej się w tamtejszym naengmyeon, czyli makaronie gryczanym podawanym w zimnym bulionie. Pierwsza restauracja znajdująca się w stolicy Korei Północnej mogła pomieścić dwa tysiące klientów. Potem powstały jej filie w innych miastach Azji – w Katmandu i Pekinie. W artykule z „The Washington Post” z 2016 roku liczbę lokali tej sieci szacowano na ponad sto. Z materiałów opublikowanych w południowokoreańskiej gazecie „Joseon Ilbo” wynika, że każda placówka sieci przynosiła reżimowi Korei Północnej trzysta tysięcy dolarów. Wpraw-

dzie nie są to sumy oszałamiające, ale nawet one miały znaczenie dla rządu kraju objętego bardzo ścisłymi sankcjami.

Sprzedawanie makaronu gryczanego było jedną z dziwniejszych operacji kojarzonych z Pokojem 39, czyli tajną agencją północnokoreańskiego rządu, która pozyskiwała dla reżimu setki milionów dolarów rocznie. Jest to jedna z trzech agencji „trzeciego piętra", nazywanych tak, ponieważ – jak opowiadał były północnokoreański generał i polityk Gim Gwang-jin – początkowo zajmowały one pomieszczenia na trzecim piętrze gmachu będącego siedzibą Partii Pracy w Pjongjangu. Aby zdobyć zagraniczne waluty dla rodziny Kima i elit władzy, Pokój 39 stosuje różne metody, takie jak handel heroiną, oszustwa ubezpieczeniowe i wprowadzanie do obiegu fałszywych pieniędzy za pośrednictwem sieci zagranicznych agentów.

W dubajskiej restauracji Pyeongyang Ongnyugwan nie ma żadnego komunistycznego kiczu. Wystrój nawiązuje raczej do piękna natury. Wisi tu wielki obraz przedstawiający górę Pektu – wulkan położony na granicy Korei Północnej z Chinami, będący mityczną kolebką narodu koreańskiego, ale także rzekomym źródłem mocy północnokoreańskiego przywództwa. Jest tu również wizerunek tygrysa. Kelnerki noszą różowe sukienki, co sprawia wrażenie przewrotnego żartu z surowego stylu, w jakim ubierają się północnokoreańscy dyplomaci. Pod koniec pory obiadowej cały żeński personel sięga po gitary i mikrofony, by wystąpić w godzinnym programie muzycznym składającym się z piosenek śpiewanych w Korei Północnej.

Wtedy w Dubaju, w maju 2011 roku, Adrian i Abu Szakur zamówili kimchi i galbi, czyli grillowane żeberka wołowe. Nachylając się ku rozmówcy, Adrian powiedział, że północnokoreańscy szpiedzy i handlarze bronią bywają w tej restauracji, by dogadywać umowy z partnerami. Abu Szakur mógł uznać, że Adrian lubi dreszcz emocji związany z wizytą w miejscu,

gdzie niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu, a obsługa i klienci patrzyli na siebie nieco podejrzliwie, ale nie miał pojęcia, że poświęcił się on misji rozmontowania reżimu Ukochanego Przywódcy.

Poznali się kilka tygodni wcześniej na Twitterze.

W kwietniu Adrian przeglądał wiadomości w swoim brooklińskim mieszkaniu w kamienicy bez windy. Natknął się na artykuł z „The Wall Street Journal" opisujący historię Abu Szakura, znającego się na technologii syna libijskiego dysydenta. Autor opowiadał o tym, jak Abu Szakur wraz z innymi buntownikami zabiegał o pomoc Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Kataru w założeniu w Libii niezależnej sieci telefonicznej. Było to przełomowe przedsięwzięcie, które pozwoliło różnym grupom oporu porozumiewać się przez komórki bez obawy, że rozmowy zostaną podsłuchane przez agentów budzącego strach przywódcy Muammara Kaddafiego.

Iskrą zapalną były wydarzenia w Tunezji. Potem demonstracje na rzecz demokracji rozprzestrzeniły się na Bliskim Wschodzie jak pożar. Narastające przez dziesiątki lat oburzenie korupcją i autokratycznymi rządami eksplodowało w postaci masowych ulicznych protestów prowadzących często do gwałtownych starć z policją. Wszechmocni na pozór władcy, tacy jak Zajn al-Abidin Ibn Ali w Tunezji i Husni Mubarak w Egipcie, nie mieli innego wyboru – musieli ustąpić. Inni, jak Muammar Kaddafi i syryjski prezydent Baszar al-Asad, zareagowali brutalnymi represjami wobec własnej ludności.

Od samego początku Arabskiej Wiosny Adrian był jej zagorzałym zwolennikiem. W „The Christian Science Monitor" z 31 stycznia 2011 roku ukazał się jego artykuł wzywający administrację Baracka Obamy do wsparcia protestów i buntów na Bliskim Wschodzie.

Zadał w nim pytanie: „Czy Stany Zjednoczone są narodem jak wszystkie inne – broniącym swoich obywateli, granic i strategicznych interesów? Czy też jesteśmy czymś więcej – narodem, dla którego, jak powiedział kiedyś prezydent John Kennedy, naczelnym celem jest »przetrwanie i wygrana wolności«?”.

Stworzenie powstańczej sieci komórkowej w Libii, możliwe dzięki podarowanemu sprzętowi, kupie gotówki i sprytnej inżynierii, bardzo zainteresowało Adriana, ponieważ przewidywał on, że coś podobnego stanie się w Korei Północnej. Trzeba było sobie wyobrazić, co on i coraz liczniejsza grupa wolontariuszy będą mogli zrobić, by ustabilizować sytuację w tym kraju, gdy – bo Adrian nie używał w tym kontekście słowa „jeżeli” – reżim Kima upadnie.

Po przeczytaniu artykułu w „The Wall Street Journal” Adrian skontaktował się z Abu Szakurem i zaproponował spotkanie oraz wszelką możliwą pomoc. Ten odpisał, że przebywa w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Kilka dni później, 24 kwietnia 2011 roku, Adrian przyleciał do Dubaju, żeby się z nim zobaczyć. „Był człowiekiem, który podejmuje decyzje i działa” – wspominał Abu Szakur.

Od razu przypadli sobie do gustu. Obu ożywiała pasja pomagania mieszkańcom krajów rządzonych przez opresyjne reżimy oraz wiara, że w walce z dyktaturami kluczową rolę może odegrać technologia. Ambicje Adriana sięgały dalej, miał też większą skłonność do ryzyka. Natychmiast włączył Abu Szakura do swojej sieci międzynarodowych kontaktów – ludzie o różnych talentach i znajomościach stanowili bazę jego konspiracyjnej działalności.

Abu Szakur skończył inżynierię na Uniwersytecie Alabamy w Huntsville i przez lata pracował w branży telekomunikacyjnej i informatycznej. Adrian, wówczas stypendysta TED Senior Fellow, również myślał w kategoriach technologicznych. Jego

Pegasus Project mający na celu rozpowszechnianie informacji w zamkniętych społeczeństwach był przedsięwzięciem, które musiało się spodobać Abu Szakurowi.

Adrian był zafascynowany ojcem nowego kolegi. Mustafa Abu Szakur był od zawsze przeciwnikiem reżimu Kaddafiego i został jednym z założycieli Narodowego Frontu Ocalenia Libii. Po uzyskaniu doktoratu w Kalifornijskim Instytucie Technicznym w 1984 roku został profesorem inżynierii elektrycznej i przedsiębiorcą. Młody Usama nasłuchał się w dzieciństwie podczas obiadów i weekendowych spotkań dyskusji ojca i jego przyjaciół nad sposobami odsunięcia Kaddafiego od władzy. Było to o tyle niezwykłe, że wszyscy oni mieszkali w miejscach takich jak Huntsville czy Rochester w Stanach Zjednoczonych i codziennie pracowali na utrzymanie swoich rodzin. Adrian widział w tym potwierdzenie swojego odwiecznego przekonania, że każdy, niezależnie od tego jak skromnie zaczyna, może mieć udział w kształtowaniu historii, jeśli tylko poświęci się sprawie.

Teraz, gdy Kaddafi i jego ludzie uciekli, Mustafa Abu Szakur i jego dawni koledzy nagle zaczęli być traktowani przez rządy różnych państw świata jako prawomocni przedstawiciele Libii. Nie było żadnego formalnego procesu, który gwarantował im tę pozycję – poza wypowiadanymi z całą pewnością oświadczeniami, że są członkami libijskiej Narodowej Rady Tymczasowej i że gdy wojna domowa zostanie wygrana, zorganizują wybory. (W 2012 roku, po upadku reżimu Kaddafiego Mustafa Abu Szakur był desygnowany na premiera, ale nie zdołał utworzyć rządu).

Po spotkaniu w północnokoreańskiej restauracji w Dubaju Adrian i Usama Abu Szakur często komunikowali się mejlowo i przez Google Chat w sprawie projektów, które zamierzali realizować w Libii. Abu Szakur chciał uruchomić kolejną sieć

niezależnej telefonii w Misracie, bliżej Trypolisu, by umożliwić siłom Narodowej Rady Tymczasowej ostateczny szturm na pozycje Kaddafiego. Adrian szukał darczyńców gotowych sfinansować projekt, ale Abu Szakur sam pozyskał fundusze od firmy telekomunikacyjnej Etisalat z Abu Zabi – w tym czasie władze Zjednoczonych Emiratów Arabskich wspierały buntowników walczących z Kaddafim.

W lipcu Abu Szakur wyprawił się w trzydziestogodzinny rejs łodzią rybacką z Malty do Misraty. W ciągu miesiąca zmontował nowy system łączności z anten satelitarnych, baterii i zestawów *rapid deployment kit*, stosowanych do utrzymania komunikacji podczas katastrof naturalnych. W pewnym momencie musiał czekać przez tydzień na łodzi na brakujący element systemu, który miał być przewieziony ze Stanów Zjednoczonych na Maltę, a stamtąd, na innej łodzi rybackiej, przypłynąć do Libii.

Adrian, do tej pory niezaangażowany obserwator, poczuł silną pokusę, by włączyć się do gry. Wojna domowa w Libii zbliżała się do apogeum, więc miał rzadką szansę na zobaczenie zamkniętego społeczeństwa powracającego, po pozbyciu się silnorękiego dyktatora, do międzynarodowego ładu. Cały region żył nadzieją i burzliwymi debatami nad kształtem przyszłości. Adriana ciekawiło, jak te bunty i protesty będą postrzegane w krajach zniewolonych przez autokratyczne reżimy w innych miejscach świata.

Gdy pod koniec sierpnia rebelianci zdobyli Trypolis, Adrian i Abu Szakur postanowili udać się tam czym prędzej.

18 września 2011 roku Adrian wsiadł do samolotu na Malcie. Maszyna miała śmigła i mogła pomieścić góra dwunastu pasażerów. Na jej ogonie widniały litery WFP, od World Food Programme (Światowy Program Żywnościowy) – oddziału ONZ

zajmującego się kwestiami bezpieczeństwa żywnościowego na świecie.

Adrian, zaledwie dwudziestosiedmioletni, i Usama Abu Szakur, lat trzydzieści jeden, zmierzali do Trypolisu, dawnego bastionu Muammara Kaddafiego zdobytego przez rebeliantów trzy tygodnie wcześniej.

Samolot World Food Programme należący do UNHAS, czyli United Nations Humanitarian Air Service (Humanitarna Służba Powietrzna Organizacji Narodów Zjednoczonych), zabierał na pokład, jeśli były wolne miejsca, działaczy organizacji humanitarnych i dziennikarzy. Samoloty UNHAS zaczęły właśnie loty z dostawami żywności do Trypolisu. Zabierali się z nimi również przedstawiciele Narodów Zjednoczonych oraz dyplomaci różnych krajów. Miejsca dla dwóch dodatkowych pasażerów załatwił Abu Szakur jako działacz libijskiej opozycji.

Był to w Trypolisie czas niezwykle ekscytujący. Siły Kaddafiego uciekły w popłochu do Syrty, miasta położonego w centrum kraju, gdzie utrzymały się zaledwie przez miesiąc. Potem nastąpił dramatyczny koniec pierwszej fazy libijskiej wojny domowej – Kaddafi został wyciągnięty przez powstańców ze swojej kryjówki w rurze odwadniającej i zabity.

W stolicy kraju groźnie wyglądający libijscy bojownicy (większość z nich miała kilkanaście lub dwadzieścia kilka lat) spędzali czas na pozowaniu do zdjęć na pikapach i kłóceniu się o własne terytoria. Był to pierwszy zwiastun wyniszczających konfliktów, które miały zaważyć na przyszłości kraju w najbliższych latach.

Adrian po raz pierwszy znalazł się w pobliżu strefy działań wojennych. Trypolis był jednak dość spokojny, po tym jak siły Kaddafiego zostały rozbite przez Operację Syrena, czyli atak na miasto przeprowadzony przez uzbrojonych rebeliantów, którzy wywołali zakończone oszałamiającym sukcesem maso-

we powstanie mieszkańców. Wciąż jednak, w dzień i w nocy, trwała strzelanina – tym razem jednak powstańcy mierzyli w niebo. W tych pierwszych radosnych tygodniach spadające pociski raniły dziesiątki osób. Szyby w oknach wielu pokoi hotelowych były podziurawione kulami.

Dla kogoś, kto interesował się Koreą Północną, sytuacja w Libii była bardzo inspirująca. Pustelnicze królestwo Bliskiego Wschodu zostało obalone przez jego obywateli, a samowładny przywódca ratował się paniczną ucieczką. Mechanizmy odbierania ludziom fizycznej i umysłowej wolności posypały się szybciej, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić.

Jeśli Libijczycy mogli to zrobić, to może również mieszkańcy Korei Północnej mieli jakąś szansę.

Podczas tygodnia spędzonego w Trypolisie Adrian spotkał się z przedstawicielami rządu tymczasowego i z radością obserwował owoce rewolucji. Razem z Sulejmanem Bakhitem, innym stypendystą TED, organizował przewiezienie rannych bojowników z Misraty do Jordanii. Mieszkańcy miasta przeżyli jedne z najbardziej zaciekłych walk tej wojny. Wielu straciło ręce lub nogi albo odniosło inne poważne rany.

Wieczorami Adrian i Abu Szakur rozmawiali do późnej nocy o tym, jakie nauki można wyciągnąć z libijskiego doświadczenia, i o przesączających się do tego kraju przez lata informacjach o życiu na Zachodzie, które naruszyły fundamenty reżimu. Jednak młodzi Libijczycy mieli znacznie łatwiejszy dostęp do zewnętrznego świata niż jakikolwiek mieszkaniec Korei Północnej. Przede wszystkim mieli Facebooka. Byli fanami Justina Biebera, a serial *Przyjaciele* zrobił w Libii, z dziwnym opóźnieniem, bo dopiero w latach dwutysięcznych, prawdziwą furorę.

Pewnego dnia obaj pojechali do Gharjanu, rodzinnego miasta Abu Szakura, by wziąć udział w świętowaniu upadku Try-

polisu. Była to wizyta niesłychanie krzepiąca i inspirująca – miło było patrzeć na zniewolonych do niedawna ludzi powiewających nową flagą Libii i prowadzących aż do świtu ożywione rozmowy.

Podczas spotkań z przedstawicielami Narodowej Rady Tymczasowej Adrian interesował się zarówno praktycznymi, prozaicznymi szczegółami, jak i wielkimi ideami. Chciał wiedzieć, jak działacze zdobywali fundusze, jak przesyłali i rozdzielali pieniądze, jak kontaktowali się z zagranicznymi rządami i w jaki sposób osiągnęli swoją pozycję polityczną. Abu Szakur wspominał po latach, co działo się w głowie Adriana:

„Zdał sobie sprawę, że jeśli chodzi o zrobienie czegoś dobrego dla jakiegoś kraju, nie zajmie się tym nikt poza jego mieszkańcami – opowiadał. – Nikt nie wykona za nich najtrudniejszej pracy".

Dla Adriana jednym z największych problemów były finanse. Zawsze miał głowę pełną wielkich idei i ambitnych projektów, ale nie starczało mu pieniędzy na wprowadzenie ich w życie. Jego przyjaciele mówili, że na swoich kartach kredytowych był zadłużony na ponad dziesięć tysięcy dolarów, ponieważ sam finansował swoją działalność na rzecz Korei Północnej.

Uważnie słuchał informacji o funduszach przekazywanych przez zagraniczne rządy Narodowej Radzie Tymczasowej. Wierzył, że gdyby udało mu się zapoczątkować podobny ruch, pieniądze popłynęłyby szerokim strumieniem, a rozproszone do tej pory grupy działaczy takich jak on zdołałyby wspólnie skończyć raz na zawsze z dynastią Kimów.

Jednego z ostatnich dni tej podróży Adrian zaciągnął Abu Szakura na spotkanie do ambasady północnokoreańskiej w Trypolisie. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Kaddafi, dążący do stworzenia bloku państw sprzeciwiających

się dominacji Zachodu, utrzymywał bliskie więzi z Koreą Północną. Libia była jednym z krajów kupujących od niej najwięcej uzbrojenia. Mieszkały tu setki Koreańczyków z Północy, w większości stanowiących tanią siłę roboczą – mieli wrócić do kraju, przywożąc ze sobą wypłacane w zagranicznej walucie wynagrodzenia.

Gdy weszli do ambasady, Adrian przedstawił Abu Szakura jako członka nowego rządu i spytał, czy Korea Północna byłaby w stanie przysłać pracowników, którzy mogliby wziąć udział w odbudowie Libii.

Był to oczywiście podstęp, dzięki któremu Adrian mógł, formalnie rzecz biorąc, znaleźć się na terytorium Korei Północnej i przyjrzeć się z bliska zachowaniom tamtejszych dyplomatów.

Adrian traktował Libię jako poletko doświadczalne, na którym mógł przygotować się do realizacji własnych śmiałych planów. Wojna domowa umożliwiła mu działanie na nieznanym terenie, nawiązanie współpracy z powstańcami oraz przedstawicielami nowego rządu i szukanie podobieństw do sytuacji w Korei Północnej.

Gdy zaczynała się Arabska Wiosna, obserwatorzy polityki Korei Północnej śledzili doniesienia dotyczące Kim Dzong Ila i spekulowali na temat jego ewentualnego następcy.

Ukochany Przywódca najwyraźniej nie doszedł do siebie po groźnym udarze przebytym w 2008 roku. Kierunek, w jakim zaczął wtedy zmierzać kraj, przekonał niemieckiego ambasadora w Korei Północnej Thomasa Schäfera, że perspektywa, w jakiej świat postrzegał mechanizmy władzy w Korei Północnej, była całkowicie błędna.

Przez lata niezliczeni specjaliści opisywali kraj jako rządzony przez potężną dynastię, której przedstawiciele sprawowali niczym nieograniczoną kontrolę nad losem mieszkańców. Jed-

nak żyjąc w Pjongjangu, czytając między wierszami propagandowych komunikatów i analizując wypowiedzi swoich miejscowych rozmówców, Schäfer doszedł do wniosku, że realna władza znajduje się w rękach anonimowej kadry ponurych urzędników wysokiego szczebla kryjących się za tronem.

Na przykład jesienią 2007 roku podczas międzykoreańskiego spotkania na szczycie Kim Dzong Il – wtedy jeszcze całkiem zdrowy – podpisał porozumienie w sprawie dopuszczenia prywatnych inwestycji w jego kraju. Umowa została zawarta, a przynajmniej tak się wydawało. Jednak niedługo po ogłoszeniu tej informacji państwowe gazety zaczęły przedstawiać zagraniczne inwestycje jako zagrożenie dla pozycji północnokoreańskiego rządu. W artykułach pisano, że jest to skryte podkopywanie ideologii dżucze.

Kilka miesięcy później, pierwszego dnia 2008 roku, ogłoszono inną decyzję: zyski osiągane przez północnokoreańskie przedsiębiorstwa są jak najbardziej pożądane, ale nie ma zgody na inwestycje zagraniczne.

„Kim Dzong Il podjął decyzję, która została zakwestionowana, a on sam zganiony przez ludzi sprawujących realną władzę w kraju – mówił Schäfer. – A w polityce dokonał się zwrot".

W tym samym roku, pod koniec lata, Kim Dzong Il miał udar. Zaraz potem jeden z jego synów, Kim Dzong Un, wystąpił publicznie jako jego następca. Podobnie jak wcześniej robił to jego ojciec, zaczął prezentować się w nowej roli i obejmować coraz ambitniejsze funkcje. W grudniu armia zadeklarowała wobec niego pełną lojalność. 8 stycznia następnego roku Kim Dzong Il poinformował swoją wieżę kontrolną do spraw personalnych, czyli Departament Organizacji i Przywództwa, że jego stanowisko odziedziczy najmłodszy syn Kim Dzong Un.

Schäfer raz jeszcze zdziwił się, obserwując zmianę polityki, jaka zaszła w okresie osłabienia dynastii Kimów. Przez cały 2009 rok wojskowi i członkowie ultrakonserwatywnej frakcji rządu północnokoreańskiego forsowali politykę wyraźnie odmienną od tego, do czego dążył Kim Dzong Il przed udarem.

Zwiększyła się liczba prób broni balistycznej i atomowej. Trwające od dawna rozmowy sześciostronne zostały zerwane. W polityce gospodarczej zaszły zmiany – jedną z nich była reforma walutowa, która wykończyła nową klasę przedsiębiorców próbujących wprowadzać w Korei Północnej logikę gospodarki wolnorynkowej. Mieszkańcy zostali poddani jeszcze ściślejszej kontroli, a w telewizji i państwowych gazetach wypowiadali się coraz częściej przedstawiciele armii.

Z punktu widzenia Schäfera nie była to jedynie oznaka zwrotu ku twardszej polityce wewnętrznej, lecz także ujawnienie się ukrytego ośrodka władzy. To właśnie niezrozumienie mechanizmów władzy w Korei Północnej było w ostatnich dekadach przyczyną dyplomatycznych porażek Zachodu w kontaktach z tym krajem.

17 grudnia 2011 roku Kim Dzong Il zmarł na atak serca. Dwanaście dni później zaśnieżonymi bulwarami Pjongjangu przemaszerowała starannie wyreżyserowana procesja pogrzebowa. Po jej obu stronach stały tłumy zawodzących z rozpaczy żałobników. Wybrany na następcę zmarłego, jego syn Kim Dzong Un, szedł obok karawanu.

Wielu obserwatorów przypuszczało, że śmierć dyktatora może doprowadzić do osłabienia reżimu. Czy Kim Dzong Un faktycznie obejmie władzę po swoim ojcu i dziadku? Czy też chwilowa próżnia zapoczątkuje – taką nadzieję mieli optymiści – zmianę, która doprowadzi do rozluźnienia uścisku, w ja-

kim wszechwładna Partia Pracy Korei trzyma swoich poddanych?

Najlepsze agencje wywiadowcze świata, jak przyznawali ich byli przedstawiciele, często były zaskakiwane rozwojem wydarzeń w Korei Północnej. Informacje o życiu rodziny Kimów i procesach podejmowania decyzji dotyczących bezpieczeństwa państwa były tak pilnie strzeżone, że jeśli już komuś udało się czegoś na ten temat dowiedzieć, to raczej przez przypadek. Większość najcenniejszych informacji pochodziła od nauczycieli i studentów, którzy spotykali się z cudzoziemcami, nie wiedząc, kim oni są. Funkcjonariusze reżimu zdawali sobie najwyraźniej sprawę z tego, że jego przywódcy nie mogą być wychowywani na diecie ograniczonej do oficjalnej propagandowej papki. Kim Dzong Un, podobnie jak jego brat i siostra, został wysłany w dzieciństwie do szkoły w Szwajcarii, żeby zrozumiał, jak wygląda naprawdę zewnętrzny świat.

Po powrocie do Kairu napisałem do Adriana, by dowiedzieć się czegoś więcej o jego poglądach i opiniach. Ten zaimprowizowany wywiad okazał się jedną z najpełniejszych dostępnych publicznie prezentacji jego myślenia. Niewiele później Adrian zaczął unikać mediów, ponieważ coraz bardziej zależało mu na tym, by pozostawać w cieniu.

O pierwszej trzydzieści dwie w nocy w swoim nowojorskim mieszkaniu Adrian zalogował się do Google Chat. Jego żona W. spała w drugim pokoju.

Pisał o Pegasus Project realizowanym w zamkniętych społeczeństwach. „Znaczna część tego, co robię, nie dociera do wiadomości publicznej ze względu na naturę tych przedsięwzięć i związane z nimi ryzyko" – wyjaśniał, opowiadając przy okazji o historii LiNK-u i pobycie w chińskim areszcie.

Jeśli chodzi o Koreę Północną, uważał, że wyniesienie Kim Dzong Una na pozycję Najwyższego Przywódcy było od dawna zaplanowane, więc przekazanie mu władzy odbędzie się bez żadnych komplikacji. Być może śmierć jego ojca była zaskoczeniem dla świata, ale partyjna elita wiedziała znacznie wcześniej, że jest to scenariusz prawdopodobny. Władze od miesięcy oszczędzały żywność, tak by Kim Dzong Un mógł na samym początku, jako nowy przywódca, ogłosić zwiększenie jej przydziałów.

O swojej działalności na Bliskim Wschodzie Adrian powiedział: „Uważam Arabską Wiosnę za próbę generalną przewrotu w Korei Północnej".

Adrian: Korea Północna jest znacznie groźniejszym, lepiej przygotowanym i potężniejszym wrogiem swojego ludu niż Syria, Libia, Egipt, Tunezja czy Jemen. O wiele groźniejszym.

Pod każdym względem. Wszechobecności służb bezpieczeństwa i tajnej policji, siły i mobilizacji armii, stopnia udręczenia i zuboże-

nia niedożywionej ludności.

Ja: Czy masz poczucie, albo wiedzę, że są tam wewnętrzne siły zainteresowane zmianą reżimu?

Adrian: One są i zawsze były, ale albo zostały zmiażdżone, albo pozostają w ukryciu.

W tym miesiącu poinformowano, że uzbrojeni żołnierze zbiegli z Korei Północnej do Chin i zniknęli.

Są również dziesiątki tysięcy uchodźców mających nadzieję na zmiany w Pjongjangu. Rodziny wielu z nich pozostały w kraju albo trafiły do obozów koncentracyjnych.

Następnie wyjaśnił, że jego zdaniem żaden północnokoreański przywódca nigdy nie przeprowadzi z własnej woli żadnych reform.

Adrian: Oni zaszli za daleko – publiczne egzekucje, obozy koncentracyjne, systematyczne morzenie głodem nielojalnych mieszkańców. Korea Północna jest marzeniem Międzynarodowego Trybunału Karnego.

Wiedzą, że jakiekolwiek reformy i próby otwarcia doprowadzą do postawienia im – zarówno w kraju, jak i na szczeblu międzynarodowym – masowych zarzutów dokonywania zbrodni przeciw ludzkości.

Oni widzieli, co stało się w tym roku z Ben Alim, Mubarakiem, a zwłaszcza Kaddafim.

Przed wylogowaniem się Adrian dał mi do zrozumienia, czym zamierza się zająć w przyszłości.

Adrian: Rządy i inne ważne instytucje są wciąż nieprzygotowane na upadek władzy czy destabilizację w Korei Północnej. Nadszedł czas na zrewidowanie naszych planów, byśmy mogli mieć pewność, że będą adekwatne do sytuacji.

W najbliższych sześciu miesiącach pojawią się wielkie szanse dla dysydentów i obrońców wolności na wzmożenie presji wymu-

szającej zmiany.

Po latach okazało się, że libijska przemiana nie zakończyła się sukcesem, jakiego można było się spodziewać na początku. Rząd jedności narodowej szybko upadł, ponieważ zwalczające się milicje z różnych regionów kraju, które nie mogły się porozumieć w sprawie jego przyszłości i pieniędzy, uczyniły z niego mozaikę niezależnych księstw. Na początku 2022 roku Saif al-Islam, syn Muammara Kaddafiego, do tej pory więziony przez grupę bojowników walczących z jego ojcem, stał się jej przywódcą i kandydatem na kolejnego władcę Libii.

Wkrótce po powrocie z pierwszej podróży do Libii Adrian, wspólnie z Usamą Abu Szakurem, zaczął planować zorganizowanie w Trypolisie konferencji TEDx. Był to dla niego jeszcze jeden sposób na włączenie się w bezprecedensową w tym kraju dyskusję nad jego przyszłością po obaleniu starego reżimu i szansa na publiczne poruszenie kwestii Korei Północnej.

Konferencja zaczęła się 13 lutego 2012 roku w ekskluzywnym hotelu Rixos. Wśród jej uczestników znaleźli się profesor Bruce Scott z Harvardzkiej Szkoły Biznesu, który wygłosił inspirującą mowę na temat kapitalizmu i demokracji, oraz Hannah Song, kierująca LiNK-iem po rezygnacji Adriana, która przybyła tu, by przedyskutować możliwość dokonania podobnego przewrotu w Korei Północnej.

Gdy zaczynała swoje wystąpienie, za jej plecami został wyświetlony slajd z napisem ZMIANA W KOREI PÓŁNOCNEJ i, pod spodem, dwoma słowami połączonymi strzałką:

Niemożliwe → Nieuchronne

„Wiele osób stawia krzyżyk na Korei Północnej, tłumacząc że sprawa jest beznadziejna, a zmiana niemożliwa – przemó-

wiła. – Przybyłam tu jednak, by powiedzieć, że Korea Północna się zmienia, a siłą napędową tej zmiany jest tamtejszy naród”.

Dla słuchającego jej Adriana Honga słowo „nieuchronne” nie oznaczało zachęty do czekania i obserwowania sytuacji. Tak jak tunezyjski sprzedawca owoców, który dokonał samospalenia, zapoczątkowując Arabską Wiosnę, Adrian wierzył, że iskrą wyzwalającą zmianę musi być działanie jednostek.

8 Nad ziemią, pod ziemią

> Celem totalitarnego wychowania nie było nigdy wpojenie przekonań, ale zniszczenie zdolności do posiadania ich w ogóle.
>
> Hannah Arendt[10]

Waszyngton, wrzesień 2012

W porównaniu z niewysokim Josephem Kimem, jednym z pierwszych mieszkańców Korei Północnej, którym LiNK pomógł dotrzeć w 2006 roku do Stanów Zjednoczonych, Adrian robił wrażenie olbrzyma. Poza tym jego wygląd pasował do przezwiska, jakie nadali mu koledzy – „Garniak".

Z zaczesanymi do tyłu włosami, z kozią bródką, w czarnym garniturze z prążkowanym krawatem o łososiowej barwie Adrian wygłaszał swoją standardową mowę na temat Korei Północnej – i chociaż powtarzał ją już wcześniej setki razy, robił to wciąż z tą samą energią i żarliwością.

„To nie jest problem, który zniknie – wyjaśniał tłumowi słuchaczy zgromadzonemu w waszyngtońskim Instytucie Hudsona. – Kiedyś ci ludzie będą wolni. Musimy jednak zapytać, jak wielu zginie, zanim to się stanie".

Spotkanie, na którym przemawiał, było poświęcone wydanej właśnie książce dziennikarki Melanie Kirkpatrick *Escape from North Korea* [Ucieczka z Korei Północnej], w której opisywała ona podziemną sieć działaczy pomagających uciekinierom z Korei Północnej w dotarciu do Korei Południowej lub na Zachód. Było to typowe spotkanie politycznych ekspertów, w wielkiej, wyłożonej drewnem sali, zakończone darmową kawą i ciastem z owocami. Uczestniczyli w nim ważni politycy,

obecni lub byli dyplomaci oraz uczeni uniwersyteccy. Adrian zdążył już poznać ten świat aż za dobrze. Był to świat „nadziemny”, w którym wciąż przebywał.

Istniał jednak również świat „podziemny” oraz życie będące odwrotnością życia „Garniaka”. Adrian przyzwyczaił się już do przechodzenia tam i z powrotem między tymi dwoma światami, ale proporcja czasu spędzanego w jednym i drugim zaczęła się zmieniać.

Pod koniec 2012 roku założył tajną organizację Cheollima Civil Defense (Obrona Cywilna Cheollima). Cheollima to mityczny koń z koreańskiego folkloru, często przedstawiany ze skrzydłami – jak wywodzący się z greckiej mitologii ulubiony Pegaz Adriana. „Cheollima” znaczy „tysiąc *li*”, czyli tysiąc chińskich jednostek odległości odpowiadających mniej więcej jednej trzeciej mili lub połowie kilometra. Tysiąc *li* to dystans, który mógł przebyć mityczny koń – dystans robiący wrażenie, lecz nie szokująco wielki.

Do tej pory Adrian dzielił swoje życie między dwa koszyki: swoją firmę konsultingową Pegasus Strategies, w której zarabiał pieniądze, i Pegasus Project, organizację non profit wdrażającą kreatywne metody rozpowszechniania informacji w państwach totalitarnych. Teraz dodał trzeci koszyk – głęboko utajniony.

Na razie Obrona Cywilna Cheollima miała zaledwie garstkę członków. Byli to przyjaciele Adriana z dzieciństwa, inni radykalni aktywiści, uczeni, a nawet kilkoro ludzi biznesu – wszystkich łączyło pragnienie zrobienia dla świata czegoś ważnego. Wspólny mianownik ich postawy stanowiły bezbrzeżny smutek spowodowany sytuacją w Korei Północnej i rozczarowanie sposobem, w jaki do tej kwestii podchodziły organizacje „nadziemne”. Wiele z nich, zdaniem Adriana, uzależniło się od pań-

stwowych i prywatnych dotacji, które przeznaczały na polityczne spotkania przy śniadaniu i pisanie raportów.

Minęło dziesięć lat od chwili, gdy po przeczytaniu książki *Usta pełne kamieni* Adrian zafiksował się na punkcie Korei Północnej. Niewiele się od tamtej pory zmieniło. Zachodni politycy wciąż traktowali ją jako bandyckie państwo dysponujące bronią atomową. On i grupa innych ludzi, takich jak Joseph Kim, akceptowali zaproszenia na spotkania ekspertów – w rodzaju tego w Instytucie Hudsona – żeby mówić o stanie praw człowieka w tym kraju, ale Adrian miał poczucie, że jest to tylko mydlenie oczu. Politycy nadal podchodzili do Korei Północnej jak do łamigłówki, do rozwiązania której należy zastosować teorię gier, czyli modele matematyczne używane do analizy konfliktów i współpracy między ludźmi.

Jeśli chodzi o Koreę Północną, teoria gier sugerowała, że Stany Zjednoczone powinny zastosować strategię blefu, by skłonić Kim Dzong Una do denuklearyzacji. Dyplomaci przekonywali, że konsekwentne, stanowcze postępowanie koniec końców przyniesie efekty. Jednak ta strategia zawiodła na całej linii. Nie dość, że rozmowy rozbrojeniowe utknęły w miejscu, to reżim konstruował kolejne głowice, coraz potężniejsze rakiety i systemy przenoszenia broni atomowej.

Z punktu widzenia Pjongjangu ta wojownicza postawa przynosiła rezultaty. Joseph DeTrani, były funkcjonariusz CIA, który w latach 2003–2016 spędził wiele czasu jako uczestnik rozmów między Koreą Północną a Stanami Zjednoczonymi, powiedział: „Oni chcą mieć jednocześnie broń atomową i normalne relacje z Ameryką. Wydaje się im, że osiągną to, trzymając się dotychczasowego sposobu postępowania".

Amerykańsko-koreański rollercoaster trwający przez cały 2012 rok był doskonałym przykładem jałowości tych rozmów. W styczniu w hołdzie dla Kim Dzong Ila mieszkańcom Korei

Północnej zakazano używania przez sto dni telefonów komórkowych. W lutym, z okazji siedemdziesiątych urodzin Ukochanego Przywódcy odsłonięto jego prawie sześciometrowy posąg oraz wysoką na sto dwadzieścia metrów rzeźbę wykutą w skale.

Potem, również w lutym, pojawiła się iskierka nadziei – możliwość odbycia kolejnej rundy rozmów. Dwudziestego dziewiątego Korea Północna ogłosiła nawet, że zawiesza próby atomowe, testy rakiet balistycznych, a także wzbogacanie uranu i gwarantuje międzynarodowym inspektorom dostęp do obiektów związanych z programem jądrowym.

Jak zwykle jednak wszystko to stało się nieaktualne po nowej serii prowokacji. Zaledwie dwa tygodnie później Korea Północna poinformowała o wystrzeleniu rakiety dalekiego zasięgu. Barack Obama podczas wizyty w Seulu oznajmił, że „Korea Północna niczego nie osiągnie groźbami". W kwietniu, po nieudanym teście rakietowym, reżim obwieścił, że powrót do zapowiedzianego w lutym zawieszenia prób jądrowych jest wykluczony.

Wojna domowa w Libii, która natchnęła Adriana nadzieją na podobne powstanie w Korei Północnej, w samej Korei wzbudziła nieufność wobec wszelkich długoterminowych amerykańskich obietnic. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych doszło do znaczącej poprawy relacji między Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią i innymi światowymi mocarstwami a Libią. Kaddafi potępił nawet publicznie ataki Al-Kaidy na Amerykę z 11 września i obiecał udział Libii w „wojnie z terrorem".

W 2006 roku Stany Zjednoczone usunęły Libię z listy państw sponsorujących terroryzm. Gdy w roku 2011 zaczynała się w niej wojna domowa, syn Kaddafiego Chamis znajdował się w Stanach Zjednoczonych w ramach stażu w AECOM Technolo-

gy Corporation. Drugiego syna, Saifa al-Islama, posiadacza dyplomu London School of Economics, nazywano reformatorem, który zrobi z kraju drugie Zjednoczone Emiraty Arabskie – krainę nowoczesności i umiaru.

Wkrótce jednak nastąpił zwrot. Gdy zaczęła się rewolta, Stany Zjednoczone wycofały wsparcie dla reżimu Kaddafiego i udzieliły powstańcom pomocy militarnej, która umożliwiła im opanowanie kraju. Osiem miesięcy później Chamis zginął w natowskim ponoć ataku lotniczym na konwój, w którym jechał.

Dla Koreańczyków z Północy te wydarzenia były ważną lekcją na temat tego, w jaki sposób złotouści zachodni politycy naprawdę patrzyli na swoich nowych „przyjaciół", którzy dołączyli do klubu i grali według amerykańskich reguł. Byli nie tylko sojusznikami drugiej kategorii – byli sojusznikami, których, jeśli zajdzie taka potrzeba, zawsze można się pozbyć.

Ten przykład oraz wyniesienie do władzy młodego Kim Dzong Una sprawiły, że Korea Północna postanowiła zachować arsenał nuklearny. W okresie słabnięcia pozycji Kim Dzong Ila, a potem obejmowania przywództwa przez jego syna widoczne stały się potężne wpływy radykalnego skrzydła armii – był to jeszcze jeden dowód potwierdzający tezę niemieckiego ambasadora Thomasa Schäfera, który twierdził, że realni władcy tego kraju są niewidoczni, ponieważ kryją się za plecami oficjalnego przywódcy.

Po śmierci Kim Dzong Ila doszło do wzmocnienia polityki pod hasłem „najpierw armia". Schäfer zaobserwował, że w Pjongjangu nasiliła się kontrola nad mieszkańcami, ucieczka z kraju stawała się coraz trudniejsza, a dyplomaci tacy jak on byli ściślej kontrolowani przez swoich północnokoreańskich „opiekunów". Władze były niezadowolone z tego, że pracownicy ambasady korzystali na jej terenie z sieci Wi-Fi. „Bali się, że

mieszkańcy będą mogli za jej pośrednictwem łączyć się z internetem” – tłumaczył Schäfer.

Czystka zaczęła się w 2011 roku, jeszcze przed śmiercią Kim Dzong Ila. Według Amnesty International w 2010 roku około trzydziestu urzędników uczestniczących w rozmowach z Koreą Południową zginęło w egzekucjach lub „wyreżyserowanych wypadkach drogowych”. Zniknęła część członków dwustuosobowej elity władzy zatrzymanych natychmiast po śmierci Kim Dzong Ila.

Było jasne, że Korea Północna wkracza pod nowym przywództwem w niebezpieczną fazę.

Dla idealistów takich jak Adrian obsesja postrzegania Korei Północnej w kategoriach „dylematu więźnia” była przygnębiająca. Z jego wystąpienia w Instytucie Hudsona wynikało, że wierzy on w nieuchronny i rychły upadek Partii Pracy Korei. Po co czekać, jeśli zwłoka oznacza poddanie praniu mózgów i zniewolenie kolejnego pokolenia koreańskich dzieci?

Cheollima była dla niego antidotum na interesowanie się wyłącznie czubkiem własnego nosa i zabawę w gry wojenne. Początkowo chodziło o pozyskiwanie informacji. Adrian niewątpliwie miał talent do dalekich podróży, spotkań z najrozmaitszymi ludźmi, oferowania im swojego czasu i nawiązywania relacji. Był gotów zainteresować się każdym północnokoreańskim uchodźcą, każdym działaczem humanitarnym, każdym politykiem, a oni odwzajemniali mu się, dzieląc się swoją wiedzą.

W ten sposób powołał do życia rozległą sieć wywiadowczą. Miał umiejętność budowania na jednym kontakcie kolejnych, a potem jeszcze dalszych, i w ten sposób, węzeł za węzłem, tkał swoją sieć. W drugiej połowie 2012 roku była już na tyle solidna, że zaczął dawać do zrozumienia, iż ma dostęp – pośredni wprawdzie – do członków północnokoreańskiego reżimu. A to

było coś, co interesowało wiele zagranicznych agencji wywiadowczych, nie mówiąc o samym amerykańskim rządzie.

Być może nie było więc nic zaskakującego w tym, że właśnie wtedy Adrian zaczął przekazywać informacje zdobyte podczas swoich podróży nowojorskiemu wydziałowi kontrwywiadu FBI. Agenci federalni pojawili się u jego drzwi pod koniec 2011 roku, gdy odkryli, że młody Meksykanin z zieloną kartą przebywa tygodniami w ogarniętej wojną domową Libii.

„Mieli do mnie kilka pytań" – żartował później, opowiadając koledze o ich wizytach. Zdołał jednak przekształcić te początkowo nieprzyjazne spotkania w relację korzystną dla obu stron. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że jest mało prawdopodobne, by jego działalność została zaaprobowana przez amerykańskie władze, które nigdy nie zaryzykowałyby dla kilku uchodźców konfrontacji z krajem dysponującym bronią atomową. Wiedział jednak, że jeśli znajdzie się kiedyś w poważnych kłopotach, dzięki powiązaniom z FBI zawsze będzie miał do kogo zadzwonić. Czasem najlepszym sposobem wykorzystania wiedzy o tajnych transportach broni i firmach służących reżimowi Kima do prania pieniędzy, którą zdobywał za pośrednictwem swojej rozrastającej się sieci, było przekazanie jej władzom innych krajów. Poza tym wierzył, że we władzach tych znajdują się ludzie – politycy i szefowie służb wywiadowczych – podzielający jego przekonanie o konieczności prowadzenia twardej polityki wobec Korei Północnej; ludzie, którzy, jeśli przyjdzie co do czego, przyjdą mu z pomocą.

Dlatego gdy wracał z zagranicznych podróży, spotykał się z agentami i przekazywał im informacje. Czasem było to nazwisko biznesmena, na przykład ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, odgrywającego ważną rolę w omijaniu sankcji, czasem relacja z tego, co działo się w Korei Północnej. Adrian często spotykał się z dobrze poinformowanymi uciekinierami

oraz biznesmenami powiązanymi z tym krajem, którzy rzadko kontaktowali się z amerykańskim wywiadem. Agenci FBI pilnie spisywali jego informacje, nie dając nic w zamian. Byli jowialni i przyjaźni, ale wiedzieli, że ich praca polega na braniu, a nie dawaniu. Wyglądali na przyjaciół, ale czy rzeczywiście nimi byli?

Miesiąc później, w październiku 2012 roku, Adrian wybrał się do Seulu i Trypolisu. W Libii patrzył zrozpaczony, jak szybko projekt budowy nowego kraju wali się w gruzy z powodu konfliktów wewnętrznych i walk o terytorium.

Mentorem Adriana był ojciec jego przyjaciela Usamy, Mustafa Abu Szakur, mający doświadczenie w organizowaniu opozycji i pozyskiwaniu dla rewolucyjnego rządu międzynarodowego uznania. Sam Mustafa jednak napotkał na swojej politycznej drodze poważne przeszkody. Demokratycznie wybrane Zgromadzenie Narodowe desygnowało go we wrześniu 2011 roku na premiera, ale zanim zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, utracił stanowisko. W ciągu poprzedniego miesiąca to samo spotkało dwóch innych premierów.

W artykule opublikowanym w „Libya Herald" Adrian zaapelował do tamtejszych polityków, by umożliwili Abu Szakurowi utworzenie rządu i pracę na rzecz kraju. Jeśli tego nie zrobią, Libia będzie dryfować, zmierzając ku statusowi państwa upadłego.

„To, co dzieje się dziś w Libii, będzie miało poważny wpływ nie tylko na szanse powodzenia rewolucji w Syrii, lecz także na wszystkie podejmowane w przyszłości demokratyczne próby obalania dyktatur – pisał. – Dla uciemiężonych narodów świata »model libijski« będzie albo pozytywnym przykładem, albo przestrogą przed dążeniem do zmian".

Obawy Adriana zaczęły się spełniać. Libia stała się areną walk o władzę, prowadzonych rękoma Libijczyków przez obce mocarstwa. Jednymi z najważniejszych graczy były państwa Zatoki Perskiej, które pomogły przechylić szalę zwycięstwa na korzyść powstańców tylko po to, by chwilę później pokrzyżować plany demokratycznej transformacji kraju.

Państwa takie jak Zjednoczone Emiraty Arabskie i Arabia Saudyjska są z natury przychylne rządom silnej ręki. Tym, co przeszkadzało im w Libii, nie była władza sprawowana przez jedną partię i jednego człowieka, lecz fakt, że Kaddafi zakwestionował prawowitość monarchii rządzących w państwach Zatoki. W krajach ogarniętych Arabską Wiosną Zjednoczone Emiraty Arabskie i Arabia Saudyjska destabilizowały demokratycznie wybrane rządy, wspierając wojskowych dyktatorów i autokratów.

Dla Adriana było to pouczające doświadczenie. Wierzył niezachwianie w Arabską Wiosnę, która teraz zmieniała się, nie wiadomo na jak długo, w Arabską Zimę.

„Uświadomił sobie, że problemy żadnego kraju nie zostaną rozwiązane przez inne kraje – opowiadał Usama Abu Szakur. – Demokracja po rewolucji nie zawsze jest najlepszą strategią".

Adrian wciąż był przekonany, że rząd Korei Północnej jest skazany na upadek, ale to, co obserwował w Libii, Egipcie i Syrii, było lekcją, którą musiał wziąć pod uwagę.

Jednym z najdroższych jego sercu projektów było uruchomienie w Korei Północnej sieci telefonicznej takiej jak ta, którą Usama Abu Szakur stworzył dla Libijczyków. Musieli się tylko wspólnie zastanowić nad umiejscowieniem fizycznego dostępu do sieci i nad metodą kontrolowania infrastruktury komunikacyjnej.

Można to było uznać za coś w rodzaju planu. Plany stały się wkrótce głównym elementem działalności Adriana na rzecz

Korei Północnej.

Jednym z największych talentów Adriana była umiejętność znajdowania informatorów i sojuszników w najmniej oczekiwanych miejscach. Szczególnie atrakcyjnym kandydatem, który pojawił się na początku 2013 roku, był Kim Han-sol, pulchny, kontrowersyjny syn Kim Dzong Nama, czarnej owcy rodziny Kimów. Kim Dzong Nam był najstarszym synem Kim Dzong Ila, w latach dziewięćdziesiątych, aż do roku 2001, uważanym za możliwego następcę Ukochanego Przywódcy.

Północnokoreański system sukcesji władzy był osobliwą mieszanką średniowiecznej wiary w monarchę z bożego nadania i sowieckiego stylu sprawowania władzy oraz kontrolowania społeczeństwa. Każdy kolejny przywódca musiał pochodzić z *Baekttu hyeoltong* – czyli z rodu Pektu, którego nazwa pochodziła od najwyższej góry Półwyspu Koreańskiego – obejmującego potomków Wielkiego Przywódcy Kim Ir Sena.

Matką Kim Dzong Nama była Seong Hye-rim, najsławniejsza aktorka Korei Północnej i jedna z czterech kobiet, z którymi Kim Dzong Il, miłośnik kina, miał dzieci. Jego związek z Seong miał charakter pozamałżeński i był trzymany w tajemnicy przed Kim Ir Senem przez długi czas po przyjściu na świat Kim Dzong Nama w 1971 roku.

Kim Dzong Nam, podobnie jak później jego przyrodni brat, kształcił się za granicą. Kim Dzong Il wysyłał swoje dzieci do zagranicznych szkół między innymi po to, by chronić sekrety i mistyczną aurę rodziny królewskiej przed ciekawością ich rówieśników. Kim Dzong Nam najpierw zamieszkał z siostrą matki, a potem wyjechał z nią do Rosji, gdzie uczył się w Lycée français de Moscou. Później, w Szwajcarii, kształcił się w międzynarodowych szkołach w Genewie i Bernie, dzięki czemu poznał świat i jego kulturę. Podobnie jak jego ojciec uwielbiał

kino. Miał nawet własną kamerę, którą kręcił filmy krótkometrażowe.

W chwili śmierci Kim Ir Sena w 1994 roku miał dwadzieścia trzy lata. Pozwolono mu wtedy zaistnieć publicznie i pełnić różne polityczne funkcje. Zachowywano jednak w tajemnicy jego podróże do Japonii, gdzie wyjeżdżał, by cieszyć się światową kulturą oraz kuchnią, które pokochał jako nastolatek.

W 1998 roku wydawało się, że Kim Dzong Nam ma szanse na objęcie władzy po ojcu. Otrzymał ważne stanowisko w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego i został przewodniczącym Komitetu Komputerowego Korei Północnej. Towarzyszył ojcu podczas oficjalnej wizyty państwowej w Chinach.

Jednak kilka lat później jego pozycja poważnie osłabła po tym, jak wyjechał do Japonii wraz z dwiema kobietami i czteroletnim synem. Japońscy urzędnicy odkryli, że posługiwał się fałszywym mandaryńskim nazwiskiem Pang Xiong (co znaczy: Gruby Niedźwiedź) i fałszywym dominikańskim paszportem. On sam tłumaczył, że jedzie z synem do tokijskiego Disneylandu, ale został zatrzymany przez japońskie władze na trzy dni.

Japońska prasa rzuciła się ochoczo do opisywania tej historii, a Kim Dzong Nam, gdy tylko został uwolniony, wykupił cały przedział pierwszej klasy w piętrowym samolocie, by uniknąć tłumu reporterów. Ale zamiast wrócić do Pjongjangu, poleciał do Pekinu. Jak donosiły japońskie gazety, podczas tej podróży miał na nadgarstku wysadzanego diamentami rolexa. Wydarzenie to było bardzo kłopotliwe dla dbającej o swój surowy wizerunek Korei Północnej i zapoczątkowało szybki polityczny upadek Kim Dzong Nama.

Potwierdzeniem politycznej siły elity funkcjonariuszy Partii Pracy Korei kierowanej przez Kim Dzong Ila jest to, że – jak się wydaje – zapoczątkowali oni akcję mającą na celu zakwestionowanie prawa Kim Dzong Nama do sukcesji. Armia przepro-

wadziła kampanię propagandową, posługując się starannie skomponowanym, nawet jeśli brzmiącym nieco dziwacznie sloganem: „Czcigodna Matka jest najbardziej Wierną i Lojalną Poddaną Ukochanego Przywódcy i Najwyższego Wodza".

Dla znajdujących się na miejscu obserwatorów znaczenie tego komunikatu było jasne. Sukcesja zależała od statusu matki, a nie od pozycji na drabinie starszeństwa braci. Zwracając uwagę na Go Yeong-hui, urodzoną w Japonii gwiazdę spektakli operowych, która była matką trzech najmłodszych dzieci Kim Dzong Ila, Najwyższy Przywódca przygotowywał społeczeństwo do zmiany w planach wyboru jego następcy. To miejsce zajął później młodszy z jej dwóch synów, czyli Kim Dzong Un. Starszy syn, Kim Dzong Czol, był kiepskim kandydatem, ponieważ – jak wynika z otrzymanej przez rząd Stanów Zjednoczonych tajnej depeszy, później opublikowanej przez WikiLeaks – bardziej interesował się grami wideo niż polityką, a poza tym był uważany za „zbyt zniewieściałego", by zająć miejsce ojca.

Wygnany z kraju Kim Dzong Nam osiadł w Makau, dawnej portugalskiej kolonii, która stała się zagłębiem chińskiego hazardu. Sprowadził ze sobą żonę i dzieci, w tym syna Kim Hansola. W tamtym czasie niewiele było wiadomo o jego życiu, ale później wyszło na jaw, że miał kontakty z wywiadami Stanów Zjednoczonych oraz Chin i opływał w luksusy. Czasem widywano go w Genewie, gdzie spotykał się w barach z tamtejszym sprzedawcą zegarków ekskluzywnych marek.

Na początku 2012 roku dziennikarz japońskiej gazety „Tokyo Shimbun” wydał książkę opartą na licznych wywiadach i korespondencji mejlowej z Kim Dzong Namem, z którym spotkał się w 2004 roku, a potem dwukrotnie w roku 2011. Wypowiedzi Koreańczyka nie byłyby warte zapamiętania, gdyby nie to, że niedoszły następca Kim Dzong Ila stwierdził w pewnym momencie, że „reżim Kim Dzong Una nie przetrwa długo”.

„Bez reform Korea Północna upadnie, a wtedy upadnie również tamtejszy reżim – miał powiedzieć. – Myślę, że przekonamy się, jak wiele cennego czasu zostało stracone, gdy władza zastanawiała się, czy należy wdrożyć reformy, czy może lepiej trzymać się obecnej struktury politycznej”.

Nie dowiemy się nigdy, jak te wypowiedzi były odbierane w Pjongjangu, ale można przypuszczać, że miały piorunujący efekt. Funkcjonujący od dziesiątek lat system doprowadził do powstania totalitarnego komunistycznego państwa rządzonego przez dynastię władców, którym przypisywano przymioty boskie, więc gdy jeden z członków tej rodziny wystąpił przeciwko niemu tak jawnie i otwarcie, musiała to być dla jego przywódców niesłychana zniewaga. Po latach niezwracania na siebie uwagi Pjongjangu prowadzący w Makau rozpustne życie wygnaniec stał się celem.

W 2013 roku w Paryżu sieć Adriana odnotowała kolejny sukces. Za pośrednictwem biznesmena powiązanego z Kim Dzong Namem i innych członków północnokoreańskiej diaspory Adrian nawiązał kontakt z Kim Han-solem, synem Kim Dzong Nama. Skuszony perspektywą spotkania w cztery oczy, Adrian poleciał do Francji i spędził z nim wiele godzin w paryskim barze. Potem opowiadał dziennikarzowi „The New Yorkera”, że młody człowiek, z którym rozmawiał – wówczas zaledwie

osiemnastoletni – ociekał bogactwem. Nawet sneakersy miał od Gucciego. W późniejszej rozmowie z kolegą Adrian wyjaśnił, że mówiąc to, nie miał na myśli nic obraźliwego. „Jestem normalnym facetem z Kalifornii, więc na widok takiej kasy poczułem się trochę dziwnie" – powiedział.

Pochodzenie tych pieniędzy nie miało dla niego znaczenia. Był gotów współpracować z tym człowiekiem. To, że jego ojciec był prawdopodobnie skorumpowany i interesował się głównie piciem i hazardem, nie stanowiło problemu. Z aury opromieniającej narodziny Kim Dzong Nama – a więc również i jego syna – można było zrobić użytek w walce z północnokoreańskim systemem.

Rok przed ich spotkaniem Kim Han-sol, wtedy jeszcze uczeń liceum, udzielił fińskiej telewizji wywiadu, w którym wypowiadał się bardzo krytycznie na temat reżimu. Zapytany o swoją przyszłość, odpowiedział po angielsku z brytyjskim akcentem: „Chciałbym zaangażować się bardziej w projekty humanitarne i działać na rzecz pokoju na świecie. Zawsze marzyłem o tym, że pewnego dnia wrócę i będę pracował nad naprawą mojego kraju".

Słowa te były balsamem na duszę Adriana, tym bardziej że Kim Han-sol wspomniał w wywiadzie, że bardzo zainteresowała go rewolucja w Libii, o której dowiedział się od libijskiego kolegi, z którym mieszkał w jednym pokoju akademika Szkoły Zjednoczonego Świata w Bośni i Hercegowinie. Później studiował nauki polityczne we Francji.

Dwaj młodzi mężczyźni poczuli łączącą ich chemię. Ustalili kanał komunikacji, by mieć ze sobą stały kontakt i szukać razem rozwiązania problemu Korei Północnej.

W latach 2012–2013 południowokoreański przywódca i jego najwyżsi rangą funkcjonariusze sprawujący władzę w kraju

wciąż skupieni byli na wewnętrznych czystkach i nie mieli czasu na zajmowanie się wyrzutkami takimi jak Kim Dzong Nam.

Pozycja Kim Dzong Una umacniała się, a on sam czuł się coraz lepiej w nowej roli, chociaż jego otyła sylwetka i dziwaczna fryzura wzorowana na fryzurze dziadka dostarczały wiele uciechy autorom rysunków satyrycznych dla gazet z całego świata.

Pozostających w cieniu twardogłowych funkcjonariuszy północnokoreańskiego reżimu niepokoił człowiek uważany przez świat za jedyną osobę, której Kim Dzong Un byłby skłonny posłuchać, czyli jego wuj Jang Seong-taek. Jang był mężem jedynej córki Kim Ir Sena, co dawało mu niezwykle silną pozycję. Jako wiceprzewodniczący Komisji Obrony Narodowej był uważany w latach dwutysięcznych za drugą po Kim Dzong Ilu osobę w państwie. Niektórzy widzieli w nim nawet kandydata na jego następcę – predestynowało go do tego trwające dziesiątki lat małżeństwo, które związało go z rodziną Kimów.

Po udarze Kim Dzong Ila jego pozycja bardzo osłabła. Zachodnie agencje wywiadowcze były wówczas przekonane, że Jang, który zyskał większy wpływ na podejmowane przez państwo decyzje, przeciwstawi się frakcji twardogłowych i będzie forsował bardziej umiarkowaną politykę. Po śmierci Kim Dzong Ila pojawił się na pogrzebie w mundurze czterogwiazdkowego generała, a podczas przekazania władzy występował jako prawa ręka Kim Dzong Una.

Jang przez lata jeździł do Chin i nabrał przekonania, że Korea Północna musi zacząć otwierać gospodarkę, by przetrwać kolejne stulecie. Chiny zdołały tego dokonać w drugiej połowie XX wieku, nie tracąc przy tym kontroli nad ludnością. Dlaczego Korea Północna nie miałaby zrobić czegoś podobnego?

W 2004 roku relacje Janga z Kim Dzong Ilem się skomplikowały. Stracił swoje wpływy i został objęty aresztem domowym, z którego Kim uwolnił go rok później. Po jego pozornym powrocie do łask obserwatorzy Korei Północnej ze Stanów Zjednoczonych, Europy i Chin nabrali nadziei, że uda się skłonić reżim do rezygnacji z ambicji nuklearnych w zamian za dostęp do światowych rynków i inwestycji zagranicznych.

Wkrótce jednak wizyty Janga w Chinach wywołały problem. Podczas jednej z samodzielnych podróży w 2012 roku został przyjęty z honorami należnymi głowie państwa – jeśli relację z tego powitania oglądał w Pjongjangu Kim Dzong Un ze swoją ekipą, mogło to mieć groźne konsekwencje.

Niedługo później Jang „awansował" – został przewodniczącym Państwowej Komisji Kultury i Sportu. Dla zagranicznych obserwatorów było jednak jasne, że został odsunięty od ważnych obszarów władzy. W 2013 roku, mimo pewnych oznak odzyskiwania przez Janga dawnej pozycji, Kim Dzong Un wysłał do Chin zamiast niego dowódcę armii. Był to kolejny sygnał, że Jang popełnił poważny błąd, promując się publicznie, i że postanowiono przypomnieć mu, gdzie jego miejsce.

A potem nastąpił polityczny zwrot w typowo północnokoreańskim stylu – w listopadzie 2013 roku jego dwaj najbliżsi współpracownicy zostali rozstrzelani.

Następnie, 8 grudnia 2013 roku, państwowa telewizja pokazała Janga uczestniczącego w obradach biura politycznego Partii Pracy Korei. Ubrany w garnitur, siedział tuż za grupą wysokich oficerów armii. Kim Dzong Un, który miał na sobie kurtkę w stylu Mao i okulary, tylko się przyglądał.

Nagle kamery uchwyciły inny kadr. Trzech wojskowych podeszło do Janga. Kazali mu wstać, a potem chwycili go za ręce i wyciągnęli z sali.

Kilka dni później prezenter telewizyjny odczytał akt oskarżenia – Jang zdradził swój kraj. „Był nikczemną ludzką kanalią, gorszą od psa; był człowiekiem, który trzykrotnie popełnił akt zdrady”.

Po procesie przed trybunałem wojskowym został podobno rozstrzelany z karabinów maszynowych.

Nagłośniony publicznie upadek Janga wyglądał na jednoznaczny makiaweliczny komunikat nie tylko dla mieszkańców Korei Północnej, lecz także dla świata: Kim Dzong Un ma wszystko pod kontrolą.

9 Plany

> Najtrudniejsze zadanie można rozwiązać, zaczynając od rzeczy najprostszych.
>
> Dosan Ahn Chang Ho (po raz pierwszy opublikowane na Twitterze przez Instytut Joseon 28 marca 2015 roku)

Nowy Jork, październik 2014

Pewnego dnia jesienią 2014 roku Soo Kim otrzymała wiadomość od dawnego kolegi ze studiów Adriana Honga. Odezwał się do niej bez żadnych formalności na Facebooku, pytając po prostu: „Hej, jesteś tam?”.

Kim poznała Adriana na Yale. Nie była to jakaś bliska przyjaźń, ale oboje interesowali się kwestią Korei Północnej i widywali na spotkaniach organizowanych na uniwersytecie przez pochodzących z Korei studentów. W tym czasie Kim nie była zbytnio przekonana do jego działalności. Wydawała się jej skutkiem młodzieńczych fascynacji i ciekawości, a nie życiowym powołaniem, którym okazała się w późniejszych latach.

W rzeczywistości jej własne zainteresowanie sprawami Korei zaczęło się w Yale w podobny sposób jak u Adriana i z czasem wyznaczyło ścieżkę kariery zawodowej. Urodziła się w Stanach Zjednoczonych jako córka pierwszego pokolenia imigrantów. O swojej ojczyźnie wiedziała niewiele – tyle, ile mogła dowiedzieć się w domu. Dopiero w Yale uświadomiła sobie w pełni znaczenie – i ludzki koszt – podziału kraju na Koreę Północną i Południową. Od wielu amerykańskich Koreańczyków słyszałem, że oni również mieli podobne doświadczenia, gdy zaczynali studia. Dopiero wtedy, spotykając innych

Amerykanów koreańskiego pochodzenia poszukujących odpowiedzi na podobne pytania, poznawali historię i dziedzictwo swojego kraju w stopniu wykraczającym poza narodową kuchnię, muzykę i język.

Pragnąc rozwijać swoje nowe zainteresowania, po uzyskaniu magisterium na Uniwersytecie Johna Hopkinsa Kim zaczęła pracować dla rządu. Została zatrudniona jako analityczka w CIA, gdzie mogła wykorzystać znajomość ojczystego języka, by pomóc amerykańskim władzom w zrozumieniu jednego z największych zagrożeń dla światowego bezpieczeństwa.

Rok po skończeniu Yale Kim, już na swoim tajnym stanowisku, spotkała w waszyngtońskim Starbucksie Adriana. Przywitali się, ale zamienili ze sobą tylko kilka zdań. W nowej pracy, o której jej dawny kolega nic nie wiedział, wymagano od niej pełnej dyskrecji. Jednak Adrian intrygował Kim. Teraz, z perspektywy czasu, podniosła retoryka, którą posługiwał się podczas studiów, była bardziej wiarygodna, zwłaszcza po jego aresztowaniu w Chinach, o którym dowiedziała się od dawnych znajomych z Yale. Opowiadali o nim z dumą, jakby chodziło o jakąś wybitną postać, którą mieli szczęście poznać, zanim stała się sławna.

W kolejnych latach Kim śledziła informacje dotyczące Adriana i jego działalności. Wyglądało na to, że wierzył w to, co robi. Jego zaangażowanie przemawiało do niej, ponieważ miało wiele wspólnego z najważniejszym według niej pytaniem o przywódców z Pjongjangu: Jeśli Korea Północna nie przestrzega międzynarodowych norm i zasad, to jakie uzasadnienie ma traktowanie jej na równi ze Stanami Zjednoczonymi, Koreą Południową i innymi otwartymi społeczeństwami?

Jesienią 2014 roku przyjaciółka powiedziała Kim, że dostała wiadomość od Adriana, który prosił ją o jej adres. Zachęcała do nawiązania z nim kontaktu. Kim zdziwiła się, ale nie ode-

zwała się do niego. Niedługo później on sam zagadnął ją na Facebooku.

Nie chciał jednak powiedzieć niczego konkretnego na Messengerze, wyrażał się tajemniczo i pytał, czy Kim nie zamierza pojawić się w najbliższym czasie w Nowym Jorku. Tak się składało, że wybierała się tam za kilka tygodni. Umówili się więc na kawę.

Gdy spotkali się w kawiarni na Manhattanie, Kim nie mogła zrozumieć, o co chodzi. Adrian zadawał jej pytania, nie wyjaśniając jednak ich kontekstu ani przyczyny.

– Kto według ciebie ma realną władzę w Korei Północnej? – spytał.

Odniosła wrażenie, że jest to zaledwie wstęp do właściwego pytania. Brzmiało to tak, jakby chciał wybadać, czy ona ma zamiar zrobić coś w tej sprawie.

Kim odpowiadała wymijająco podczas tego spotkania i nie wspominała o nim przyjaciołom i wspólnym znajomym. Po kilku dniach napisała do Adriana na Facebooku, że chciałaby mu pomóc, ale potrzebuje więcej informacji o jego zamiarach.

Nie była jedyną osobą podejrzewającą, że Adrian coś ukrywa. Niedługo przed ich spotkaniem poleciał do Seulu, by zobaczyć się z wielebnym Timem Petersem, chrześcijańskim misjonarzem, który w 2006 roku po aresztowaniu Adriana musiał uciekać spod chińsko-koreańskiej granicy.

Peters zdziwił się mejlem od Adriana wysłanym z domeny jego firmy konsultingowej Pegasus Stategies. Wciąż żywił do Adriana urazę z powodu konsekwencji, jakie tamto aresztowanie miało dla jego własnej pracy na rzecz uchodźców. Adrian pisał, że chce porozmawiać, ponieważ ma nową propozycję w kwestii podejścia do Korei Północnej.

Podczas spotkania w seulskiej kawiarni Adrian zachowywał się równie powściągliwie, jak w rozmowie z Kim – rzucał jakiś pomysł, ale unikał wdawania się w szczegóły. Dawał do zrozumienia, że ma poważne kontakty, które umożliwią realizację jego projektów, co Peters odczytał jako sugestię, że chodzi o wsparcie jakiejś agencji wywiadowczej.

„Planujemy coś znacznie większego" – miał powiedzieć Adrian, ale gdy Peters spytał o konkrety, odparł, że nie może o tym mówić.

Te podchody znużyły Petersa, który bez ogródek przypomniał mu, że operacja LiNK-u w Chinach przeprowadzona w ostatnich dniach grudnia 2006 roku zagroziła nie tylko grupce uciekinierów, którym chciał pomóc, lecz także wszystkim operacjom prowadzonym w regionie przygranicznym. Peters przestrzegł Adriana przed nieprzemyślanymi ruchami, które mogą wyrządzić krzywdę wielu ludziom.

Później Peters napisał do Adriana, by podziękować mu za odwiedziny i za postawienie latte. Adrian odpisał, że po ich spotkaniu poczuł się zniechęcony do działania.

W latach 2014–2015 odbył wiele podobnych spotkań przy kawie z innymi osobami. Miał nadzieję, że uda mu się szybko rozbudować sieć Obrony Cywilnej Cheollima. Pełniejszych informacji udzielał tylko wtedy, gdy ktoś deklarował gotowość do zaangażowania się w jego projekty. Gdy tak się zdarzało, wtajemniczał go i odbierał od niego przysięgę zachowania pełnej tajności. Dopiero potem zaczynał komunikować się z nim kanałami konspiracyjnymi i ujawniać swoje przedsięwzięcia, zarówno te będące już w toku, jak i te dopiero planowane – wielkie i małe – mogące przyspieszyć upadek reżimu.

Jak na faceta ceniącego sobie dyskrecję Adrian wykazywał dziwną skłonność do ujawniania strzępów własnych myśli w internecie. Jego wpisy i posty na Twitterze z grudnia 2014

złożyły się do końca roku w całość dającą wgląd w jego myślenie o świecie. 10 grudnia napisał: „Wkrótce nadejdzie dzień, w którym świat będzie musiał wytłumaczyć się ze swojej kolektywnej apatii i bezczynności w obliczu masowych cierpień mieszkańców #KoreaPółnocna”.

Dzień później w Los Angeles odbyła się premiera słabo ocenionej przez krytyków wyprodukowanej przez Sony komedii *Wywiad ze Słońcem Narodu*. James Franco i Seth Rogen zagrali w niej Amerykanów, którzy dzięki zbiegowi okoliczności mają szansę zabić, we współpracy z CIA, granego przez Randalla Parka Kim Dzong Una. Na kilka tygodni przed premierą filmu grupa hakerów przedstawiająca się jako Strażnicy Pokoju – będąca, jak później ustaliły amerykańskie władze, komórką tajnych służb Korei Północnej – włamała się do systemu informatycznego Sony, niszcząc go częściowo, i ujawniła kłopotliwe informacje o kierownictwie firmy.

Adrian opublikował wtedy w „The Atlantic” miażdżącą krytykę filmu, w którym posłużono się podobnymi stereotypami jak w innych parodiach północnokoreańskiego reżimu, takich jak ta w *Saturday Night Live* czy *Ekipa Ameryka. Policjanci z jajami*, pełnych, jak napisał, „kiepskich żartów o niekiedy rasistowskim zabarwieniu”.

„Ten film nie jest aktem odwagi – pisał. – Nie jest wystąpieniem przeciwko totalitaryzmowi, obozom koncentracyjnym, głodowi ani sponsorowanemu przez państwo terroryzmowi”. Tłumaczył, że nie do przyjęcia jest robienie filmów, w których mówi się tym samym tonem o „handlarzach niewolników z Państwa Islamskiego” i „ludobójstwie w Republice Środkowoafrykańskiej”. „Korea Północna nie jest zabawna” – podsumował.

Niektórzy bronili *Wywiadu*, porównując film z *Dyktatorem*, komedią Charliego Chaplina z 1940 roku ośmieszającą Adolfa

Hitlera, która kończy się absolutnie poważną i bardzo emocjonalną przemową na temat zagrożenia, jakim jest faszyzm. Odpowiadając na te głosy, Adrian przypomniał, że w autobiografii z 1964 roku Chaplin napisał, że żałuje wyprodukowania tego filmu. „Gdybym wiedział o rzeczywistych potwornościach niemieckich obozów koncentracyjnych, nie mógłbym nakręcić *Dyktatora*, bo nie byłbym w stanie kpić z ludobójczego obłędu hitlerowców”[11].

Pod koniec roku wciąż pisał o swoich odczuciach na Twitterze. 21 grudnia opublikował wpis:

> W #KoreaPółnocna problemem nie jest to, że ludzie nie wiedzą, jak zła jest ich sytuacja – oni ją znają aż nazbyt dobrze.
>
> Człowiek nie może patrzeć, jak jego dzieci umierają z głodu, a krewni trafiają do obozów koncentracyjnych, i trzymać się wiary, że jego kraj jest rządzony sprawnie i dobrze.
>
> Prawdziwym problemem w #KoreaPółnocna jest brak wolnej przestrzeni, w której ludzie mogliby się organizować. Ciężka dłoń państwowego nadzoru dławi wszelkie naturalne sieci społeczne.
>
> dlatego niezgodę na rzeczywistość można nosić jedynie w głębi duszy, nie można się nią z nikim podzielić ani umocnić się w niej dzięki wsparciu bratnich dusz, z którymi można by zrobić coś wspólnie.

Potem, w ostatni dzień roku, napisał przedostatnią wiadomość wysłaną z tego konta, w której cytował Martina Luthera Kinga:

> Będziemy musieli odpokutować w tym pokoleniu nie tylko za nienawistne słowa i czyny złych ludzi, lecz także za milczenie ludzi dobrych.

Nowy plan działania był wielopłaszczyznowy. Na pozór Adrian organizował nowy zespół doradców, Instytut Joseon, opracowujący wszelkie możliwe scenariusze, z którymi społecz-

ność międzynarodowa może mieć do czynienia po „roku zero”, czyli po nieuniknionym upadku reżimu Kima. Jednocześnie, w tajemnicy przed światem, szukał sposobów na przyspieszenie tego upadku.

Podejście to miało tę zaletę, że umożliwiało rozbudowę sieci Adriana przy zachowaniu kierunku jej działań. Tym, co mogło sprawiać kłopoty, było rozróżnianie poziomu tajności realizowanych przedsięwzięć. Podczas studiów i później Adrian pozyskał wielu młodych zwolenników śledzących jego wystąpienia i nagrania. Chciał dać im możliwość dokonania czegoś ważnego. Cel był jasny, ale co oni mogli zrobić? Ci, którzy byli gotowi podjąć ryzyko, mogli dołączyć do rodzącej się Cheollimy.

Niektórzy jednak woleli pozostać „wolontariuszami” w bardziej tradycyjnym sensie tego słowa. Dla nich rozwiązaniem był Instytut Joseon. W skromnym biurze w koreańskiej dzielnicy Nowego Jorku Adrian tłumaczył świeżym absolwentom uniwersytetów wyzwania, z którymi trzeba będzie się zmierzyć. Wielu z nich było z pochodzenia Koreańczykami, ale spora część wolontariuszy i aktywistów nie miała żadnych azjatyckich korzeni.

Jak powinna wyglądać reforma północnokoreańskiego szkolnictwa po tak wielu latach indoktrynacji? Jak można będzie przejąć państwową sieć energetyczną po upadku rządu? Jak przebudować sieć telefonii komórkowej, tak by stała się narzędziem komunikacji ze światem zewnętrznym? Słuchacze Adriana grzęźli, szukając odpowiedzi na te zwodniczo proste pytania.

W opublikowanym później ogłoszeniu o naborze kandydatów do Instytutu Joseon można było znaleźć takie podsumowanie jego misji: „Ponieważ jesteśmy przekonani, że na Półwyspie Koreańskim dojdzie wkrótce do zasadniczych zmian, już

kilka lat temu zapoczątkowaliśmy badania, które pozwolą się na nie przygotować”.

Christopher Ahn, były żołnierz piechoty morskiej, który przyleciał z Los Angeles, by wziąć udział w kilku spotkaniach, był pod wielkim wrażeniem entuzjazmu, z jakim wolontariusze reagowali na oferowaną im możliwość uczestniczenia w rozwiązaniu nierozwiązywalnego na pozór problemu, jakim była Korea Północna.

Adrian wykorzystywał też kontakty na wysokim szczeblu, jakie udało mu się nawiązać w ostatnich latach. Jednym z nich był mieszkający głównie w Makau Kim Han-sol, który zgodził się zostać tajnym członkiem Instytutu. Chciał zająć się budowaniem w Korei Północnej od zera kultury przedsiębiorczości i nadzorem nad komisją do spraw start-upów.

Zespół Adriana opracował liczący kilkaset stron plan stabilizacyjny na pierwsze sto dni wolności. Do każdego zagadnienia powołano komisję planowania, czyli grupę roboczą kierowaną przez członków Instytutu. Zakres odpowiedzialności tych komisji obejmował obszary od bezpieczeństwa żywnościowego i ochrony zdrowia po energetykę i ochronę dziedzictwa narodowego. Były również grupy robocze do spraw bankowości i mikrofinansowania, demografii oraz kartografii cyfrowej.

W kierowanym przez Adriana Instytucie Joseon zwykła nauczycielka szkoły podstawowej mogła połączyć swoje życiowe doświadczenia i wiedzę o funkcjonowaniu systemów totalitarnych, by zacząć myśleć nad tym, jak trzeba będzie uczyć młodych Koreańczyków z Północy po upadku reżimu.

„Ludzie byli bardzo podekscytowani – opowiadał Ahn. – Zmęczeni czysto internetowym aktywizmem, zachwycili się koncepcją, że zwykli ludzie mogą wykonywać drobne gesty, które razem łączą się w potężny impuls”.

Adrian spytał Ahna, czy zechciałby pomóc im w planowaniu postępowania wobec północnokoreańskiej armii po zmianie władzy. Ten jednak odmówił. „Nie umiem myśleć strategicznie – powiedział. – Moje obowiązki w piechocie morskiej sprowadzały się do dopilnowania, czy moi żołnierze ogolili się rano i czy w ciągu dnia są bezpieczni”.

Poruszenie kwestii sił zbrojnych Korei Północnej świadczyło o tym, że Adrian rozważa scenariusze, o których większość ekspertów nie śmiałaby pomyśleć. I faktycznie, część instytucji zajmujących się tym krajem dystansowała się od jego podejścia.

Jego dawny mentor Jae Ku poradził mu, by spróbował nawiązać współpracę z Jenny Town, twórczynią poświęconej Korei Północnej strony internetowej 38 North. Jednak Town, która spotkała Adriana kilka lat wcześniej i znała jego radykalne poglądy, odmówiła, choć mogłoby się wydawać, że są stworzeni do tego, by pracować razem. Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Columbia Town pracowała przez pewien czas w reklamie, potem krótko w College Board w Waszyngtonie, aż wreszcie zainteresowała się Koreą Północną i dołączyła do Freedom House, by pracować tam przy projekcie poświęconym prawom człowieka w tym kraju.

Z czasem jednak przyjęła zupełnie inny punkt widzenia niż Adrian. Podobnie jak on była wstrząśnięta łamaniem praw człowieka w Korei Północnej i była gotowa poświęcić się pracy na rzecz poprawy losu jej mieszkańców. Ona również uważała, że technologia może wiele pomóc w tej sprawie. Jednak podczas gdy ambicje Adriana rosły, a jego działania nabierały rozmachu, Town skupiała się na drobnych zmianach, w znacznej części dotyczących życia społecznego i gospodarczego, których efekty, jak wierzyła, zsumują się, doprowadzą do destabilizacji Korei Północnej i popchną ją ku zmianie.

Dla Town ważne były sprawy takie jak szybki rozwój telefonii komórkowej i funkcjonowanie rynku. Nawet małe zmiany, tak proste jak zezwolenie obywatelom na zarabianie pieniędzy poza państwowymi zakładami pracy, mogły mieć dalekosiężne skutki. „Wszystko to należy uznać za oznaki przemian tkanki społecznej i zasad życia społecznego" – pisała.

Wspólną nadzieją wielu obserwatorów Korei Północnej było to, że pójdzie ona w ślady Chin, które dzięki otwarciu gospodarki na świat poprawiły los własnych obywateli, zachowując jednak nad nimi kontrolę polityczną i społeczną – co w wyobrażeniach tamtejszych przywódców na temat właściwego sposobu sprawowania władzy było kluczowe. Eksperci rozumowali następująco: jeśli Korea Północna zostanie wciągnięta w handel z innymi krajami świata, łatwiej będzie wpływać na jej politykę wewnętrzną, a ona sama będzie mniej skłonna do agresywnych działań. Zacznie też lepiej traktować własnych obywateli, ponieważ będzie ją na to stać.

Zdaniem Adriana były to jednak tylko pobożne życzenia. Jego postrzeganie Korei Północnej było czarno-białe, ale nie z powodu naiwności ani misjonarskiego zapału – zostało ukształtowane przez opowieści spotykanych przez lata uchodźców z tego kraju. Dla niego sytuacja była jasna: przywódcy z Pjongjangu niewolili miliony ludzi, by utrzymać się przy władzy.

Chciał również rozprawić się z powszechnie akceptowanymi wizjami przyszłości obu Korei, takimi jak koncepcja zjednoczenia tych krajów, w tamtym czasie bardzo popularna wśród amerykańskich obserwatorów. Uważali oni, że Koreańczycy stanowią jeden naród podzielony wskutek kaprysu historii.

Dla Adriana liczyło się tylko uwolnienie świata od gangsterskiego aparatu państwa rządzonego przez Kim Dzong Una i pomoc jego poddanym w zrzuceniu kajdan.

„Ochrona praw mieszkańców Korei Północnej, położenie kresu głodowi dotykającemu od dziesiątek lat znaczną część jej ludności oraz groźbom wobec wspólnoty międzynarodowej, likwidacja tamtejszych obozów koncentracyjnych – wszystko to są imperatywy moralne" – pisał w 2016 roku w artykule opublikowanym w „The San Diego Union-Tribune".

W tekście tym przedstawił również niektóre z opracowanych w Instytucie Joseon planów działania na pierwsze dni i tygodnie po upadku reżimu Kima. Pisał, że Korea Południowa powinna wtedy wysłać na północ nauczycieli, inżynierów, pracowników socjalnych i lekarzy, a także instruktorów, którzy zajmą się szkoleniem armii, straży pożarnej, straży granicznej i przybrzeżnej.

Koreańską Armię Ludową trzeba będzie zreformować tak, by mogła strzec infrastruktury, pilnować porządku publicznego i państwowych projektów, aparat gospodarki nakazowej powinien zaś kontynuować dystrybucję żywności aż do chwili wprowadzenia gospodarki rynkowej.

W artykule Adrian po raz pierwszy ujawnił, jak bardzo zmieniły się jego poglądy od czasów, gdy zakładał organizację pozarządową zajmującą się obroną praw człowieka. Teraz wierzył w rychły upadek reżimu Kima. Sugerował też, że przy pewnej pomocy z zewnątrz może on nastąpić szybciej, niż się wszystkim wydaje.

Urzędujący w swoim biurze w koreańskiej dzielnicy Manhattanu Adrian był rozczarowany rezerwą, z jaką jego ugrupowanie było traktowane przez amerykańską społeczność ludzi zatroskanych sytuacją w Korei Północnej – społeczność obejmującą zarówno liberalnych aktywistów, jak i konserwatywnych ekspertów, a także pasjonatów o najrozmaitszych poglądach.

Wszystkich ich łączyło przekonanie, że jedyną możliwą drogą jest wspieranie drobnych, stopniowych zmian.

Najgorsze jednak było to, że ta bierność utrudniała Adrianowi pozyskiwanie funduszy. Wcześniej miał nadzieję zatrudnić w Instytucie Joseon dwadzieścia osób, ale wciąż gnieździł się w biurze w dzielnicy koreańskiej z garstką pełnoetatowych pracowników i musiał polegać głównie na wolontariuszach. Instytut przynosił wprawdzie jakiś dochód, ale trzeba go było uzupełniać pieniędzmi zarabianymi przez firmę konsultingową Adriana.

Najbliżsi przyjaciele wiedzieli, że jego największym problemem jest właśnie pozyskiwanie środków na działalność organizacji. Planował wielkie i małe operacje skierowane przeciwko północnokoreańskiemu reżimowi, jednak bardzo niewielu ludzi było gotowych dawać mu pieniądze na przedsięwzięcia, które mogły okazać się niebezpieczne lub narazić ich na problemy z amerykańskimi władzami.

Zdesperowany Adrian zaczął eksperymentować z kontrowersyjnymi metodami zdobywania funduszy. W rozmowach z właścicielami firm w różnych częściach Azji – w Chinach, Japonii czy Tajlandii – sugerował, że tymczasowy rząd Korei Północnej będzie nagradzał kontraktami tych, którzy pomogli w wyzwoleniu jej spod władzy Kima. Słuchano go z zainteresowaniem, ale chętnych nie było.

Adrian zrezygnował z budowania swojej sieci drogą indywidualnych kontaktów z potencjalnymi sprzymierzeńcami, takimi jak Soo Kim i Timothy Peters. Teraz większość jego podróży po świecie miała na celu poznawanie przedstawicieli międzynarodowych firm i ludzi z prywatnych i państwowych agencji wywiadowczych – takich, którzy podobnie jak on mieli dość radykalne pomysły na zmianę sytuacji w Korei Północnej.

Sfrustrowani byli również niektórzy członkowie Instytutu Joseon. Pełni zapału do niesienia pomocy, cieszyli się, że mogą zrobić coś dobrego dzięki swoim projektom, ale co dalej? Niecierpliwili się i chcieli pójść krok naprzód.

23 marca 2016 roku Adrian pojawił się w siedzibie kanadyjskiego parlamentu w Ottawie, by mówić o Korei Północnej przed Stałą Komisją Senatu do spraw Praw Człowieka. Miał czarny garnitur, okulary i niedawno zapuszczoną brodę oraz wąsy, dzięki czemu wyglądał na znacznie starszego niż wtedy, gdy wędrował od jednej uczelni do drugiej, wygłaszając przed członkami LiNK-u mowy na temat Korei Północnej. Tym razem, dobitniej niż kiedykolwiek wcześniej, dawał wyraz przekonaniu, że w przypadku tego kraju nadzieje na współpracę i stopniowe zmiany na lepsze są całkowicie płonne.

– Korea Północna nie jest normalnym narodem, którego rząd służy swoim obywatelom i ich chroni – mówił. – To brutalny, totalitarny reżim rządzony przez rodzinę królewską i pozostającą z nią w chwiejnym sojuszu klasę wasali.

Brutalność ta mogła o sobie dać znać w zwielokrotnionej, przerażającej postaci na płaszczyźnie międzynarodowej.

10 Formowanie drzewa rodzinnego

> Śmierć rozwiązuje wszystkie problemy. Nie ma człowieka, nie ma problemu.
>
> Józef Stalin

Langkawi, Malezja, luty 2017

Na początku lutego Kim Dzong Nam spakował walizki, by wsiąść w Makau w samolot do Kuala Lumpur – niespełna czterogodzinny lot nad Morzem Południowochińskim.

Gdy kiedyś uważany za najpewniejszego kandydata na następcę swojego ojca Kim Dzong Ila i przyszłego przywódcę Korei Północnej Kim Dzong Nam został wygnany z kraju, zamieszkał w Makau, chińskiej enklawie będącej przerysowaną kopią amerykańskiego Las Vegas. Przyjął styl bycia pasujący do rozpustnego świata, w jakim się znalazł. Życie na poziomie, do jakiego przyzwyczaił się on i jego rodzina, wymagało setek tysięcy dolarów rocznie. Kim stał się znany z kosztownych wyjazdów do miejsc takich jak Genewa, gdzie kupował najdroższe zegarki i spędzał czas w ekskluzywnych barach. Poza tym był namiętnym hazardzistą.

Ponieważ wypadł z łask reżimu, a wcześniej nie zdążył zgromadzić wielkiego majątku, wciąż brakowało mu pieniędzy. Głównym ich źródłem – jak stwierdził w „The Wall Street Journal" Warren Strobel – stały się zachodnie agencje wywiadowcze. Kim Dzong Nam nie miał żadnych poważnych planów związanych z Koreą Północną, ale przed finansującymi go agentami udawał wielki entuzjazm w tej sprawie. Spotykał się z nimi na neutralnym terytorium, jakim była Malezja.

Dla CIA była to niewielka cena za posiadanie na liście płac amerykańskiego rządu żyjącego na emigracji potomka Kim Dzong Ila. Jeśli mieszkańcy Korei Północnej faktycznie wierzyli w wielkość dynastii Kimów, to agenci mieli jej ważnego członka gotowego mówić rzeczy, które mogły zagrozić autorytetowi Kim Dzong Una, młodszego brata kontynuującego brutalną politykę pustelniczego królestwa.

Z czasem Kim Dzong Nam zaczął bardziej niż zwykle obawiać się o swoje bezpieczeństwo. Miał niepokojące wrażenie, że podczas podróży jest obserwowany. Otrzymywał też ostrzeżenia od własnych informatorów, że zagrażają mu jego przyrodni brat i Generalne Biuro Wywiadu, najważniejsza agencja szpiegowska Korei Północnej. Postanowił jednak zignorować te obawy i udał się do Malezji, by pobrać kolejną porcję gotówki, tak jak to robił przez lata w różnych miastach Azji i Europy.

W Kuala Lumpur spędził dwa dni, odpoczywając i jeżdżąc po mieście z zaufanym szoferem. Potem poleciał na archipelag Langkawi, by spotkać się w hotelu ze swoim koreańsko-amerykańskim opiekunem z CIA. Zgrał na pendrajwa pliki zgromadzone w ostatnich kilku miesiącach, przekazał je oficerowi prowadzącemu i zainkasował pieniądze. Następnie wrócił do Kuala Lumpur na kilka dodatkowych dni odpoczynku i zabawy.

Gdy 13 lutego pojechał na lotnisko, skąd miał lecieć do Makau, okazało się, że szósty zmysł ostrzegający go przed inwigilacją nie zawiódł.

Generalne Biuro Wywiadu Korei Północnej śledziło Kim Dzong Nama i starannie planowało zamach na jego życie. Dla reżimu był on problemem, który należało rozwiązać. Kim Dzong Nam już wcześniej co najmniej dwa razy uniknął śmierci z rąk zamachowców. W 2012 roku w Pekinie został napadnięty przez

mężczyznę, który okazał się agentem reżimu. Przeżył dzięki chińskiemu policjantowi, który pospieszył mu na ratunek. W Chinach zatrzymano również – i odesłano do Korei Północnej – inną ekipę zabójców. Według cytowanych przez południowokoreańską gazetę „Segye Ilbo" oficerów tamtejszego wywiadu Kim Dzong Nam napisał wtedy do północnokoreańskich władz błagalny list, w którym prosił brata o litość dla siebie i swojej rodziny.

Malezja była idealnym miejscem, żeby go dopaść. Ten południowoazjatycki kraj jest wolny od obsesji totalnej kontroli ani nie ma wrażliwości politycznej, dzięki której w Chinach zdołano pokrzyżować plany zamachowców. Poza tym Malezja nie wymaga wiz, więc cudzoziemcy – w tym również mieszkańcy Korei Północnej – mogą do niej swobodnie wjeżdżać i z niej wyjeżdżać.

Mimo że Korea Północna uchodzi za kraj ubogi i dysponujący przestarzałymi technologiami, zdołała zgromadzić na swoim koncie całkiem sporo operacji wywiadowczych, w których zaskoczyła zarówno przypadkowych obserwatorów, jak i światowe mocarstwa skutecznością w dokonywaniu zabójstw, międzynarodowych przestępstw i kradzieży. Kiedyś wiecznie spragniony zagranicznych walut kraj stał się jednym z najbardziej wyrafinowanych fałszerzy amerykańskich banknotów. Jego mieszkańcy nie mieli dostępu do internetu, ale tamtejsi hakerzy potrafili sparaliżować potężne firmy, takie jak Sony, i ukraść setki milionów dolarów z banków i innych instytucji.

Tym razem jednak chodziło o akcję niewymagającą zaawansowanych technologii. Kilka miesięcy wcześniej północnokoreańscy agenci zaczęli zwodzić dwie młode kobiety, wmawiając im, że wezmą udział w programie telewizyjnym z ukrytą kamerą. Miały w miejscu publicznym posmarować kremem twa-

rz niespodziewającej się niczego ofiary. Kobiety nie wiedziały o sobie wzajemnie.

Siti Aisyah, mieszkająca w Kuala Lumpur Indonezyjka, została zagadnięta na ulicy przez młodego człowieka, który przedstawił się jako James. Spytał, czy nie zechciałaby wystąpić w filmie. Jak zeznała później malezyjskim władzom, pomyślała: „Dlaczego nie?”.

Przeprowadzili na przedmieściach Kuala Lumpur kilka prób planowanego ujęcia, w czasie których Siti smarowała kremem twarze przypadkowych przechodniów. James chwalił ją za zręczność, z jaką to robiła. Kiedy kilka tygodni po ich pierwszym spotkaniu poprosił, żeby przyjechała na lotnisko, wyglądało to na kolejną próbę. Powiedział, że jeśli dobrze się spisze, dostanie nagrodę.

W dniu wylotu Kim Dzong Nama spotkała się z Jamesem w kawiarni na lotnisku w Kuala Lumpur. Kiedy usiadła przy stoliku, owinięta w chustę i z okularami przeciwsłonecznymi nad czołem, ten rozglądał się po sali, wypatrując celu.

Kim Dzong Nam, ubrany w jasnoszarą marynarkę i fioletową koszulkę, z czarnym plecakiem na ramieniu, zmierzał w stronę stanowiska odprawy linii AirAsia, by dostać kartę pokładową.

– Jest – powiedział James, zobaczywszy go pod tablicą odlotów. – Ten facet w szarej marynarce.

Szybko nałożył na jej dłonie oleistą substancję, uważając, by nie skapnęła na jego ręce. Nie był to krem, którego używali we wcześniejszych próbach. Siti nie wiedziała, że jest to jeden z dwóch składników mikstury, które połączone ze sobą tworzą śmiertelnie trujący środek VX.

VX, czyli *venomous agent X* (trujący czynnik X), został wynaleziony w latach pięćdziesiątych przez naukowców pracujących dla brytyjskiej firmy prowadzącej badania nad pestycy-

dami. Środek okazał się jednak wyjątkowo skuteczny w zabijaniu ludzi, więc przestał być stosowany w rolnictwie. Mimo to siły zbrojne Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Rosji zaczęły produkować na jego bazie broń chemiczną. Kuba użyła jej w czasie wojny domowej w Angoli przeciw tamtejszym powstańcom, a Saddam Husajn w haniebnym ataku chemicznym w Halabdży w irackim Kurdystanie, w którym zginęły tysiące ludzi, a kolejne tysiące poważnie ucierpiały na zdrowiu.

Schowana wcześniej za filarem Siti podeszła do Kima i skoczyła na niego od tyłu, żeby posmarować jego twarz trucizną, a potem uciekła, krzycząc: „Przepraszam! Przepraszam!”.

Kilka sekund później inna kobieta, ubrana w bluzkę z napisem „LOL” Wietnamka Đoàn Thị Hương, również wytarła dłonie o jego twarz, po czym uciekła. Ona też myślała, że bierze udział w telewizyjnym żarcie.

Na nagraniach lotniskowego monitoringu widać Kim Dzong Nama oszołomionego chemikaliami. Najpierw skierował się w stronę łazienki, ale po chwili zmienił zdanie i podszedł do pracowników lotniska. Zachowywał się teraz inaczej – nerwowo gestykulował, opowiadając o tym, co mu się właśnie przydarzyło. „To bardzo boli, bardzo boli. Ktoś mnie opryskał jakimś płynem”. Policjant odprowadził go do punktu medycznego.

Niedługo po tym, jak dwa płyny się wymieszały, czynnik VX wniknął do jego organizmu, wywołując bolesne skurcze mięśni. Już kiedy prowadzono go do punktu medycznego, zaczęły mu sztywnieć nogi i szedł z coraz większym trudem.

Gdy dotarł na miejsce, był skrajnie wyczerpany. Ciężko dysząc, osunął się na krzesło, a podwinięty podkoszulek odsłonił część wydatnego brzucha.

Wezwano pogotowie, ale było już za późno. Zaczęły się drgawki. Płuca kurczyły się gwałtownie, uniemożliwiając oddy-

chanie. Sanitariusze podali mu tlen i zabrali do szpitala, ale zanim tam dotarli, piętnaście minut po ataku, Kim Dzong Nam zmarł.

Malezyjscy śledczy przejrzeli uważnie nagrania z monitoringu i zidentyfikowali całą ekipę północnokoreańskich agentów przebranych za podróżnych z walizkami: chemika, obserwatorów i domniemanego szefa operacji zwanego „Dziadkiem", sfilmowanego, gdy palił papierosa przy wyjściu z lotniska.

Chemik został aresztowany, a wcześniej sfilmowany podczas rozmowy z przedstawicielami ambasady Korei Północnej, którym opowiedział o całej akcji, czym potwierdził, że zabójstwo było aktem państwowego terroryzmu. Później jednak go zwolniono, ponieważ, jak oświadczyły malezyjskie władze, brak było wystarczających dowodów, by go skazać. Tamtejszy sąd oddalił zarzuty wobec Siti, której pozwolono wrócić do Indonezji. Z aresztu wyszła również Hương, na której ciążyły lżejsze zarzuty.

Był walentynkowy wieczór. Christopher Ahn pił piwo i palił papierosa oparty o bar na dachu hostelu Z w Manili, gdy około dwudziestej pierwszej zadzwonił Adrian.

Ahn nie planował, że będzie tu sam. Jednak pochodzący z Filipin kolega, również mieszkający w Los Angeles, który namówił go na krótki i tani wyjazd, w ostatniej chwili zrezygnował z powodu problemów w pracy. Ahn postanowił wybrać się bez niego.

Urodzonemu w Stanach Zjednoczonych Koreańczykowi bardzo przypadła do gustu kulturowa mieszanka, jaką zastał w Manili – mieście obcym, a jednocześnie dziwnie znajomym. Nieoczekiwane konsekwencje II wojny światowej sprawiły, że amerykańska kultura stała się bardzo bliska Filipińczykom.

Ahn spędził kilka miłych dni, wylegując się nad hotelowym basenem, włócząc się po mieście i rozmawiając z mieszkańcami.

Kiedy zobaczył imię, które wyświetliło się na ekranie telefonu w szyfrującej rozmowy aplikacji Signal, skrzywił się. Wiedział, że to nie będzie zwykła koleżeńska pogawędka. Odkąd siedem lat wcześniej poznali się z Adrianem na lunchu przy burrito, spędzili ze sobą trochę czasu, ale nie byli bliskimi przyjaciółmi.

Spotykając się z nim podczas publicznych wydarzeń, a czasem prywatnie na kawie, Ahn dostrzegł w nim człowieka dźwigającego coraz cięższe brzemię. Adrian faktycznie był wyczerpany – pieniędzy wiecznie brakowało, a wiedział, że jeśli zrezygnuje, nie znajdzie się nikt, kto byłby gotów go zastąpić w tej misji.

– Gdzie jesteś? – spytał Ahna, kiedy ten odebrał wreszcie telefon. Gdy dowiedział się, że na Filipinach, odetchnął z ulgą. – Świetnie.

Tak, to nie była zwykła pogawędka. Adrian od razu przeszedł do rzeczy. Spytał, czy Ahn wie już, że dzień wcześniej, 13 lutego, w Malezji został zamordowany Kim Dzong Nam, starszy brat Kim Dzong Una.

– Kim Han-sol jest przerażony – powiedział. – Możesz mu pomóc?

Chodziło o syna Kim Dzong Nama, który współpracował zdalnie z Instytutem Joseon. Dla Adriana ratowanie go było nie tylko misją humanitarną, lecz także elementem strategii. Kim Han-sol był ostatnim męskim potomkiem pochodzącym w prostej linii od Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila, dzięki czemu mógłby – tak jak jeszcze do niedawna jego ojciec – odegrać jakąś polityczną rolę, gdyby północnokoreański reżim zaczął chylić się ku upadkowi.

Kiedy media doniosły o śmierci Kim Dzong Nama, Adrian zadzwonił do jego syna, by namówić go do poszukania schronienia poza Makau. Kim Han-sol nie zgodził się na wyjazd. Stwierdził, że jego rodzina jest tam bezpieczna. Ale po sześciu godzinach oddzwonił do Adriana, prosząc o pomoc w ucieczce. Powiedział, że pilnujący ich ochroniarze zniknęli i że teraz boi się, że jeśli nie wyjadą z Makau, zostaną zabici.

W Europie Adrian miał zespół ludzi gotowych pomóc im w Wielkiej Brytanii lub Holandii, czyli w krajach, z którymi współpracował już wcześniej pod szyldem LiNK-u, a potem, jeszcze ściślej, jako Obrona Cywilna Cheollima. Jednak rodzina Kim Han-sola potrzebowała bezpośredniego wsparcia, a Adrian nie miał nikogo, kto mógłby pomóc jej w bezpiecznym dotarciu do Amsterdamu.

– Możesz się z nimi spotkać? – zapytał Ahna.

Adrian miał wielkie ambicje i działał odważnie, ale jego podziemna organizacja była zaledwie grupką ludzi komunikujących się ze sobą za pomocą aplikacji szyfrujących. Jedynymi funduszami, na jakie mogli liczyć, były skromne oszczędności członków Cheollimy. Dzwoniąc do Ahna, Adrian improwizował. Ten jednak zgodził się pomóc.

Ahn skontaktował się z Kim Han-solem i kupił przez internet trzy bilety – dla niego, jego matki oraz siostry – na poranny lot następnego dnia z Makau do Tajpej. Sam poleciał tam tego samego wieczora. Wysiadł z samolotu po północy 15 lutego i zajął stanowisko obserwacyjne w znajdującej się w hali przylotów azjatyckiej restauracji.

„Ludzie nazywają nas »koleją podziemną«, ale ja po prostu kupiłem bilety na Expedii i zapłaciłem za nie własną kartą kredytową” – opowiadał później Ahn.

Kim Han-sol z rodziną przylecieli kilka godzin później. Wysiedli z samolotu z maseczkami na twarzach. Nie budziło to

żadnych podejrzeń – w Azji podróżujący często nosili maseczki jeszcze na długo przed pandemią COVID-19, gdy stało się to powszechne na całym świecie.

Zobaczywszy stojącego przy wejściu ubranego po amerykańsku Koreańczyka, Kim Han-sol podszedł do niego i przywitał się, używając ustalonego wcześniej pseudonimu „Steve". Ahn zaprowadził całą trójkę do sali dla VIP-ów, gdzie mogli ukryć się do czasu, aż Adrian i jego zespół poinformują ich, co robić dalej. Ahn uznał, że jego zadaniem jest zatroszczyć się o ich spokój i dobre samopoczucie, dlatego gdy wszyscy się już poznali, zwrócił się po koreańsku do matki Kim Han-sola, a jego nastoletniej siostrze dał swojego iPada, by obejrzała film na Netfliksie. Robił to wszystko ze swobodą i luzem rodowitego mieszkańca Los Angeles. Kim Han-sol był niespokojny, lecz panował nad sobą, natomiast po jego matce i siostrze widać było, jak bardzo pragną znaleźć się wreszcie w bezpiecznym miejscu.

Na lotnisku roiło się od ludzi, wyglądało jednak na to, że nikt nie zwraca uwagi na grupkę przesiadującą w poczekalni dla VIP-ów. W końcu zadzwonił Adrian, by powiedzieć, że Holandia obiecała udzielić im azylu.

Ahn kupił kolejne bilety w obie strony dla swoich podopiecznych i zaczekał z nimi na samolot do Amsterdamu – chciał, by weszli na pokład w ostatniej chwili. Odprowadził ich do bramki. Gdy steward zrobił wielkie oczy na widok północnokoreańskich paszportów, Ahn zadzwonił do Adriana, by pomógł przekonać go do wpuszczenia ich na pokład. Nie udało się jednak.

Ahn nie wiedział, co robić, więc wrócił z nimi do poczekalni. Po jakimś czasie pojawili się tam dwaj mężczyźni. Chcieli z nim rozmawiać. Powiedzieli, że są z CIA. Młodszy z nich, któ-

ry przedstawił się jako Wes, wyglądał na Amerykanina koreańskiego pochodzenia.

– Czy wy macie w ogóle pojęcie, co robicie? – spytał starszy, patrząc na nich z niedowierzaniem.

Ahn powiedział, że powinien porozmawiać z Adrianem.

– Ja po prostu pomagam tej rodzinie – tłumaczył agentowi, nie ujawniając jednak żadnych szczegółów. – Jestem Amerykaninem i jestem z tego dumny. Nie zrobiłem nic złego.

Agenci CIA powiedzieli, że zajmą się kwestią podróży. Niedługo później w poczekalni zjawił się pracownik lotniska, by poinformować, że Kim Han-sol i jego rodzina mogą polecieć do Holandii. Ahn wszedł na Expedię i kupił kolejne trzy bilety w obie strony.

Podczas nocy spędzonej w poczekalni Ahn nagrał telefonem krótki film, by udokumentować ich pobyt na lotnisku. Miało to być zabezpieczenie na wypadek gdyby ktoś kwestionował później przebieg zdarzeń z tamtego dnia.

Rano przyjechał znowu agent Wes, który miał lecieć razem z trojgiem Koreańczyków. Ahn uściskał Kim Han-sola i życzył im szczęśliwej podróży, a potem wrócił do Manili. Kręciło mu się w głowie od wrażeń z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Była to jedna z pierwszych „przewozowych” operacji Cheollimy i z pewnością najważniejsza – przerażająca i ekscytująca jednocześnie. Ahnowi bardzo to odpowiadało.

Adrian zaplanował dalsze kroki. Uciekinierzy mieli przed sobą długi, czternastogodzinny lot z Tajpej na lotnisko Schiphol w Amsterdamie. W sali przylotów mieli na nich czekać członkowie Cheollimy z prawnikiem specjalizującym się w procedurach przyznawania azylu politycznego.

Ekipa z Cheollimy przyszła na miejsce o umówionej porze, ale nie było tam ani śladu rodziny Kim Dzong Nama. Nie wyszli ze strefy odprawy celnej.

Później Adrian dowiedział się, że cała trójka i Wes przybyli do Amsterdamu, ale skorzystali z innego wyjścia i wsiedli do kolejnego samolotu, by wylecieć z kraju – najpewniej do Stanów Zjednoczonych.

Kim Dzong Nam został zabity kilka dni po tym, jak odebrał pieniądze od agenta CIA. Wyglądało na to, że teraz agencja zaopiekowała się jego rodziną i umieściła ją w kryjówce.

Adrian był załamany. Później powiedział, że utrata kontaktu z nimi była największym błędem, jaki popełnił w swojej tajnej działalności. Kim Han-sol mógł okazać się niezwykle cenny dla Cheollimy, gdyby trzeba było podjąć bardziej zdecydowane działania. Adrian chciał być organizatorem buntu, a Kim Han-sol był księciem, który mógłby pomóc w tworzeniu opozycyjnego rządu, gdy przed Koreą Północną otworzy się nowa przyszłość.

Wprawdzie Kim Han-sol i jego rodzina w ostatniej chwili wymknęli mu się z rąk, ale Adrian uznał, że był to przełom w działalności Cheollimy. Takie akcje mogły pozwolić mu wypłynąć na szersze wody. Jego aspiracje wykraczały poza stworzenie tajnej organizacji wspomagającej ludzi uciekających przed gniewem reżimu Kima. Chciał atakować ten reżim w wybranym przez siebie miejscu i czasie.

Po powrocie do Nowego Jorku zorganizował specjalne spotkanie Instytutu Joseon. Do tej pory organizacja zajmowała się głównie opracowywaniem raportów na temat Korei Północnej. To była nadziemna część działalności Adriana. Nazwę „Cheollima” stosował w odniesieniu do luźnej sieci sojuszników gotowych na śmielsze działania – akcje propagandowe na granicy, pozyskiwanie informacji wywiadowczych od zbiegów i werbowanie nowych informatorów.

W biurze Instytutu w dzielnicy koreańskiej zebrało się ponad czterdzieścioro wolontariuszy – nauczycieli, biznesmenów, artystów. Adrian oznajmił im, że nadszedł czas, by Instytut Joseon zakończył działalność, a jego miejsce zajęła Obrona Cywilna Cheollima. Od lat przekonywał wolontariuszy, niemających żadnego specjalistycznego wyszkolenia, że zdołają zrobić coś ważnego dla świata, jeśli połączą swoje oddanie sprawie z bezpośrednimi działaniami w terenie.

Pochwalił zachowanie Ahna, który przyleciał na to spotkanie z Los Angeles. Kim Han-sol wraz z matką i siostrą mógł zostać schwytany w Makau przez agentów północnokoreańskich, gdyby nie jego szybka reakcja. Adrian zapowiedział, że Cheollima będzie w przyszłości podejmować podobne działania. Jeśli karta kredytowa i odrobina dobrych chęci wystarczyły, by uratować ludzi tak ważnych dla Kim Dzong Una, to jak wiele będzie można zrobić, gdy pojawią się fundusze?

Adrian był w swoim żywiole. Mówił o ideach i źródłach inspiracji, ale w jego wizji były również konkrety. Przedstawił organizację jako dziedziczkę długiej tradycji koreańskiego oporu wobec najeźdźców, której ostatnim etapem była walka z japońskimi okupantami w XX wieku. Jego mowa łączyła w sobie wezwanie do boju z kazaniem na temat praw człowieka. Czasem zaskakiwał słuchaczy, przemawiając jak adwokat przedstawiający moralne uzasadnienie czynów klienta – tyle że w tym wypadku klient nic jeszcze nie zrobił.

Jeśli chodzi o stronę praktyczną, Adrian wyłożył dwie najważniejsze zasady funkcjonowania organizacji – tajność oraz rozdzielanie zadań. Po zakończeniu spotkania planowane działania miały zostać przydzielone różnym grupom wolontariuszy w taki sposób, by o szczegółach wiedzieli tylko ci, którzy muszą je znać. Osobne grupy miały zająć się takimi problemami jak założenie konta bitcoinowego, na które będą wpływać dotacje, antyreżimowa propaganda i procedury utrzymywania tajności wewnątrz organizacji. Wszyscy mieli komunikować się ze sobą znikającymi natychmiast po przeczytaniu wiadomościami przesyłanymi przez aplikacje szyfrujące, takie jak Signal, a w razie potrzeby odbywać wideokonferencje za pomocą aplikacji Silent Circle.

Następnie Adrian zabrał całą grupę do Dallas BBQ, taniej restauracji popularnej wśród nastolatków z Manhattanu, gdzie można było jeść i pić, ile dusza zapragnie. On sam lubił to miejsce, choć wiedział, że jedzenie nie jest tu najlepsze. Jego goście, w większości Amerykanie koreańskiego pochodzenia, zajęli całe piętro lokalu.

„Nie pamiętam, bym w jakimś publicznym miejscu miał wokół siebie tak wielu amerykańskich Koreańczyków – wspominał potem Ahn. – No, chyba że w kościele".

Galeria postaci zgromadzonych tego dnia w taniej knajpie serwującej dania z grilla obejmowała biznesmenów, pracowników akademickich i działaczy społecznych – ludzi, którzy ciężko pracowali w liceum, zostali przyjęci na prestiżowe uczelnie, a po ich ukończeniu dostali świetne posady. Kiedyś nazwano by ich pewne *yuppies*.

Jednak tę tak różnorodną społeczność mającą skromne fundusze i wielkie ambicje łączyło coś jeszcze. Mieli w sobie więcej współczucia niż inni i byli pod wpływem Adriana, który

tłumaczył im, że mogą zrobić coś ważnego dla świata. Zorganizowana przez niego akcja, dzięki której Kim Han-sol zdołał uciec z Makau, przekonała ich, że ma rację. Mieli stałe dochody, spłacali kredyty hipoteczne i musieli myśleć o swoich rodzinach, ale bojowe wezwanie Cheollimy obudziło w nich głębszą potrzebę. Potrzebę sensu.

Już sama nazwa „Cheollima" przemawiała do wyobraźni. Przez stulecia Koreańczycy słuchali mitologicznych opowieści o koniu, który w ciągu jednego dnia potrafił przebiec tysiąc *li*. Korea Północna włączyła go do swojej propagandy, pokazując na plakatach zachęcających robotników do realizacji wyśrubowanych planów produkcyjnych. Pod opieką Adriana Cheollima powrócił do roli mitycznego wybawcy, który wkrótce wyzwoli naród północnokoreański.

Po zakończeniu tego uroczystego obiadu uczestnicy pospieszyli ogłosić powstanie nowej organizacji.

8 marca 2017 roku na nowej stronie cheollimacivildefense-.org opublikowano w dwóch językach, angielskim i koreańskim, informację o organizacji ucieczki Kim Han-sola. Na górze strony znajdowało się tajemnicze logo – wyglądało jak odznaka noszona przez żołnierzy uczestniczących we wspólnej misji. Niżej można było obejrzeć pełne dramatyzmu nagranie zrobione przez Ahna na lotnisku w Tajpej.

Było na nim widać Kim Han-sola, siedzącego na białym tle w czarnej, zapinanej na suwak kurtce, który wypowiada się spokojnie po angielsku, z brytyjskim akcentem typowym dla mieszkańców Hongkongu. Pokazuje swój paszport i opowiada: „Mój ojciec został zamordowany kilka dni temu. Jestem teraz z mamą i siostrą. Jesteśmy bardzo wdzięczni…".

Kiedy wymawia imię człowieka, któremu jest wdzięczny, ścieżka dźwiękowa się urywa, lecz powraca, gdy wypowiada ostatnie słowa: „Mamy nadzieję, że wkrótce będzie lepiej".

Pełna wersja tego nagrania zostanie opublikowana dwa lata później. W wyciszonych pierwotnie fragmentach Kim Han-sol dziękuje „Adrianowi i jego ekipie”.

Zamieszczone na stronie inauguracyjne oświadczenie Obrony Cywilnej Cheollima napisane było w podniosłym i dość ogólnikowym stylu. Wynikało z niego, że organizacja ma szeroki zasięg i rozbudowaną sieć kontaktów. Pojawiły się podziękowania dla Królestwa Niderlandów, Chińskiej Republiki Ludowej, Stanów Zjednoczonych oraz czwartego państwa, „którego nie będziemy tu nazywać”.

„Dziękujemy również kolegom pozostającym na Północy, wewnątrz systemu, którzy bardzo nam pomagają w organizacji ucieczek”.

Dopiero po latach wyjaśniło się, kim byli owi „koledzy” z Korei Północnej.

11 Twarzą w twarz

> Kiedy sytuacja była możliwa do opanowania, zlekceważono ją, a teraz, gdy całkowicie wymknęła się z rąk, stosujemy z opóźnieniem środki, które wtedy mogły ją uzdrowić.
>
> Winston Churchill

Waszyngton, listopad 2016

Od samego początku swojego urzędowania prezydent Donald Trump, nowojorski magnat rynku nieruchomości, postrzegał geopolitykę jako sztukę ubijania interesów. Były dobre interesy, były też złe.

Jego kariera miała skomplikowany przebieg. Stał się bogaty, ale bankructwo nieraz zaglądało mu w oczy i zmuszało do wyprzedawania części cennego majątku. Podobnie wyglądała polityka zagraniczna jego administracji. Nie było w niej żadnego planu, więc stała się ciągiem przeplatających się sukcesów i porażek. Biały Dom musiał często zażegnywać bieżące kryzysy wywołane przez zamiłowanie Trumpa i koterii jego doradców do łamania zasad.

Nic jednak nie niepokoiło członków Rady Bezpieczeństwa Narodowego i ekspertów od spraw międzynarodowych tak bardzo, jak jego zmieniające się nieustannie podejście do Korei Północnej. Dla większości weteranów amerykańskiej dyplomacji Trump zabierający się do rozwiązywania tej niezmiernie delikatnej i trudnej kwestii był koszmarem rodem z *Doktora Strangelove* Stanleya Kubricka.

Jedno z ostatnich spotkań w sprawie przekazania władzy między administracją Baracka Obamy a ekipą Trumpa doty-

czyło skali problemu, jakim była Korea Północna. Zdaniem Obamy stanowiła ona największe zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych – i taką opinię przedstawił nowemu prezydentowi podczas spotkania w cztery oczy w listopadzie 2016 roku.

Wśród amerykańskich ekspertów od polityki zagranicznej przez całe dziesięciolecia panowało przekonanie, że Korea Północna jest kwestią niemal nierozwiązywalną – z jednej strony zbyt niebezpieczną, by ją ignorować, z drugiej zaś zbyt drobną, by nadmiernie się na niej skupiać. Dziennikarze piszący o realizowanej przez administrację Obamy polityce wobec tego kraju – łączącej sankcje z „otwarciem" na rozmowy, które mogłyby zacząć się na najniższym szczeblu, by doprowadzić do spotkania na szczycie – ukuli termin „strategiczna cierpliwość". Jego sens był jasny: ponieważ nie udaje się nam nic zrobić metodami dyplomatycznymi, a opcja militarna jest wyjątkowo ryzykowna, będziemy po prostu czekać, aż Korea Północna się rozleci. Tyle że ona nie chciała się rozlecieć.

Reżim Kima nie tylko okazał się wyjątkowo odporny na pojawiające się przez lata problemy, ale także radził sobie zręcznie ze światowymi mocarstwami, dzięki czemu pozostawał cierniem w oku wspólnoty międzynarodowej. Nie uznawał żadnych granic – fałszował banknoty studolarowe, organizował ataki hakerskie, sprzedawał papierosy na czarnym rynku w Europie i Azji. Większość małych krajów wolałaby nie drażnić amerykańskiego olbrzyma w obawie przed gradem rakiet, które mogłyby cofnąć je do epoki kamienia łupanego, ale Korea Północna zdawała sobie sprawę, że Stany Zjednoczone mają bardzo niewiele opcji poza scenariuszem wojny na pełną skalę. Z kolei światowe mocarstwa znające dobrze jej militarny potencjał nie były w stanie zagwarantować, że nie wystrzeli ona w razie wojny ładunku atomowego, który spadnie na liczący dziesięć milionów mieszkańców Seul.

Również Korea Południowa nie stanowiła w najbliższej przyszłości realnego zagrożenia dla Korei Północnej. Tamtejsze władze przez dwadzieścia cztery godziny na dobę zamartwiały się obecnością sąsiada z północy, ale zwykli obywatele nie myśleli o nim zbyt często, chociaż miliony dolarów z ich podatków przeznaczano na pomoc dla uchodźców i zbiegłych funkcjonariuszy reżimu. Nawet liberalni politycy, którzy – jak mogłoby się wydawać – powinni występować w obronie praw człowieka, byli dziwnie pobłażliwi wobec Kima.

Korea Północna przez dziesiątki lat pracowała na swoją reputację niebezpiecznego państwa. Dopuszczała się w tym czasie czynów tak szokujących, że trudno było zrozumieć, dlaczego jeszcze nie ogarnęła jej totalna pożoga. Bardziej radykalnie nastawieni obserwatorzy tego kraju wspominali z rozrzewnieniem dawne czasy, gdy zaczynał on dopiero budowę swojego arsenału nuklearnego – koszty wojny byłyby wtedy znacznie niższe.

W styczniu 1968 roku Korea Północna wysłała na południe należący do nowo powstałej Jednostki 124 oddział sił specjalnych, który miał zabić ówczesnego prezydenta Korei Południowej Parka Chung-hee. Żołnierze przeniknęli przez pilnie strzeżoną granicę i przebrani w południowokoreańskie mundury zdołali dotrzeć do Błękitnego Domu, czyli oficjalnej siedziby prezydenta i jego biura. Gdy zbliżyli się do rezydencji na odległość kilkuset metrów, wzbudzili podejrzenia oficera ochrony. W rezultacie dwudziestu dziewięciu z trzydziestu jeden napastników zginęło, jeden został schwytany, a jeden zdołał wrócić do Korei Północnej. W walkach poległo dwudziestu sześciu żołnierzy południowokoreańskich i czterech stacjonujących na granicy Amerykanów, którzy próbowali odciąć zamachowcom drogę odwrotu.

Dwa dni później Korea Północna przechwyciła amerykański okręt zwiadowczy USS Pueblo, który zbliżył się do jej wschodniego wybrzeża. Jeden z marynarzy został zabity, a osiemdziesięciu dwóch trafiło do niewoli. Byli torturowani i bici – zwłaszcza wtedy, gdy Koreańczycy zorientowali się, że pozując do wykonywanych na potrzeby propagandy fotografii, jeńcy wysuwali na znak oporu środkowy palec. Sam okręt został na stałe zacumowany na rzece Tedong w Pjongjangu i do dziś jest jedną z głównych atrakcji turystycznych tego miasta.

W 1983 roku Korea Północna podjęła jeszcze jedną próbę zgładzenia głowy południowokoreańskiego państwa, dyktatora Chun Do-hwana. Dowiedziawszy się, że wybiera się on wkrótce z wizytą do Mjanmy, wysłała swoich żołnierzy do Rangunu. W tamtejszym północnokoreańskim poselstwie czekały na nich materiały wybuchowe, które ukryli w dachu mauzoleum upamiętniającym Aung San, bohaterkę walk o niepodległość Mjanmy. 9 października południowokoreańska delegacja przybyła, by złożyć wieniec w mauzoleum. Gdy weszła do środka, nastąpiła potężna eksplozja, w wyniku której śmierć poniosło dwadzieścia jeden osób, w tym czterech ministrów z Korei Południowej oraz rządowi doradcy, dziennikarze i członkowie ochrony. Chun przeżył, ponieważ się spóźnił.

W obu tych przypadkach Korea Południowa, Stany Zjednoczone i inne państwa dochodziły do wniosku, że nie warto eskalować sytuacji, która może przekształcić się w otwarty konflikt. Być może chodziło im o uniknięcie rozlewu krwi, ale w rezultacie całe pokolenie koreańskich aparatczyków uznało, że może działać, nie obawiając się żadnych reperkusji. Im groźniejsze oblicze Korea Północna pokazywała światu, tym mniej prawdopodobne stawało się, że zostanie zaatakowana. Ten niebezpieczny moralnie hazard czynił ją coraz silniejszą. „Ponieważ Korea Północna nie ponosiła konsekwencji swoich

działań, jej kalkulacje zaczęły się zmieniać" – powiedział pewien doświadczony specjalista od polityki tego kraju.

Jednak w listopadzie 2016 roku podczas spotkania z doradcami Trumpa ekipa Obamy miała do przekazania nowy komunikat: polityka strategicznej cierpliwości może okazać się niemożliwa do utrzymania.

Przez dziesiątki lat amerykańscy prezydenci unikali zdecydowanych działań wobec Korei Północnej – być może dlatego, że jej program atomowy był realizowany jakby w zwolnionym tempie. W 1994 roku, podczas prezydentury Billa Clintona, jej władze nie pozwoliły międzynarodowym inspektorom na sprawdzenie, czy kraj przestrzega Traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Amerykański wywiad uważał wtedy, że Korea Północna zajmuje się przetwarzaniem plutonu w celu zbudowania dwóch bomb atomowych. Zachodnie agencje wywiadowcze nie doceniały jej możliwości technicznych – potem okazało się jednak, że tamtejsi naukowcy robią znacznie szybsze postępy, niż się spodziewano.

Clinton oświadczył później, że „jest zdeterminowany, by uniemożliwić Korei Północnej stworzenie broni atomowej, nawet gdyby wiązało się to z ryzykiem wojny". Jednak rozważający różne scenariusze konfliktu planiści z Pentagonu za każdym razem dochodzili do wniosku, że zagrożenie dla Korei Południowej i stacjonujących tam wojsk amerykańskich byłoby zbyt duże. Napięcie rosło aż do chwili, gdy Clinton zgodził się, choć niechętnie, na oficjalną wizytę w Pjongjangu byłego prezydenta Jimmy'ego Cartera. Wyglądało na to, że dyplomacja zdołała uratować sytuację. Stany Zjednoczone i Korea Północna zawarły Porozumienie ramowe: Pjongjang zobowiązał się do wstrzymania budowy reaktorów, które mogłyby zostać wykorzystane w tajnym programie zbrojeń jądrowych, w zamian

za dwa reaktory wytwarzające energię, lecz nienadające się do produkcji broni. Stany Zjednoczone i ich sojusznicy mieli dostarczyć paliwo do tych reaktorów. Dobrze zorientowani w temacie eksperci uznali to porozumienie za niedorzeczne, a może wręcz niebezpieczne. W Korei Północnej realnym problemem nie było wytwarzanie energii, lecz jej przesyłanie. Budowa reaktorów nie mogła więc doprowadzić do rozświetlenia tego mrocznego kraju.

W 2001 roku, gdy urząd prezydenta objął George W. Bush, który otoczył się bojowo nastawionym doradcami, takimi jak John Bolton, ton amerykańskiej administracji natychmiast się zmienił. Gdy pojawiły się dowody, że Korea Północna nigdy, nawet po podpisaniu Porozumienia ramowego, nie odstąpiła od programu zbrojeń jądrowych, nowa administracja zyskała powód, by zerwać umowę i wstrzymać budowę reaktorów. W 2002 roku w słynnym styczniowym orędziu o stanie państwa Bush zaliczył Koreę Północną do „osi zła", jeszcze bardziej potęgując napięcie.

W październiku tego roku asystent sekretarza stanu do spraw Azji Wschodniej i Pacyfiku James A. Kelly przyjechał do Korei Północnej jako pierwszy oficjalny przedstawiciel administracji Busha. Podczas tej wizyty sprawy przybrały nieoczekiwanie fatalny obrót. Już na samym wstępie Kelly zrezygnował z dyplomatycznych subtelności i oskarżył Koreę Północną o tajną produkcję wzbogaconego uranu potrzebnego do skonstruowania broni atomowej. Przedstawiciele państwa początkowo zaprzeczali, ale następnego dnia minister spraw zagranicznych oświadczył Kelly'emu i jego delegacji, że jego kraj „ma prawo do posiadania broni atomowej" potrzebnej do obrony przed zagrożeniami, a zwłaszcza przed największym z nich, czyli samymi Stanami Zjednoczonymi.

Kwestia Korei Północnej tliła się gdzieś w tle światowej polityki, czasem tylko rozbłyskując jaśniejszym płomieniem. Wciąż jednak nie było widać żadnych postępów. W 2003 roku reżim wycofał się z Traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Mimo że niektórzy doradcy namawiali Busha do bardziej zdecydowanych kroków, wybrał on ostatecznie podejście dyplomatyczne, czyli tak zwane rozmowy sześciostronne. Polegały one na cyklicznych spotkaniach przedstawicieli obu Korei, Stanów Zjednoczonych, Chin, Japonii i Rosji. W ciągu sześciu lat, które upłynęły do chwili objęcia prezydentury przez Baracka Obamę w 2008 roku, odbyło się sześć takich posiedzeń.

W kwietniu roku 2009 Korea Północna wystrzeliła satelitę – wbrew woli światowych mocarstw, które uznały to za brutalny pokaz gotowości do kontynuowania programu budowy rakiet balistycznych, co było niezgodne z duchem prowadzonych rozmów, i za demonstracyjne pogwałcenie Rezolucji Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych nr 1718 z 2006 roku zakazującej testów rakiet balistycznych i broni atomowej.

Wprawdzie próba wystrzelenia satelity się nie udała, ale Stany Zjednoczone nakłoniły Radę Bezpieczeństwa ONZ do potępienia tych działań. Następnego dnia oficjalny przedstawiciel Korei Północnej odpowiedział, że jego kraj „nie weźmie już więcej udziału w tych [sześciostronnych] rozmowach i że nie czuje się on zobowiązany żadnymi ustaleniami osiągniętymi w ich trakcie". Międzynarodowi inspektorzy do spraw broni atomowej zostali wydaleni z kraju. Niewiele ponad dwa miesiące później, 25 maja 2009 roku, czyli w obchodzony w Stanach Zjednoczonych Memorial Day – dzień upamiętniający poległych na polu walki – Korea Północna przeprowadziła podziemną próbę atomową.

W następnym roku południowokoreański okręt patrolowy Cheonan zatonął wskutek tajemniczej eksplozji w okolicach wyspy Paengnyŏng położonej niedaleko Northern Limit Line, czyli spornej linii demarkacyjnej oddzielającej wody terytorialne obu Korei. Z ponad stu marynarzy zginęło czterdziestu sześciu. Zachodnie służby ustaliły później, że okręt zatopiła torpeda wystrzelona przez północnokoreańską miniaturową łódź podwodną. Kim Sung-chan, admirał marynarki Korei Południowej, oświadczył, że „niezależnie od tego, kto jest winien tej zbrodni, jego kraj nie będzie się temu bezczynnie przyglądał".

Mimo to jednak ani Korea Południowa, ani jej sojusznicy nie zrobili nic poza wyrażeniem oburzenia i odcięciem wszelkiej pomocy dla jej północnego sąsiada.

Obama kontynuował swoją politykę „strategicznej cierpliwości", choć podczas drugiej kadencji dostrzegał już jej nieskuteczność. Po wyborczym zwycięstwie Trumpa ostrzegał go przed coraz bardziej niepokojącym potencjałem nuklearnym Korei Północnej. Urzędnicy odpowiedzialni w administracji Obamy za sprawy bezpieczeństwa sugerowali swoim następcom, że nowy prezydent być może będzie musiał już na początku kadencji zmierzyć się z tym problemem.

„Korea Północna będzie podbijać stawkę – powiedział dziennikarzowi »The Wall Street Journal« James Steinberg, który w czasie pierwszej kadencji Obamy zajmował się strategią postępowania wobec tego kraju. – Stan obecny, na razie stabilny, jest nie do utrzymania".

Adrian Hong znał dobrze kolejnych architektów amerykańskiej polityki wobec Korei Północnej. Sam też był dobrze znany w Biurze do spraw Demokracji, Praw Człowieka i Pracy Departamentu Stanu, z którym kontaktował dziesiątki ubiegających

się o azyl uciekinierów. LiNK, którego był założycielem – o czym często przypominał – pomógł już po jego odejściu co najmniej tysiącowi uchodźców. Nawet jeśli sam Adrian nie uczestniczył w tych operacjach, dodawało mu to wiarygodności.

Wciąż miał resztkę nadziei, że Stany Zjednoczone staną wreszcie na wysokości zadania i wystąpią przeciwko reżimowi Kima, zanim będzie za późno. Od lat namawiał amerykańskich polityków do zajęcia twardszego stanowiska, choć starał się nie ujawniać przy tym własnych poglądów i nie sugerował konkretnych rozwiązań. Z czasem, znużony krążeniem wokół Kapitolu i wygłaszaniem przemówień na konferencjach i seminariach, ograniczył swoją publiczną działalność, lecz wciąż wykorzystywał dawne znajomości.

Tym, co wyróżniało go spośród innych działaczy, była umiejętność dogadywania się zarówno z ludźmi o lewicowych, całkowicie areligijnych poglądach, jak i z konserwatystami oraz chrześcijańskimi fundamentalistami, prawdziwymi krzyżowcami walczącymi o prawa człowieka. Nie chodziło mu nigdy o pozyskanie do swoich celów jednej opcji politycznej. Chciał dotrzeć do jak największej liczby wpływowych osób i przekonać je, że Korea Północna traktuje Stany Zjednoczone i ich sojuszników jak głupków – i dobrze na tym wychodzi.

Jednym z ludzi, którzy chętnie wysłuchali tej diagnozy, był John Bolton, były zastępca prokuratora generalnego w czasach prezydentury Ronalda Reagana, który we wszystkich kolejnych republikańskich administracjach obejmował stanowiska związane z bezpieczeństwem narodowym – wciąż ze swoim charakterystycznym wąsem i śmiałymi wizjami tego, jak Stany Zjednoczone powinny prężyć geopolityczne muskuły. Bolton uchodził za najbardziej jastrzębiego z waszyngtońskich jastrzębi – otwarcie wezwał do obalenia rządów we wszystkich

krajach zaliczonych przez George'a Busha do „osi zła", czyli również w Korei Północnej.

W 2003 roku Bolton został wycofany z zespołu negocjatorów prowadzących rozmowy z Koreą Północną, po tym jak w przemówieniu wygłoszonym w Seulu pozwolił sobie na lekceważące uwagi na temat Kim Dzong Ila. Nazwał go tyranem i dyktatorem, po czym stwierdził: „On żyje jak król w Pjongjangu, trzymając w obozach setki tysięcy swoich poddanych, a kolejne miliony skazuje na biedę tak straszną, że muszą grzebać w ziemi w poszukiwaniu jedzenia". „Dla wielu mieszkańców Korei Północnej życie jest piekielnym koszmarem" – dodał.

Północnokoreańska propaganda w odpowiedzi nazwała go „parszywym śmieciem i pijawką". Bolton powiedział później, że był to największy zaszczyt, jaki spotkał go podczas pracy w Białym Domu.

Adrianowi udało się umówić z nim na spotkanie w 2017 roku, kilka lat po tym, jak Bolton opuścił stanowisko ambasadora przy ONZ. W prywatnej rozmowie Adrian przedstawił mu własną wizję przyszłości Korei Północnej. Powiedział, że jego zdaniem negocjacje nie mają żadnego sensu, a jedyną możliwą strategią jest pomoc w wywołaniu powstania. Bolton był zachwycony tymi słowami i zapewnił, że całkowicie się z nimi zgadza.

W Waszyngtonie było jednak więcej ludzi podzielających, podobnie jak Bolton, opinię Adriana, który przekonywał, że Korea Północna nie potrafi uczciwie negocjować. Zachęcali go po cichu do dalszego działania, obiecując, że pomogą mu, gdy nadejdzie właściwa chwila.

W czerwcu 2017 roku, kilka miesięcy po objęciu prezydentury przez Donalda Trumpa, sekretarz stanu Rex Tillerson musiał wypełnić smutny obowiązek. Trzeba było zająć się sprowadze-

niem do kraju Ottona Warmbiera, amerykańskiego studenta uwięzionego przez północnokoreańską służbę bezpieczeństwa 2 stycznia 2016 roku. Warmbier studiował na Uniwersytecie Wirginii i wjechał do kraju przez Chiny jako uczestnik zorganizowanej wycieczki. Wybrał się na nią tuż przed rozpoczęciem semestru, który miał spędzić w Hongkongu.

Jego grupa wyleciała do Korei Północnej na pięciodniową wycieczkę 29 grudnia. Podczas gdy pozostali uczestnicy poszli świętować przy alkoholu nadejście nowego roku, Warmbier rzekomo zakradł się o drugiej w nocy do dostępnego tylko dla personelu pomieszczenia w międzynarodowym hotelu Yanggakto, by ukraść propagandowy plakat. Na opublikowanym później przez władze Korei Północnej kiepskiej jakości nagraniu widać wyglądającą na mężczyznę postać zdejmującą ze ściany oprawiony w ramy plakat i odstawiającą go starannie na podłogę.

Następnego dnia na lotnisku, jak można przeczytać w starannie udokumentowanym artykule w „Rolling Stone", Warmbier został zatrzymany przez dwóch funkcjonariuszy. Reszta grupy dostała się na pokład samolotu, gdzie została poinformowana, że się rozchorował i trafił do szpitala. Przez kilka tygodni był uznawany za zaginionego – aż do czasu, gdy północnokoreańska Centralna Agencja Informacyjna ogłosiła, że został aresztowany za „wrogi czyn antypaństwowy".

Niedługo później, 29 lutego, Warmbier pojawił się w państwowej telewizji. Podczas konferencji prasowej odczytał oświadczenie, w którym przyznał się do próby kradzieży plakatu. Co dziwne, z jego wypowiedzi wynikało, że zrobił to na zlecenie Kościoła metodystów z jego rodzinnego miasta oraz tajnego klubu Z Society (Towarzystwo Z) działającego na Uniwersytecie Wirginii. Oba te ośrodki, jak oświadczył, pracowały dla CIA.

Amerykańskie władze domagały się jego uwolnienia, ale Warmbier stanął przed Sądem Najwyższym Korei Północnej. Ten „sąd kapturowy” – jak określili go działacze Human Rights Watch – orzekł, że mężczyzna popełnił przestępstwo „zgodne z wrogą polityką Stanów Zjednoczonych” wobec Korei Północnej, i skazał go na piętnaście lat ciężkich robót.

W czerwcu następnego roku ogłoszono jednak niespodziewanie, że Warmbier zostaje przedterminowo zwolniony z więzienia. Początkowo wyglądało to na gest dobrej woli skierowany do nowego amerykańskiego prezydenta, ale szybko okazało się, że więzień jest w bardzo ciężkim stanie i Korea Północna chce się go pozbyć, zanim umrze.

Amerykanów poinformowano dyskretnie, że Warmbier zatruł się w więzieniu jadem kiełbasianym i zapadł w śpiączkę po połknięciu środka nasennego.

Do Korei Północnej wysłano amerykańską ekipę medyczną, która zastała Warmbiera w „poważnym” stanie wegetatywnym. Miał powykrzywiane kończyny i widoczne oznaki agonii. Przewieziono go do Stanów Zjednoczonych, gdzie lekarze z Uniwersytetu Cincinnati stwierdzili znaczny ubytek tkanki mózgowej spowodowany poważnym niedotlenieniem. Nie wykryli natomiast śladów zatrucia jadem kiełbasianym.

Kilka dni po powrocie Warmbiera jego rodzice podjęli decyzję o odłączeniu go od aparatury podtrzymującej życie. Zmarł niedługo później, w wieku dwudziestu dwóch lat. Ta straszna tragedia, która wydarzyła się na początku kadencji Trumpa, nadała ton relacjom jego administracji z Koreą Północną.

Wrogość między dwoma państwami narastała już wcześniej, przed sprawą Warmbiera. Teraz obie strony zaczęły eskalować napięcie.

W sierpniu, podczas spotkania z dziennikarzami w należącym do niego klubie golfowym w Bedminsterze, Trump zagro-

ził Korei Północnej, że jeśli będzie realizować swoje nuklearne ambicje, „doświadczy ognia, gniewu i siły, jakich świat nie widział”. Kilka dni później oświadczył, że Stany Zjednoczone są w tej sprawie „zwarte i gotowe”.

Korea Północna uznała się za ofiarę „oszczerczej kampanii”, lecz podniosła temperaturę sporu jeszcze bardziej, przeprowadzając we wrześniu 2017 roku podziemną próbę bomby wodorowej. W informującym o niej komunikacie dodano, że tego rodzaju bomba może być zamontowana na międzykontynentalnej rakiecie balistycznej. Stany Zjednoczone i ich sojusznicy zareagowali jak zwykle – zaostrzyli sankcje.

Przemawiając niedługo później przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ, Trump powiedział światowym przywódcom, że „nikt nie okazał większej pogardy dla innych narodów i lekceważenia dobra własnego ludu niż zdeprawowany reżim Korei Północnej”. Tak się złożyło, że delegat tego kraju siedział tego dnia w pierwszym rzędzie. Rozzłoszczony słuchał, jak Trump mówi, że Kim Dzong Un jest otoczony przez „bandę kryminalistów”. I robił notatki.

Opisując brutalność reżimu, Trump przypomniał sprawę Ottona Warmbiera, który wrócił do Ameryki tylko po to, by po kilku dniach umrzeć, oraz historię młodej kobiety porwanej przez północnokoreańskie służby z japońskiej plaży. „Ten rakietowy człowieczek[12] – mówił, mając na myśli Kim Dzong Una – realizuje misję samobójczą dla niego samego i dla jego reżimu. Stany Zjednoczone są gotowe, zmotywowane i zdolne do działania. Miejmy jednak nadzieję, że nie będzie ono konieczne”.

Wymiana gróźb trwała do końca roku. Korea Północna pojawiła się znów w nagłówkach gazet w styczniu 2018 roku podczas zimowych igrzysk olimpijskich organizowanych przez Koreę Południową w Pjongczangu. Obecny na otwarciu wiceprezydent Mike Pence odmówił przywitania się z delegacją Korei Północnej, na czele której stała Kim Jo Dzong, siostra Kim Dzong Una.

Niezależnie jednak od tego incydentu, obecność sportowców z Północy doprowadziła do ocieplenia relacji między władzami obu Korei, a w konsekwencji do ich oficjalnego spotkania w Panmundżomie 27 kwietnia 2018 roku, podczas którego Kim Dzong Un oświadczył, że jest otwarty na dalsze rozmowy ze Stanami Zjednoczonymi.

5 marca Kim Dzong Un gościł na obiedzie delegację z Korei Południowej. Miał wówczas wyrazić wstępną gotowość do denuklearyzacji. Powiedział też, że chciałby spotkać się z prezydentem Trumpem. Trzy dni później południowokoreański doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego wraz z szefem wywiadu – obaj uczestniczyli w tym obiedzie – zjawili się w Białym Domu, by przekazać nowiny Trumpowi i zaprosić go w imieniu Kim Dzong Una na spotkanie na szczycie. Trump od razu się zgodził.

W maju zarówno Trump, jak i wiceprezydent Pence stwierdzili, że upadek Muammara Kaddafiego powinien być dla Kim Dzong Una ostrzeżeniem przed tym, co może się stać, jeśli nie zrezygnuje z broni atomowej. Tak jakby nie zauważyli, że Kaddafi stracił władzę *po tym*, jak w czasie negocjacji dobrowolnie wyrzekł się nuklearnych ambicji. Ów libijski scenariusz był właśnie tym, czego obawiała się Korea Północna.

Trump jednak miał skrytą nadzieję, że pozując na twardego faceta, doprowadzi do przełomu w negocjacjach. W tym czasie mówił swoim doradcom, że jeśli zdoła wymusić na Korei Północnej układ lepszy od wszystkich dotychczasowych, zdobędzie wielką sławę. Uważał, że najlepszą strategią będzie grożenie reżimowi ogniem piekielnym, by przekonać go, że kompromis to lepsze wyjście niż podejmowanie śmiertelnego ryzyka.

Obama stosował „strategiczną cierpliwość”, natomiast Trump „maksymalną presję”, choć w rzeczywistości były to dwie strony tego samego medalu. Różnica polegała na tym, że

Trump – w znacznej mierze za sprawą przechwałek samego Pjongjangu, który w latach 2016 i 2017 przeprowadził dziesiątki prób rakietowych – miał pretekst, by wzmocnić sankcje i nakłonić inne kraje, by się do nich przyłączyły. Jak jednak przyznał po spotkaniu z Kimem w Singapurze w czerwcu 2018 roku, wcale nie zamierzał atakować Korei Północnej.

Mieszkający wciąż w Los Angeles Adrian z zainteresowaniem obserwował wysyp nagłówków prasowych dotyczących Korei Północnej. Na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że amerykańska polityka wobec tego kraju wciąż jest tak samo niekonsekwentna jak przez ostatnie dziesiątki lat. Ale w postawie administracji Trumpa było coś szalonego – coś, co mogło dać początek zdecydowanym działaniom. Jeśli dyplomatyczne podchody nie dadzą żadnych rezultatów – a Adrian był całkowicie przekonany, że tak będzie – być może do głosu dojdą bardziej radykalni politycy, tacy jak Bolton. Adrian wiedział, że on też chce trzymać rękę na pulsie.

Gdy w czerwcu 2018 roku Trump leciał do Singapuru na zaplanowane na neutralnym gruncie spotkanie z Kim Dzong Unem, upajał się wizją zawarcia porozumienia, jakiego nie udało się wynegocjować żadnemu z dotychczasowych prezydentów. Dla tego wytrawnego negocjatora mógł to być kontrakt życia. Jego ego zostało jeszcze bardziej połechtane, gdy prezydent Korei Południowej Mun Jae-in zapowiedział publicznie, że zamierza zgłosić jego kandydaturę do Pokojowej Nagrody Nobla.

Trump miał w zanadrzu czterominutowy film przygotowany na zamówienie Rady Bezpieczeństwa Narodowego przez Destiny Pictures sugerujący, że Kim Dzong Un może przerwać cykl „powtarzającej się wciąż na nowo historii” i zapewnić dobrobyt swojemu krajowi. Narrator zapowiada w nim, że „przy-

szedł czas, gdy tylko nieliczni zostają wezwani do czynu" i że „nowy świat może zacząć się już dzisiaj".

„Światło może pokonać ciemność – mówi dalej narrator – a światło nadziei zalśnić pełnym blaskiem". W pewnym momencie w filmie pojawia się widziana z kosmosu Korea Północna, najpierw pogrążona w mroku jak na słynnym zdjęciu satelitarnym, a potem rozbłyskująca niezliczonymi światłami.

Cytowany przez „The Guardian" Ned Price, były rzecznik Rady Bezpieczeństwa Narodowego, powiedział: „Całe to zalatujące amatorszczyzną przedsięwzięcie miało być próbą realizacji idiotycznego pomysłu, który zrodził się najpewniej w Gabinecie Owalnym".

Wielkie spotkanie na szczycie odbyło się na należącej do Singapuru wyspie Sentosa w stylizowanym na budynek z epoki kolonialnej hotelu Capella. Po sesji fotograficznej i ceremonii powitalnej Trump i Kim Dzong Un zaczęli żartować sobie z prasy. Trump powiedział, że prasa bywa „kompletnie nieuczciwa", czym wywołał rozbawienie przywódcy Korei Północnej.

Kim Dzong Un spytał, jak amerykański prezydent ocenia młodszego od siebie przywódcę Korei Północnej. Trump odpowiedział, że to świetne pytanie. John Bolton wspominał później, że Trump uważał Kima za inteligentnego, nieco tajemniczego polityka, który jest jednak dobrym, całkowicie szczerym człowiekiem o wspaniałej osobowości. Obaj twierdzili, że mają ze sobą wiele wspólnego, w tym łączące ich pragnienie denuklearyzacji Półwyspu Koreańskiego. Nic z tego jednak nie było prawdą.

Udając zmęczonego całą sytuacją, Kim tłumaczył Trumpowi, że jest po prostu politykiem i musi negocjować z twardogłowymi członkami kierownictwa partii, którzy są zdecydowanie przeciwni pozbywaniu się tak cennej dla kraju broni atomo-

wej. Zwodził go, domagając się, by to Stany Zjednoczone *jako pierwsze* poszły na ustępstwa, a wtedy on zdoła przekonać własne elity władzy do rozpoczęcia procesu rozbrojeniowego. Nie namyślając się wiele, Trump zgodził się odwołać wspólne manewry wojskowe z Koreą Południową – bo przecież negocjują właśnie w atmosferze wzajemnego zaufania.

Pod koniec rozmowy Trump zaczął żartować z Kimem na temat obraźliwego określenia „rakietowy człowieczek", którym się wcześniej posłużył. Spytał go, czy słyszał o Eltonie Johnie, i przekonywał, że w nowej sytuacji słowa „rakietowy człowiek" można uznać za komplement.

Sam Kim powiedział później w krótkim oświadczeniu dla prasy, że spotkanie to było dla niego jak dzień spędzony w bajkowej krainie. Z kolei Trump po przylocie do Waszyngtonu napisał na Twitterze: „Teraz wszyscy mogą się czuć dużo bardziej bezpieczni niż wtedy, gdy obejmowałem urząd prezydenta. Nie ma już żadnego zagrożenia nuklearnego ze strony Korei Północnej. Spotkanie z Kim Dzong Unem było bardzo ciekawym i pozytywnym doświadczeniem. Korea Północna ma szansę na wielką przyszłość!".

Historia jednak, oczywiście, powtórzyła się raz jeszcze. Puste deklaracje przez cały następny rok nie doprowadziły do żadnych konkretnych działań ze strony Korei Północnej. Nikt się tym szczególnie nie przejmował – aż do czasu, gdy rok później Trump podjął jeszcze jedną, ostatnią próbę dobicia targu życia.

Podczas gdy wysiłki prezydenta spełzały na niczym, Cheollima rosła w siłę. W kwietniu 2017 roku na jej stronie pojawiła się informacja o uratowaniu dwóch ludzi. Nie podano wprawdzie żadnych szczegółów, a w mediach nie było żadnych doniesień o zbiegłych funkcjonariuszach reżimu, ale na obserwatorach

spraw koreańskich wiadomość ta zrobiła wielkie wrażenie. „Dziękujemy panu C. i władzom pewnego kraju, którego nazwy nie możemy tu podać”.

Pewien weteran ruchów społecznych działających przeciwko północnokoreańskiemu reżimowi powiedział mi, że chociaż nie wyrażał publicznie swojego zdania w tej kwestii, w skrytości ducha liczył na to, że Cheollima zacznie grać o większą stawkę. Społeczność działaczy angażujących się w tę sprawę ogarniało czasami wrażenie, że są gatunkiem wymierającym. Nie było żadnych powiewów świeżej myśli, a ich samych obezwładniała niechęć do czynienia jakichkolwiek śmiałych kroków. Obrona Cywilna Cheollima wyrobiła sobie markę, pomagając w ucieczce Kim Han-solowi. „Byłem ciekaw, czym się popiszą następnym razem” – powiedział mój rozmówca.

Aby się dowiedzieć, czy reżim Kimów był kiedykolwiek poważnie zagrożony, trzeba głęboko pokopać w jego historii. Jednym z takich momentów był rok 1967, kiedy Kim Ir Sen musiał zmierzyć się z tak zwaną frakcją Kapsan. W tym stosunkowo wczesnym okresie istnienia północnokoreańskiej państwowości nie obowiązywał jeszcze dynastyczny mechanizm przekazywania władzy. Członkowie frakcji Kapsan byli – podobnie jak sam Kim Ir Sen – weteranami walk z Japonią, rozczarowanymi jednak wprowadzanym kultem jednostki. Dążyli do zmiany polityki gospodarczej kraju, zakwestionowania pozycji Kim Ir Sena i wyznaczenia na jego następcę Pak Kum-chola.

Wyrazem ideologicznego rozłamu w łonie reżimu była seria natchnionych przemówień wygłoszonych w obecności Kim Ir Sena i jego dwudziestosześcioletniego syna Kim Dzong Ila. W jej efekcie dokonano czystki wśród członków frakcji. Jednych zesłano na wieś, innych zabito. Jak pisał południowokoreański historyk Lim Jae-cheon, Kim Ir Sen zyskał wtedy nieograniczoną władzę i przeforsował zasadę dynastycznego na-

stępstwa władzy, którą bez żadnego skrępowania nazwał monolitycznym systemem ideologicznym. Po tych wydarzeniach wprowadzono wiele elementów charakterystycznych dla współczesnej północnokoreańskiej autokracji: noszone przez obywateli przypinki z Kim Ir Senem, nieustanne cytowanie słów Wielkiego Przywódcy i cenzurowanie wszystkich książek pod kątem rewolucyjnej „poprawności".

Przez pół wieku odnotowano bardzo nieliczne oznaki sprzeciwu wobec zasady dziedziczenia władzy przez potomków Kima. Wpojona mieszkańcom Korei Północnej kultura donosicielstwa praktycznie uniemożliwiała pojawienie się poważnego wewnętrznego oporu wobec reżimu. Nie znaczyło to jednak, że wszyscy obywatele są dumni ze swoich przywódców i sytuacji w kraju – dotyczyło to również przedstawicieli władzy. Nikt jednak nie wyrażał otwarcie niezadowolenia, zwłaszcza przy cudzoziemcach.

W sierpniu 2017 roku na stronie internetowej Cheollimy pojawiła się napisana po koreańsku zapowiedź, że organizacja będzie pomagać w ucieczkach funkcjonariuszom reżimu. „Jeśli skontaktujesz się z nami, pisząc na poniższy adres mejlowy, to niezależnie tego, w którym kraju przebywasz, pomożemy ci bezpiecznie dotrzeć w wybrane przez ciebie miejsce. Pomogliśmy już kilku osobom związanym z władzą, nie oczekując niczego w zamian". W przeciwieństwie do mieszkańców żyjących w kraju północnokoreańscy dyplomaci przebywający za granicą mieli dostęp do internetu.

W kolejnych miesiącach Cheollima publikowała na swojej stronie kolejne zagadkowe wiadomości, co potęgowało otaczającą ją aurę tajemnicy. Dziękowała na przykład rządowi Wielkiej Brytanii za „udzieloną w samą porę pomoc w bardzo ważnej sprawie", nie podając jednak żadnych szczegółów, albo umieszczała komunikaty o treści „Black 70" czy „3972745482".

Nie wiadomo było, czy te publikowane otwarcie, zaszyfrowane informacje były skierowane do działających w innych krajach członków organizacji, czy do osób potrzebujących pomocy.

Dopiero później dowiedziałem się od przedstawiciela Cheollimy, że podziękowania dla władz brytyjskich dotyczyły akcji związanej z ucieczką wysoko postawionego funkcjonariusza państwowego Korei Północnej. Cheollima uratowała go, pozorując jego śmierć w wypadku gdzieś w Europie, a następnie przewożąc potajemnie do Wielkiej Brytanii, skąd poleciał do Korei Południowej.

Organizacja podejmowała też działania w sferze politycznej. W listopadzie opublikowała w języku koreańskim elaborat, w którym krytykowała rząd Muna za nieudzielanie pomocy znajdującym się w potrzebie Koreańczykom z Północy. W tekście pada pytanie: „Czyż nie jesteś Koreańczykiem?”. Cheollima uruchomiła nowy adres mejlowy dla wolontariuszy, informując, że szczególnie poszukiwane są osoby mające za sobą służbę w armii, ratownictwie medycznym, policji i straży pożarnej, a także pielęgniarze, lekarze i tłumacze.

11 czerwca 2018 roku na stronie organizacji pojawił się kolejny intrygujący komunikat: „Do towarzyszy, którzy chcą uciec z Korei Północnej. Dostałem wasz list. Jeśli wysłaliście już do nas mejla, nie wysyłajcie go po raz drugi. Rozumiemy waszą trudną sytuację. Zostańcie na razie w kryjówce i bądźcie ostrożni. Dbajcie o bezpieczeństwo. Wkrótce się spotkamy”.

12 Włoska robota

> Bądź miły wobec miłych, sprytny wobec przebiegłych, ufny wobec uczciwych, twardy wobec brutalnych, srogi wobec kłamliwych. Przy tym wszystkim jednak nie zapominaj o własnej godności.
>
> John Brown

Rzym, listopad 2018

Jo Seong-gilowi pod każdym niemal względem powodziło się świetnie.

Był jednym z najbardziej zaufanych i cenionych północnokoreańskich dyplomatów pracujących poza granicami kraju. Przyjechał do Włoch w 2015 roku jako zastępca ambasadora, ale już dwa lata później przejął obowiązki swojego szefa, który został wydalony przez włoskie władze po tym, jak Korea Północna przeprowadziła próbę jądrową. Jo, wytworny, niespełna czterdziestoletni mężczyzna, znał angielski, włoski i francuski. Wcześniej służył we Francji, interesował się sztuką średniowieczną.

Swoją mocną pozycję zawdzięczał nie tylko stanowisku ambasadora w Rzymie. Równie istotna była rola, jaką odgrywał w rozmowach z Organizacją Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa dotyczących pomocy żywnościowej dla jego kraju. Korea Północna niechętnie przyznaje to publicznie, ale pomoc ta jest konieczna do wyżywienia mieszkańców, więc ma wielkie znaczenie dla reżimu.

A jednak Jo chciał uciec – niemal za wszelką cenę.

W Korei Północnej dyplomaci wywodzą się z powiązanych ze sobą politycznie i rodzinnie elit władzy. Kandydaci przechodzą intensywne szkolenie ideologiczne. Uczy się ich również właściwego wypowiadania się na temat wszystkich spraw dotyczących kraju. Zachodni i południowokoreańscy dyplomaci, którzy się z nimi spotykali, twierdzą, że nawet w luźnych rozmowach prowadzonych daleko od Pjongjangu trudno wyczuć u nich choćby ślad osobistej opinii.

Jednym z największych zagrożeń dla opartej na tajności polityki Korei Północnej są ucieczki funkcjonariuszy reżimu, którzy nie tylko znają szyfrowany system przekazywania informacji do jej ambasad na całym świecie, lecz także mają cenną wiedzę na temat działalności przestępczej oraz polityki zagranicznej.

O wysokiej pozycji Jo świadczył również fakt, że pozwolono mu mieszkać w Rzymie razem z żoną i córką. Większość dyplomatów, wywodzących się przecież z najwyższej i najlepiej sytuowanej klasy społecznej systemu *seongbun*, musi zostawić w kraju jedną osobę z najbliższej rodziny – jako zabezpieczenie. Jo mógł zabrać ze sobą nastoletnią córkę, ponieważ cierpiała na nieokreślone dolegliwości psychiczne i wymagała ciągłej uwagi i opieki.

System nie bawi się w subtelności. Ktoś, kto zdradza, pogrąża własną żonę, dzieci i rodziców. Uciekinierzy i zdrajcy – z punktu widzenia reżimu winni niewybaczalnej zbrodni – podlegają wprowadzonej przez założyciela państwa Kim Ir Sena karze obejmującej trzy pokolenia. Ich bliscy trafiają do więzienia, czasem jednak tracą życie.

Gdy w 2016 roku Tae Yeong-ho, pięćdziesięcioczteroletni mężczyzna o łagodnym wyglądzie, zastępca ambasadora Korei Północnej w Wielkiej Brytanii, uciekł do Korei Południowej, został uznany za zdrajcę.

Służył w dyplomacji od lat i mógł wydawać się w tym czasie całkowicie oddanym obrońcą reżimu. Wygłaszał natchnione przemówienia przed zjazdami Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii i pomagał brytyjskim dziennikarzom w wyjazdach do Pjongjangu. Wydaje się jednak, że w ciągu dekady spędzonej w tym kraju polubił tamtejszy styl życia – potrawy w sosie curry i spotkania towarzyskie na polach golfowych i kortach tenisowych.

Ucieczka dyplomaty tak wysokiej rangi była bardzo kłopotliwa dla reżimu, choć w samym jej przebiegu nie było nic sensacyjnego. Pewnego dnia Tae wyszedł jak gdyby nigdy nic z żoną i synem z ambasady, po czym wszyscy udali się do ambasady Korei Południowej. Otrzymali tam natychmiast pomoc i zostali umieszczeni, w porozumieniu z władzami brytyjskimi, w bezpiecznej kryjówce. Następnie rodzina poleciała wojskowym samolotem do Niemiec, a stamtąd do Korei Południowej.

Okazało się to tak proste, że od tej pory Adrian przedstawiał tę ucieczkę jako przykład dla kolejnych chętnych. Przekonywał, że kajdany, które czują na swoich rękach, istnieją tylko w ich wyobraźni. Drzwi są szeroko otwarte. Wystarczy przez nie przejść.

Po ucieczce Taego północnokoreańskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wprowadziło zasadę, że każdy wysyłany za granicę dyplomata musi zostawić w kraju co najmniej jednego członka najbliższej rodziny – małżonka lub dziecko.

Niebezpieczne było już samo pragnienie ucieczki. Jo Seong-gil, który miał zakończyć pracę w Rzymie w listopadzie 2018 roku, znalazł jednak pewnego dnia chwilę samotności, by wysłać zaszyfrowaną wiadomość do władz włoskich i południowokoreańskich oraz do współpracowników Obrony Cywilnej Cheollima.

Dyplomaci dowiedzieli się o istnieniu Cheollimy dzięki roli, jaką odegrała ona w sprowadzeniu na Zachód Kim Han-sola. Oczywiście już sama próba nawiązania kontaktu z organizacją była przestępstwem, za które można było zostać skazanym na karę śmierci. Niektórzy Koreańczycy z Północy obawiali się, że Cheollima jest fałszywą organizacją stworzoną przez Koreę Północną w celu wyłapania potencjalnych zdrajców. Reżim Kima uczył ludzi paranoicznej podejrzliwości.

Problem północnokoreańskich dyplomatów polegał na tym, że musieli oni niezachwianie wierzyć w „prawdy", jakie ich państwo głosiło swoim obywatelom, żyjąc jednocześnie w „realnym świecie", w którym żadna z tych prawd nie znajdowała potwierdzenia. Jedną z ich najważniejszych umiejętności była więc zdolność do wyznawania dwóch wzajemnie sprzecznych poglądów bez odczuwania jakiegokolwiek dysonansu poznawczego. Orwellowskie „dwójmyślenie" było dla nich faktem, mechanizmem umożliwiającym przeżycie za granicą.

Jo był człowiekiem otwartym i rozmownym. Często zadziwiał biznesmenów, których spotykał podczas wizyt we włoskich fabrykach i centrach dystrybucji. Jego maniery były tak doskonałe, niemal mechaniczne, jakby miał za sobą intensywne szkolenie z zakresu etykiety.

Trudno było powiedzieć to samo o „panu Paku", niskim, krępym mężczyźnie, który towarzyszył Jo na każdym kroku. Pak mówił znacznie gorzej po włosku i miał prostackie maniery. Włosi, którzy spotykali ich razem, przypuszczali, że pilnuje on wyższego rangą dyplomaty. Żeby uciec, Jo musiałby zrobić to tak, by nie wzbudzić podejrzeń swojego wiecznego cienia.

Jo zawsze ściśle przestrzegał reguł. Czasem nawet prosił ludzi, których poznawał, o dokumenty, by sprawdzić ich wiarygodność. Gdy razem z Pakiem spotykali się z włoskimi biznesmenami i politykami w restauracjach, chętnie jedli i pili, ale –

jak pisał John Lyons w „The Wall Street Journal" – gdy pojawiał się rachunek, odwracali wzrok od stolika.

Później Jo opowiadał południowokoreańskim dziennikarzom, że już na dziesięć lat przed podjęciem decyzji o ucieczce zaczął po kryjomu czytać zagraniczne książki o historii Korei Północnej. Dzięki pracy w Rzymie miał wgląd w sytuację gospodarczą swojego kraju. Wbrew oficjalnej doktrynie samowystarczalności bezpieczeństwo żywnościowe w znacznej mierze zależało od pomocy zagranicznej. Jednocześnie jednak, dzięki rozsianym po świecie tajnym firmom i fabrykom, w których robotnicy pracowali za przysłowiową miskę ryżu, Kim Dzong Un i ludzie z jego otoczenia opływali w luksusy.

Odkrycia te zasiewały ziarna zwątpienia, które kiełkowały, naruszając fundamenty jego wizji świata. W końcu Jo zrozumiał, że wszystko, czego go uczono, było kłamstwem.

Obrona Cywilna Cheollima pomagała w ucieczkach dyplomatów nie tylko po to, by poprawić los pojedynczych rodzin – chociaż obietnica lepszego życia zawsze była elementem ich niepisanych umów. Chodziło również o to, że funkcjonariusze mieli mnóstwo informacji na temat władz Korei Północnej oraz jej tajnych zagranicznych operacji. Ta wiedza była cenna zarówno dla Adriana i jego organizacji, mającej śmiałe plany obalenia reżimu Kima, jak i dla agencji wywiadowczych Stanów Zjednoczonych i innych krajów. Cheollima miała więc powód, by utrzymywać z nimi kontakty.

Najważniejszy był jednak potężny efekt propagandowy, jaki przynosiły ucieczki wysokich urzędników – każdy taki przypadek był sygnałem, że kontrola Kim Dzong Una nad północnokoreańskimi elitami słabnie.

Kiedy Tae uciekł, rzecznik rządu Korei Południowej uznał to za oznakę „utraty wiary w reżim Kim Dzong Una wśród człon-

ków elity władzy" i „kruszenie się wewnętrznej jedności klasy rządzącej". Jednak specjaliści od Korei Północnej nie podzielali tego entuzjazmu – dla nich takie sytuacje były jedynie odosobnionymi przypadkami.

Organizacja ucieczki z ambasady była ryzykowna, ale dalece mniej niebezpieczna niż przeprowadzanie uchodźców przez Chiny w nadziei, że ambasada amerykańska pomoże im w wydostaniu się z kraju i znalezieniu schronienia w Korei Południowej lub gdzie indziej. Jednym z najpoważniejszych problemów Cheollimy było sprawdzanie przychodzących mejli. Po uruchomieniu adresu pocztowego wiadomo było, że na jedną wiadomość od każdego z potencjalnych uciekinierów przypadnie dziesięć naszpikowanych wirusami, wysłanych przez północnokoreańskich hakerów pragnących poznać ich tożsamość. Nawet na pozór wiarygodny kandydat na uciekiniera mógł okazać się oszustem próbującym wciągnąć w pułapkę działaczy organizacji.

Obrona Cywilna Cheollima roztaczała wokół siebie aurę tajemniczości, więc w internecie pojawiało się coraz więcej przypuszczeń, że jest ona sterowana przez CIA. Również specjaliści od Korei Północnej pracujący na uczelniach i w think tankach nie chcieli uwierzyć w istnienie prawdziwej podziemnej organizacji zamierzającej obalić Kim Dzong Una.

W Korei Południowej działacze zajmujący się północnym sąsiadem są traktowani sceptycznie. Pierwsze, o co ludzie pytają, to źródła ich finansowania. Grupa zajmująca się wysyłaniem przez granicę balonów z antykimowską propagandą i innymi informacjami otrzymuje część funduszy od amerykańskich instytucji rządowych – jest to często wykorzystywane do podważania jej wiarygodności.

Sekret Cheollimy polegał na tym, że nie miała ona prawie żadnych pieniędzy. Ogromna większość środków pochodziła

od członków grupy. To Christopher Ahn zapłacił za bilety lotnicze dla Kim Han-sola, jego matki i siostry, żeby wywieźć ich z Makau. Adrian podróżował po świecie w sprawach związanych z Koreą Północną, ale wydawał głównie własne pieniądze – czasem więcej niż miał. Wziął ślub, planował założyć rodzinę, więc ciągły brak gotówki był stresujący.

Finanse były wiecznym problemem. Nawet ci, którym bliskie były poglądy Adriana, nie chcieli mieć nic wspólnego z ryzykownymi akcjami. Chętnie wpłacali co miesiąc darowiznę przeznaczoną na pomoc uchodźcom przybywającym do Ameryki albo potrzebującym schronienia po przekroczeniu chińskiej granicy, ale tylko nieliczni byli gotowi podjąć ryzyko współpracy z organizacją zamierzającą obalić państwo dysponujące bronią atomową.

Im dłużej Adrian zastanawiał się nad tym wszystkim, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jeśli ma skłonić do działania potencjalnych sponsorów jego rewolucyjnych projektów, musi im przedstawić jakąś finansową zachętę. W rozmowach z biznesmenami, których poznawał w Tajlandii, Japonii i innych krajach azjatyckich, zaczął prosić o duże sumy, obiecując, że zostaną zwrócone, gdy Korea Północna będzie już wolna. Pomysł ten wzbudził pewne zainteresowanie, ale wciąż nie było chętnych. Wydawał się kuszący, ale nadal zbyt ryzykowny.

Adrian był rozczarowany i zmęczony. Pewnego dnia, w chwili słabości, wyznał Christopherowi Ahnowi:

– Nie chcę już tego robić.

Powiedział, że od lat szuka innego przywódcy, ale nie może znaleźć nikogo równie zaangażowanego jak on sam – nikogo gotowego poświęcić się niemal całkowicie sprawie obalenia reżimu Kima. Przyznał też, że z powodu nadmiernych wydatków

i nieumiejętności wykorzystywania biznesowych okazji nieustannie balansuje na krawędzi bankructwa.

Doceniwszy ten moment szczerości, Ahn powiedział to, co mówi się w takich sytuacjach przyjacielowi w potrzebie:

– Słuchaj stary, jak sobie życzysz. Jeśli chcesz chwilę odpocząć, odpuść sobie. Nie musimy rozmawiać o Korei Północnej.

Adrian nie był jednak zwyczajnym człowiekiem. Chwila szczerości szybko minęła i znów zamknął się w sobie. Sięgnął po telefon, by odebrać na Signalu dziesiątki nowych wiadomości z całego świata.

Ograniczenia finansowe zmuszały Adriana do skupienia się na mniej kosztownych operacjach, które dawały szanse na zdobycie cennych informacji lub obalenie mitu Korei Północnej jako wszystkowidzącego, wszechpotężnego reżimu. Większość ludzi na świecie oczywiście w to nie wierzyła, ale jej mieszkańców od urodzenia wychowywano w kulcie niezwyciężonej Partii Pracy i jej boskiego przywódcy.

Oba te cele można było osiągnąć, organizując ucieczki wysoko postawionych członków północnokoreańskich władz. Każde takie wydarzenie było szeroko komentowane na świecie. Relacje filmowe można było łatwo wysłać do Korei Północnej na pendrajwach przenoszonych przez balony meteorologiczne.

Zbiegowie tej rangi posiadali bezcenne informacje. Dyplomaci nie tylko znali wiele tajemnic państwowych. Zajmowali się również zarabianiem pieniędzy dla reżimu. Większość północnokoreańskich ambasad prowadzi na boku jakieś interesy, by zarobić na własne utrzymanie. Jak wynika z raportów ONZ i wypowiedzi byłych funkcjonariuszy wywiadu, niektóre z tych przedsięwzięć są nielegalne. Dyplomaci dorabiają, handlując narkotykami i bronią. Korzystając z immunitetu dyplomatycznego, przemycają bez cła produkty, które potem sprze-

dają z zyskiem. W 2015 roku jeden z funkcjonariuszy został wydalony z Republiki Południowej Afryki za próbę przemycenia do Mozambiku rogów nosorożca. Rok później w Bangladeszu zatrzymano innego dyplomatę, który próbował przeszmuglować ponad milion sztuk papierosów.

Panel ekspertów ONZ monitorujący próby omijania sankcji przez Koreę Północną odkrył, że handluje ona bronią z Syrią, przemyca złoto i gotówkę między Iranem a Dubajem i prowadzi wiele innych tego rodzaju aktywności, głównie w Europie i Afryce. Nie zawsze są one bardzo zyskowne ani szczególnie prestiżowe. Ambasada w Indiach sprzedawała po kryjomu wołowinę – w tym celu urządziła w piwnicy rzeźnię. W 1976 roku norweska policja odkryła, że każdy pracownik północnokoreańskiej ambasady sprowadzał i nielegalnie sprzedawał wielkie ilości alkoholu i papierosów.

W Polsce ambasada Korei Północnej zarejestrowała czterdzieści spółek, między innymi klub żeglarski, agencje reklamowe i firmę farmaceutyczną. Do Korei Północnej należą również często wynajmowane bułgarskie studio fotograficzne w Sofii oraz tamtejsze reality show.

W lutym 2021 roku były północnokoreański dyplomata opowiadał w CNN, że poza dyplomatami każda ambasada ma „pracowników działu gospodarczego”, którzy mogą wrócić do domu dopiero wtedy, gdy zarobią dla państwa z góry wyznaczoną sumę pieniędzy. W niektórych krajach, na przykład w Kuwejcie, północnokoreańska placówka dyplomatyczna wynajmuje firmom budowlanym tysiące nisko wykwalifikowanych robotników. Ich zarobki trafiają oczywiście do państwowej kasy. Jest to w istocie praca niewolnicza. W 2017 roku proceder ten został w znacznej mierze ukrócony (poza Rosją i Chinami), po tym jak ONZ, w reakcji na serię testów rakietowych i nuklearnych przeprowadzonych przez Koreę Północną,

potępiła państwa członkowskie za korzystanie z pracy tamtejszych robotników.

Informacje na temat tych pokątnych biznesów są bardzo cenne, ponieważ można dzięki nim zatrzymać strumień płynących do Pjongjangu zagranicznych walut. Był to czuły punkt reżimu, który Adrian i Cheollima zamierzali wykorzystać w ambitnych planach wywołania rewolucji w Korei Północnej.

Kiedy Adrian i jego koledzy dowiedzieli się, że Jo planuje ucieczkę, zaczęli badać budynek ambasady Korei Północnej w Rzymie. Jest on położony przy spokojnej uliczce w dzielnicy EUR, części miasta, którą Benito Mussolini wybrał na miejsce wystawy światowej w 1942 roku. Tuż obok znajduje się ambasada Bangladeszu, naprzeciwko wielki stadion PalaLottomatica, gdzie w czasie olimpiady w 1960 roku odbywały się mecze koszykówki.

Gdyby nie mała metalowa tabliczka z napisem „Ambasada Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej", budynek ukryty za furtką i wyrastającymi ponad mur bujnymi krzewami można by wziąć za starą prywatną rezydencję. Idąc stąd na północ, można w dwadzieścia minut dojść do Palazzo della Civiltà Italiana, nazywanego potocznie Kwadratowym Koloseum, ponieważ zbudowany jest z podobnych łuków co słynny rzymski zabytek, ale ma kształt sześcianu. Powstał dla uczczenia faszystowskiego reżimu Mussoliniego.

Mimo wrogości między Koreą Północną a Zachodem Włochy utrzymywały z nią od lat dość ciepłe relacje. W roku 2000, jako pierwszy kraj z grupy G7, nawiązały z nią stosunki dyplomatyczne, a następnie podtrzymywały wzajemne kontakty, unikając jednak rozgłosu. Włoskie władze pozwoliły jej na zaprezentowanie kosmetyków z żeń-szeniem na wystawie światowej w Mediolanie w 2015 roku. W 2010 roku włoscy uczeni

wyjechali do Korei Północnej, by badać własności wulkaniczne góry Pektu, zajmującej poczesne miejsce w tamtejszych legendach i baśniach.

Kilku znaczących włoskich polityków popierało współpracę Włoch z Koreą Północną, na przykład były senator Antonio Razzi czy poseł Osvaldo Napoli, który został przewodniczącym komisji mającej działać na rzecz jej pogłębienia. Właśnie z takimi ludźmi Jo spotykał się najczęściej podczas pobytu w Rzymie.

Włoscy przedsiębiorcy i politycy, którzy poznali Jo, zapewniali później, że nie zauważyli u niego żadnych oznak nielojalności wobec własnego rządu. Razzi drażnił się z nim czasem delikatnie, żartując sobie na przykład, że Kim Ir Sen uśmiechał się częściej niż Kim Dzong Il, ale Jo niemal odruchowo występował w obronie przywódców reżimu.

15 sierpnia Jo zaprosił ponad dwudziestu włoskich komunistów, polityków i przedsiębiorców na przyjęcie z okazji północnokoreańskiego Dnia Niepodległości. Goście wchodzący do ambasady rozglądali się po wnętrzu. Różniło się od wszystkiego, co widywali u siebie w kraju. Było smutne – w wielkiej sali stały tylko najbardziej podstawowe meble. Ściany były niemal gołe, pomijając kilka smętnych północnokoreańskich pejzaży i obowiązkowe ikoniczne portrety Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila.

Pracownicy ambasady wystawili na stół maleńkie porcje włoskich i koreańskich potraw oraz wyszczerbione kieliszki, do których nalewali wino – w ilościach, które zmieściłyby się w naparstku.

Jo wspomniał o swoim zbliżającym się powrocie do kraju i powiedział, że zamierza odbyć jeszcze jedną podróż po Włoszech, żeby przed odjazdem odwiedzić ludzi, których tu poznał.

Jak wynika z opublikowanych po jakimś czasie protokołów hiszpańskiego sądu, miesiąc później Adrian, Christopher Ahn i Sam Ryu – młodszy kolega Adriana z liceum w San Diego – wybrali się do Włoch na rekonesans. Jeden z działaczy Cheollimy twierdzi, że poza akcją w Rzymie planowali operacje w Pradze i Kuala Lumpur.

Przylecieli do Wenecji, gdzie założyli tymczasową bazę w skromnym hotelu Annia Park niedaleko lotniska. Każdego dnia przewija się przez nie wielu turystów z całego świata, jest to więc miejsce bardzo kosmopolityczne. Z aparatem na szyi i przypiętą do paska nerką można tu bez trudu zniknąć w tłumie.

Adrian pytał wcześniej Ahna, czy chciałby zostać szefem samodzielnej grupy Cheollimy i wybierać sobie zadania. Ahn stanowczo odmówił.

– Muszę zajmować się firmą, żeby utrzymać rodzinę – powiedział.

Był zawalony pracą, ponieważ otwierał właśnie biznes, który miał zaopatrywać restauracje i kawiarnie w specjalne składniki do drinków i inne produkty. Oferował między innymi olej konopny, który można dodawać do kawy latte i smoothie. Gdy pod jego drzwiami ustawiła się kolejka inwestorów, nie miał już czasu na pracę społeczną dla Cheollimy.

Ale nie potrafił odciąć się od Adriana. Godził się jednak na uczestnictwo tylko w tych akcjach, w których przydawała się jego empatia. Niezależnie od tego, jak bardzo był zajęty, wciąż pragnął być częścią ruchu „podejmującego działania w skali mikro, by osiągać efekty w skali makro". Nie chciał mieć nic wspólnego z bezpośrednią walką. „To do mnie nie pasuje" – powiedział później.

Adrian zabierał go na spotkania z osobami szykującymi się do ucieczki, które zdawały sobie sprawę, że kontaktując się

z członkami Cheollimy, ryzykują życie. Ahn miał na nich działać uspokajająco. „Jestem tutaj, by zapewnić was, że jeśli się zdecydujecie, pomożemy wam” – mówił po koreańsku. Uważał, że lepiej nadaje się do takich rzeczy: do dodawania ludziom odwagi, ale bez wywierania presji; mieli poczuć się na tyle bezpiecznie, by zrobić pierwszy krok.

Może się to wydawać dziwne, ale członkowie Cheollimy wyruszający na akcję zwykle nie znali wszystkich jej szczegółów. Stawiali się jednak na miejscu, ponieważ mieli do Adriana pełne zaufanie. Ahn poznał plan działania dopiero kilka godzin po przylocie do Włoch. Chodziło o bezpieczeństwo. Cała aktywność grupy była prowadzona przy założeniu, że za jej członkami będą podążać północnokoreańscy hakerzy próbujący ustalić, z kim ci się kontaktują. Tajemnicze kody oraz ciągi liczb publikowane na stronie Cheollimy służyły do przekazywania informacji jej działaczom, tak by nie trzeba było dzwonić ani pisać do każdego z osobna.

Żeby ułatwić zbieranie informacji, Adrian załatwił dla siebie fałszywy włoski dowód tożsamości na nazwisko Matthew Chao i zarejestrował w Dubaju fikcyjną firmę Baron Stone Capital, w imieniu której korespondował mejlowo z ambasadami i biznesmenami powiązanymi z Koreą Północną. Przez kilka lat Matthew Chao odwiedzał jej ambasady w Europie i Azji. Czasem ich pracownicy nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, czasem jednak byli to ludzie, którzy – tak jak Jo Seong-gil – skontaktowali się z Cheollimą w sprawie ucieczki.

Był rześki listopadowy poranek. Tego dnia Jo i jego rodzina mieli opuścić ambasadę. Miał im pomagać kilkuosobowy zespół sympatyków Cheollimy składający się z ludzi, których Adrian pozyskał dla sprawy na różnych etapach swojej działalności. Niektórzy z nich sami uciekli z Korei Północnej i czuli się zobowiązani do pomocy. Inni pochodzili z Korei Południowej – reprezentowali garstkę tamtejszych działaczy, dla których obecna sytuacja stawała się nieznośna.

Jak opowiadał potem funkcjonariusz jednej z zachodnich agencji wywiadowczych, który znał przebieg ucieczki, członko-

wie zespołu przyjechali dwoma samochodami. Zaparkowali je sto metrów od wyjścia z ambasady i czekali z włączonymi silnikami.

Furtka otworzyła się i Jo wyszedł z żoną na ulicę. Przez chwilę bał się, że nikt nie będzie na nich czekał, ale wkrótce zobaczyli jeden z samochodów i wsiedli do niego.

– Jedź, proszę. Po prostu jedź – powiedział do kierowcy Jo.

Auto popędziło na autostradę i później w stronę Wenecji, ale Jo i jego żona wyglądali na wystraszonych i smutnych.

Dopiero po jakimś czasie, gdy trochę się uspokoili i byli w stanie mówić, wyjaśnili, że nie udało się im zabrać ze sobą siedemnastoletniej córki. Dziewczyna miała niezdiagnozowane problemy psychiczne, związane prawdopodobnie z autyzmem, i często trudno było się z nią porozumieć. Tym razem nie było jednak chwili do stracenia i trzeba było podjąć decyzję w ułamku sekundy. Wyszli bez niej. Żona Jo była zrozpaczona.

O roli, jaką tej w ucieczce odegrała Cheollima, ja i moi koledzy pisaliśmy w „The Wall Street Journal” w kwietniu 2020 roku, cytując osoby znające jej przebieg. Jo dotarł w końcu do Korei Południowej. Oświadczył wtedy, że nie miał żadnych kontaktów z Cheollimą i że on i jego żona (z którą niedługo później się rozwiódł) uciekli bez niczyjej pomocy.

Antonio Razzi, były włoski senator, który został zaproszony wraz z innymi gośćmi na sierpniowe obchody Dnia Niepodległości Korei Północnej, zamierzał spotkać się z Jo przed końcem jego kadencji. Po przyjęciu umówili się na 20 listopada na pożegnalny obiad w trattorii Lagana niedaleko Palazzo Madama, piętnastowiecznego gmachu będącego siedzibą włoskiego senatu.

Zamiast Jo na spotkanie przybył jedynie pan Pak w towarzystwie starszego ponurego mężczyzny, który nie mówił po włosku. Przedstawił go jako tymczasowego ambasadora. Rozmowa była raczej oziębła.

Dopiero kilka dni później wśród włoskich polityków zaczęła krążyć wiadomość o ucieczce północnokoreańskiego dyplomaty.

13 Wyjeżdżam na chwilę

> Niepisana etyka zawodowa iluzjonistów zabrania im ujawniania własnych sekretów.
>
> David Copperfield

Los Angeles, styczeń 2019

Gdy Sam Ryu pojawił się na swoim pożegnalnym obiedzie w centrum Los Angeles, tryskał energią. Jego dwaj przyjaciele mieli mnóstwo pytań w sprawie nowego przedsięwzięcia, które planował: Co to w ogóle będzie? Gdzie zamierza to robić? Z kim będzie pracował?

Ryu nie ujawniał jednak żadnych szczegółów. Zachowywał się jak zawodowy szpieg, taki jednak, który ożywienie związane z nową misją ma wypisane na twarzy. Dla jego przyjaciół było to tym bardziej niezwykłe, że do tej pory całe życie Ryu było raczej nudne.

Po ukończeniu Uniwersytetu Południowej Kalifornii wskoczył na najniższy szczebel hollywoodzkiej drabiny – zaczął pracować jako nisko opłacany asystent w Traveling Picture Show Company w Los Angeles. Jej biura mieściły się w nowoczesnym lofcie niedaleko Alei Gwiazd.

Awansował na kierownika produkcji, a trzy lata później był już producentem w Portal A, firmie nastawionej na tworzenie materiałów wideo publikowanych w mediach społecznościowych. Jeden z jej byłych pracowników wspominał, że robiło się tam często rzeczy wyjątkowo głupie, bo związane z rozkwitem rynku internetowych influencerów.

Ryu wiele się w tym czasie nauczył. Wiedział, jak zarządzać planem filmowym i jak kręcić krótkie filmy dokumentalne. Kiedy oświadczył kolegom, że sprzedaje cały swój majątek i wyprowadza się z mieszkania, by poświęcić się tajemniczemu projektowi, wciąż był daleki od wejścia do hollywoodzkiej pierwszej ligi. Mówił tylko tyle, że chodzi o film dokumentalny, o projekt ryzykowny i wymagający jeżdżenia po świecie, który jednak ma szansę odmienić na lepsze życie wielu ludzi. Zapowiedział kolegom, że przez większą część roku będzie prawdopodobnie w podróży.

Nie powiedział za to ani przyjaciołom, ani współpracownikom, że jego nowym szefem i głównym fundatorem projektu będzie Adrian Hong, wojujący obrońca praw człowieka w Korei Północnej i szef podziemnej organizacji mającej na celu obalenie Kima. Film ukazujący między innymi wywiady z funkcjonariuszami, którzy zdradzili system i uciekli, miał trafić do ambasad Korei Północnej jako jeden z elementów planu zakwestionowania wszechwładzy i wszechwiedzy reżimu. Adrian i Ryu mieli nadzieję, że ujawniając prawdę o Korei Północnej w języku zrozumiałym dla jej mieszkańców, osłabią władzę Kim Dzong Una. To miało być coś zupełnie innego od informacyjnej papki dostarczanej uzależnionym od YouTube'a nastolatkom.

Adrian i Ryu znali się od dawna – mimo że było między nimi sześć lat różnicy, spotkali się już w Chula Vista, gdzie uczyli się w tym samym liceum. Ryu, wciąż chłopięcy i dobrze ułożony, został jednym z najwierniejszych sojuszników Adriana. Dzięki swoim umiejętnościom mógł przydać się jako autor materiałów wideo promujących jego organizację, ale dla Adriana ważniejsze było to, że miał w nim towarzysza gotowego – jeśli zajdzie taka potrzeba – wsiąść w pierwszy samolot, by uczestniczyć w misji.

Rok 2019 zapowiadał się świetnie dla Cheollimy. Dwa dni przed pożegnalnym obiadem Ryu na jej stronie pojawiła się zapowiedź: „To jest rok, w którym wszystko się zmieni". Wciąż napływały wiadomości od rozważających dezercję północnokoreańskich urzędników, a zainteresowanie organizacją rosło. Utrzymywała ona kontakt z sześcioma osobami będącymi na różnych etapach przygotowań do ucieczki – wszystkie przebywały poza granicami kraju. Od czasu wywiezienia na Zachód Kim Han-sola do Cheollimy napływały prośby o wywiad z jej przedstawicielami.

Jednym z pierwszych dziennikarzy, który się z nią skontaktował, był Alastair Gale z „The Wall Street Journal". Adrian odpowiedział na jego pytania w mejlu. Gale nigdy jednak nie poznał nazwisk żadnych członków organizacji, którą opisał jako „grupę północnokoreańskich dysydentów".

W mejlu do Gale'a Adrian narzekał, że podczas ewakuacji Kim Han-sola Cheollima spotkała się z odmową kilku państw – wymienił Kanadę – do których zwróciła się o pomoc. Gdy nikt nie chciał nic zrobić, organizacja pojawiła się, „by zapewnić ochronę tak potrzebną znajdującym się w niebezpieczeństwie obywatelom Korei Północnej".

W swoim artykule Gale przedstawił organizację w dobrym świetle, zamieścił w nim rozmowy z anonimowymi uciekinierami, obrońcami praw człowieka i dyplomatami, którzy potwierdzili, że ma ona dobre kontakty, działa szybko i że brała udział w wielu udanych akcjach ratunkowych.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Ryu żegnał się z przyjaciółmi, Adrian podróżował po Bliskim Wschodzie i Azji w sprawie nowego projektu. Miał nadzieję, że w końcu uda mu się zarobić dość pieniędzy, by zapewnić Cheollimie należyte finansowanie i wypłacać wynagrodzenia wolontariuszom. Latem 2018 roku razem z Usamą Abu Szakurem, dawnym kolegą

z czasów wojny domowej w Libii, założyli firmę Qwik.ly, która miała się stać globalną siecią wynajmu hulajnóg elektrycznych. Swoją działalność rozpoczęła w Dubaju, mieście otwartym na nowatorskie rozwiązania w dziedzinie transportu. W styczniu Adrian był w Singapurze, by porozmawiać z potencjalnymi partnerami.

Firma pojawiła się na Twitterze w lipcu 2018 roku jako @moveqwikly. Latem i jesienią realizowała pilotażowy projekt pod Dubajem. Mieszkańcy położonego na południowym końcu miasta osiedla Jumeirah Beach Residence mogli korzystać z rowerów elektrycznych Trikke i jeździć nimi po całej promenadzie. Na swojej stronie internetowej firma ogłosiła z dumą, że tworzy „pierwszą platformę mikrotransportu bez stacji dokujących na Bliskim Wschodzie, w północnej Afryce, Azji i Europie”.

W przedsięwzięciu uczestniczyli również Sam Ryu i Christopher Ahn. Adrian chciał zaangażować zaufanych przyjaciół, którzy pomagali mu w akcjach przeciwko Korei Północnej. Był bowiem przekonany, że biznes i praca społeczna nie wykluczają się, lecz przeciwnie – mogą się wzajemnie wspierać. Qwi k.ly zdobyła fundusze na rozpoczęcie działalności i miała obiecane kolejne środki, dzięki którym mogłaby poszerzyć działalność w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i zająć dominującą pozycję wśród firm wypożyczających hulajnogi elektryczne.

Adrian wierzył, że firma ma przed sobą wspaniałą przyszłość. Liczył na to, że dzięki zarabianym przez nią milionom Cheollima zacznie działać na skalę, która do tej pory była dla niej nieosiągalna.

7 lutego elegancko ubrany Adrian wysiadł z Ubera przed otoczoną czerwonym murem ambasadą Korei Północnej w Ma-

drycie. Sam Ryu, jego zaufany zastępca, został w hotelu Eurostars Zarzuela Park przy tej samej ulicy.

Adrian nacisnął dzwonek przy drzwiach. Młody człowiek, który ostrożnie je otworzył, przyglądał mu się uważnie.

– Matthew Chao z Baron Stone Capital – przedstawił się Adrian, ściskając jego dłoń.

Wyjaśnił, że chciałby porozmawiać z attaché handlowym o pewnej propozycji biznesowej.

Kilka minut później mężczyzna wrócił z Seo Yun-sukiem. Adrian i Seo odbyli w drzwiach krótką rozmowę. Nigdy nie ujawniono jej treści.

Przed odejściem Adrian wręczył dyplomacie wizytówkę firmy Baron Stone ze swoim aktualnym numerem komórkowym.

To najkrótsze z możliwych spotkań było wstępem do wydarzenia, które miało doniosły wpływ na losy Seo i przyszłość Cheollimy.

Cała historia zaczęła się kilka miesięcy wcześniej, w czerwcu 2018 roku, gdy na adres organizacji CCDprotection@protonmail.com przyszła wiadomość od kogoś, kto przedstawił się jako przebywający w Europie północnokoreański dyplomata. Po ostrożnej wymianie wiadomości człowiek ten zgodził się ujawnić swoje nazwisko i miejsce pobytu.

Strona Cheollimy została zaprojektowana tak, by przyciągać ludzi takich jak Seo. Organizacja obiecywała ochronę, niczego w zamian nie oczekując.

W napisanym po koreańsku liście „wysokiej rangi dyplomata” zaczął od opisu przerażenia, jakie czują dyplomaci wysyłani do innych krajów. „Gdy mieszkaniec Korei Północnej wyjeżdża za granicę, pierwsze, co przychodzi mu do głowy, to ucieczka”. Opowiedział o poczuciu uwięzienia i strachu przed odesłaniem do Pjongjangu. Cheollimę nazwał później „latarnią wskazującą drogę na wzburzonym morzu”.

> Szczerze mówiąc, przy pierwszym kontakcie miałem wiele wątpliwości. Byliście jak tajemniczy, rozmyty cień. Znaliście mój prywatny numer komórkowy, mieliście do dyspozycji luksusowy samochód i samolot, wasze zaangażowanie i przygotowanie były zadziwiające [...] Dokonaliście cudu – dzięki waszej dobroci wizja ucieczki, która dręczyłaby mnie pewnie do końca życia w koszmarnych snach, w ciągu kilku godzin stała się czymś realnym.

Ostatnie słowa listu brzmią tak, jakby dyplomata kierował je wprost do Adriana: „Tylko ty możesz podkraść się do nich jak cień i tylko ty potrafisz spełniać marzenia”.

Ryu i trzech innych działaczy Cheollimy przylecieli z Korei Południowej do Madrytu niedługo po otrzymaniu pierwszej wiadomości od Seo. Zatrzymali się w hotelu Eurostars Zarzuela Park, żeby rozejrzeć się po okolicy i zrobić z ukrycia zdjęcia ambasady.

Ważną częścią rekonesansu było obmyślenie, jak sprytnie wykorzystać najbliższe otoczenie ambasady podczas ewakuacji. Jak powinni działać, by nie wzbudzić podejrzeń? Jak się zachowywać, by wszystko wyglądało naturalnie?

Wszyscy czterej działacze byli Koreańczykami, dzięki czemu większość przechodniów mogła uznać ich za turystów, ale gdyby zaczęli robić coś dziwnego, tym szybciej zwróciliby na siebie uwagę. Ambasada znajdowała się w bogatej dzielnicy Aravaca, gdzie mieszkało kilku byłych hiszpańskich prezydentów. Tutaj rzadko widywało się turystów.

W lutym Adrian umówił się z Seo, że pojawi się osobiście w ambasadzie, by uwiarygodnić swoją ofertę i potwierdzić, że operacja została rozpoczęta. Pojawienie się „Matthew Chao” miało być dowodem, że Cheollima naprawdę istnieje i jest gotowa ratować Seo i jego rodzinę.

Adrian musiał uwzględnić w swoich planach różne warianty przebiegu operacji. Najważniejsze było oczywiście uwolnie-

nie Seo, jego żony i syna, ale istniały też inne możliwości. Jedną z nich wskazał sam dyplomata – niewykluczone, że do ucieczki dołączą wszyscy pracownicy ambasady. Adrianowi spodobała się ta myśl. W budynku przebywało jeszcze jedno małżeństwo i dwóch samotnych mężczyzn, czyli w sumie siedem osób.

Nie wiadomo, czy Adrian o tym zapomniał, czy też Seo nie podał mu właściwej liczby, ale członkowie Cheollimy planowali całą akcję w przeświadczeniu, że poza rodziną Seo w ambasadzie zastaną tylko trzy osoby. Po tym, czego się o nich dowiedział, miał nadzieję, że one również dadzą się namówić do ucieczki.

Jednoczesna dezercja całego personelu, choć niepewna, umożliwiłaby Adrianowi spełnienie dawnego marzenia o utworzeniu zbuntowanej ambasady, która stałaby się siedzibą organizowanej przez niego antykimowskiej opozycji.

„Myśleliśmy, że można by wtedy nadać całej akcji zupełnie nowy wymiar – opowiadał później przyjacielowi. – Moglibyśmy oświadczyć, że jest to pierwsza ambasada nowej republiki i centrum organizacyjne ruchu oporu”.

Dla Adriana rekonesans w Hiszpanii był również okazją do nawiązania kontaktu z jednym z najbardziej osobliwych europejskich zwolenników Korei Północnej, Hiszpanem Alejandro Cao de Benósem.

Cao de Benós jest najgłośniejszym przedstawicielem dziwnej społeczności ludzi, których można określić jako wielbicieli Korei Północnej – ale takich, u których ta fascynacja przybiera złowrogie oblicze. Jego zainteresowanie dyktatorami nie jest przypadkowe – wywodzi się on bowiem z niegdyś potężnej arystokratycznej rodziny o sympatiach faszystowskich. Jej

członkowie stracili wprawdzie majątki, lecz zachowali przekonanie o własnej wyższości.

Alejandro Cao de Benós był dobrze zapowiadającym się socjalistą, który jednak jako nastolatek został skażony mitem wspaniałej Korei Północnej. Zdołał zaoszczędzić dość pieniędzy, by w wieku szesnastu lat polecieć do Pjongjangu i – jak opowiadał później dziennikarzowi „Bloomberg Businessweek” – odkryć „bardzo czysty kraj zamieszkały przez bardzo miłych ludzi”.

Wizyta ta zainspirowała go do założenia Towarzystwa Przyjaźni Koreańskiej. W latach dziewięćdziesiątych przewodniczył spotkaniom nielicznych członków, na co dzień zaś zajmował się informatyką, dzięki czemu mógł stworzyć pierwszą oficjalną stronę Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej pod adresem korea-dpr.com. Przez wiele lat była to jedyna taka strona – aż do czasu, gdy północnokoreańskie władze zaczęły w 2012 roku same tworzyć swoje witryny.

Kiedy jego pracodawca spytał, dlaczego to robi, Cao de Benós wyjaśnił – jak podaje „Bloomberg Businessweek” – że to coś w rodzaju hobby. „Kiedy wracam do domu, zamiast grać w piłkę czy gry komputerowe, pracuję dla Korei Północnej – powiedział. – Robię to od siódmej, ósmej wieczorem do drugiej lub trzeciej w nocy. Taką mam pasję”.

Na trzy dni przed wizytą Adriana w ambasadzie Cao de Benós odebrał mejla od Eleny Sanchez, która przedstawiła się jako zastępczyni dyrektora zarejestrowanej w Dubaju firmy Baron Stone Capital. Sanchez pisała, że jej szef Matthew Chao ma pięćdziesiąt milionów dolarów, które chce zainwestować w „infrastrukturę, górnictwo i energetykę” w Korei Północnej, Mongolii i Mjanmie.

Wyjaśniła, że Chao za chwilę będzie w Madrycie, więc zwraca się o pomoc w nawiązaniu kontaktu z ambasadą. Cao de Be-

nós był nieufny. Taka niespodziewana prośba mogła być zagraniem jakiegoś wywiadu próbującego wykorzystać go do wydobycia informacji. Postanowił więc wstrzymać się z działaniem, dopóki nie dowie się czegoś więcej o tym przedsięwzięciu. Sanchez nieco bezczelnie zaproponowała mu na osłodę, że jeśli pomoże w kontakcie, Baron Stone zatrudni go jako konsultanta.

Cao de Benós powiedział dziennikarzowi „Bloomberg Businessweek", że przekazał prośbę ambasadzie, ale nie namawiał dyplomatów do spotkania.

Hiszpan mógł okazać się bardzo przydatny dla Cheollimy. Gdyby to on wprowadził Adriana do ambasady, nikt nie mógłby o to winić samego dyplomaty. Adrian chciał się przy okazji przekonać, czy jest on nieszkodliwym dziwakiem, czy też faktycznie ma dostęp do wysoko postawionych przedstawicieli reżimu i tajnych informacji.

Cao de Benós, który budził coraz większe zainteresowanie biznesmenów z różnych krajów, jeździł z nimi na spotkania do Korei Północnej. Oddziały Towarzystwa Przyjaźni Koreańskiej powstały w ponad stu krajach, przyciągając zbuntowanych socjalistów, odmieńców i innych ekscentryków, którzy spotykali się przy kawie i tanich ciasteczkach, by składać deklaracje poparcia dla Korei Północnej i dyskutować o jej ideologii.

Tamtejsze władze doceniły zapał Cao de Benósa i uhonorowały go, nadając mu koreańskie imię Jo Seon-il, co znaczy „Korea jest jednym krajem".

Jednym z jego ostatnich dokonań była organizacja pierwszej północnokoreańskiej konferencji poświęconej kryptowalutom. Zainteresowanie reżimu tymi alternatywnymi formami pieniądza nie powinno dziwić. Objęty sankcjami i wykluczony z globalnego systemu finansowego kraj zobaczył w kryptowalutach swoją wielką szansę. Tamtejsi hakerzy od lat zajmowali się wy-

łudzaniem ich od ludzi i włamywali się do ich komputerów, by kraść bitcoiny.

Amerykańscy prokuratorzy oskarżyli później specjalistę od kryptowalut Virgila Griffitha, który uczestniczył w tej konferencji, o naruszenie sankcji wobec Korei Północnej. Griffith początkowo odpierał zarzuty, ale ostatecznie, we wrześniu 2021 roku, przyznał się do winy. Obecnie odsiaduje wyrok pięciu lat pozbawienia wolności. W kwietniu 2021 roku Stany Zjednoczone oskarżyły Cao de Benósa o to, że razem z Griffithem i innym programistą pomagał Korei Północnej w omijaniu sankcji.

Pochodzący z Tarragony Cao de Benós założył w tym mieście bar Pyongyang Cafe serwujący koreańskie potrawy, piwo i kawę, ale jednocześnie służący za siedzibę komórki założycielskiej Towarzystwa Przyjaźni Koreańskiej. Tam właśnie spędzał większość czasu, chyba że akurat zakładał mundur ozdobiony orderami i złotym naszywkami na klapach i zaprzeczał, by w Korei Północnej rozstrzeliwano ludzi i naruszano prawa człowieka.

W 2018 roku, podczas pobytu w strefie zdemilitaryzowanej, udzielił wywiadu, w którym sprzeciwiał się obecności Amerykanów w Korei Południowej i obiecywał, że sam chwyci za broń, „żeby ich stamtąd wyprzeć”. Niedługo później policjanci przeprowadzający rewizję w jego domu znaleźli dwa pistolety. Wprawdzie nadawały się one tylko do strzelania gumowymi kulami, ale trzeba było mieć pozwolenie na ich posiadanie. Do czasu rozstrzygnięcia sprawy sądowej władze odebrały mu paszport.

Tyle tylko można by było powiedzieć o tej dziwacznej, nieco odpychającej postaci, gdyby nie niezwykły film dokumentalny *Kret w Korei*. Duński reżyser Mads Brügger pokazuje w nim hi-

storię Ulricha Larsena, byłego szefa kuchni, który infiltruje kopenhaski oddział Towarzystwa Przyjaźni Koreańskiej.

W ciągu dziesięciu lat przedstawionych w filmie Larsen wniknął do tej społeczności i stał się bliskim towarzyszem Cao de Benósa. Przez cały ten czas po kryjomu nagrywał spotkania. W pewnym momencie Brügger zaangażował do przedsięwzięcia fikcyjną postać inwestora – pana Jamesa. Chciał się przekonać, jak daleko uda się im zagłębić w północnokoreańską rzeczywistość. Larsen i pan James podpisali z przedstawicielami Korei Północnej umowę w sprawie produkcji narkotyków i broni. Później spotkali się w Ugandzie, by omówić kupno wyspy, na której miałby zostać zbudowany luksusowy hotel będący przykrywką dla fabryki produkującej narkotyki i broń.

Przez cały ten czas większość kontaktów i spotkań organizował Cao de Benós, który przechwalał się wielkimi wpływami w Korei Północnej. Później, gdy film został opublikowany, tłumaczył, że tylko „w nim grał" i że jego wymowa jest efektem „inscenizacji, braku obiektywizmu i manipulacji (*sic*)".

W jednej ze scen filmu Larsen odwiedza ambasadę Korei Północnej w Sztokholmie, gdzie dyplomata przedstawiony jako pan Ri wręcza mu kopertę z planami ugandyjskiej fabryki broni, mówiąc:

– Jeśli coś się stanie, nasza ambasada nic na ten temat nie wie. Rozumiemy się?

Im więcej tego rodzaju interesów prowadził Cao de Benós, tym bardziej interesujący stawał się dla Adriana. Dla Cheollimy mógł się okazać źródłem cennych informacji albo nieświadomym niczego pośrednikiem w nawiązywaniu kontaktów z funkcjonariuszami reżimu w Europie i na innych kontynentach.

Poprzedni ambasador Korei Północnej w Hiszpanii był człowiekiem, którego łatwo byłoby wmanewrować w podobny skandal. Cieszył się pełnym zaufaniem swoich władz i zajmował ważną pozycję w Europie. Amerykańskie i europejskie agencje wywiadowcze od dawna podejrzewały, że Madryt jest ważnym ośrodkiem kryminalno-dyplomatycznej aktywności północnokoreańskich służb.

Kim Hyok-chol spędził znaczną część swojej dyplomatycznej kariery w Etiopii i Sudanie Południowym. Do Madrytu przybył w październiku 2013 roku, by otworzyć tam pierwszą ambasadę Korei Północnej w Hiszpanii. Wcześniej uczestniczył w prowadzonych podczas prezydentury George'a Busha rozmowach sześciostronnych.

Na stanowisku pozostał do chwili, gdy po próbie nuklearnej przeprowadzonej przez Koreę Północną w Punggye 3 września 2017 roku Hiszpania uznała go za *persona non grata*. Próbna eksplozja, największa ze wszystkich dotychczasowych, spowodowała wstrząs sejsmiczny o sile 6,3 stopnia w skali Richtera – była więc ponad sześć razy potężniejsza niż wybuch bomby zrzuconej w 1945 roku na Hiroszimę.

Wydalenie z Hiszpanii wzmocniło jedynie jego pozycję polityczną w Korei Północnej. Gdy Adrian szykował się do swojej misji rozpoznawczej w Madrycie w lutym 2019 roku, Kim Hyok-chol był już najwyższym rangą przedstawicielem reżimu w zespole wyznaczonym do rozmów z ekipą Donalda Trumpa zaplanowanych na 27 i 28 lutego w Hanoi.

Szefem zespołu amerykańskiego był Stephen Biegun, polityczny karierowicz, wcześniej pracujący na wysokim stanowisku w Ford Motor Company, w sierpniu 2018 roku mianowany przez Trumpa specjalnym przedstawicielem do spraw Korei Północnej. Jako ekspert od Rosji doradzał Sarah Palin w spra-

wie polityki zagranicznej podczas wyborów prezydenckich w 2008 roku.

Podczas przemówienia w Stanfordzie 31 stycznia 2019 roku Biegun zapewniał, że rozmowy Trumpa i Kima mogą zakończyć się sukcesem, ponieważ „żaden z tych przywódców nie jest skrępowany dotychczasowymi sposobami myślenia, zmuszającymi delegacje do powtarzania decyzji podejmowanych w przeszłości, czego jedynym efektem byłaby dokładnie taka sama porażka”.

Dalej opowiadał, że Stany Zjednoczone są „świetnie przygotowane do realizowania – jednocześnie z drugą stroną – wszystkich zobowiązań zadeklarowanych przez obu przywódców podczas ich wspólnego wystąpienia latem ubiegłego roku w Singapurze”.

Słowa te musiały zaalarmować polityków zwanych w Waszyngtonie „jastrzębiami”, takich jak John Bolton, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Donalda Trumpa. Bolton uważał, że Departament Stanu, dążąc za wszelką cenę do zawarcia umowy, osłabia pozycję amerykańskiego rządu. Później napisał w swojej autobiografii, że postanowił wtedy przekonać Trumpa, używając wszelkich możliwych argumentów, by nie dał się zwieść mirażowi porozumienia z Koreą Północną.

12 lutego w centrum dowodzenia Białego Domu urzędnicy Rady Bezpieczeństwa Narodowego wyświetlili prezydentowi film, w którym czterech poprzednich prezydentów ogłasza swoje sukcesy w negocjacjach z Koreą Północną. W kolejnych sekwencjach widać, co stało się później – a stało się tak, że nie wywiązała się ona z żadnych obietnic. W filmie znalazło się też nagranie z Ronaldem Reaganem tłumaczącym, że przy negocjowaniu umów najlepszą strategią bywa czasem nieustępliwość.

Przesłanie Boltona było jasne: nie można zaakceptować częściowej denuklearyzacji. Był on przekonany, że Korea Północna nigdy nie pozbędzie się broni atomowej, jeśli nie poczuje, iż jest to dla niej sprawa życia lub śmierci. Strategia polegająca na wymianie drobnych ustępstw mogła doprowadzić jedynie do tego, że sankcje zostaną złagodzone, a Korea Północna zachowa swój arsenał nuklearny.

Jesienią 2018 roku Adrian wysłał mi na Signalu wiadomość, że będzie przez chwilę w Londynie. Umówiliśmy się na kawę. Kontaktowaliśmy się ze sobą od czasu do czasu przez osiem lat, tym razem jednak wyczułem w jego zachowaniu coś nowego. Zawsze używał najlepszych aplikacji szyfrujących i bardzo dbał o to, by wysłane wiadomości były jak najszybciej kasowane – czasem tak szybko, że trudno było kontynuować rozmowę. Tym razem jednak jego paranoja i troska o procedury bezpieczeństwa nasiliły się jeszcze bardziej.

Spotkaliśmy się na stacji Paddington, szybko jednak znaleźliśmy tylne wejście do hotelu Mercure. Usiedliśmy przy stoliku w zacisznym kącie sali. Podczas poprzednich spotkań Adrian robił na mnie wrażenie przede wszystkim biznesmena, a dopiero w drugiej kolejności działacza walczącego o wyzwolenie Korei Północnej. Przychodził w garniturze, z krawatem na szyi i włosami starannie zaczesanymi do tyłu. Śmiejąc się, opowiadał, że jego koledzy zastanawiają się, czy nie pracuje dla CIA. (Kiedy ktoś mówi coś podobnego, można mieć pewność, że nie ma on żadnych związków z tą agencją). Wciąż jednak nie wiedziałem, co o nim sądzić – czy faktycznie robi coś poważnego, czy tylko ugania się za emocjonującymi przygodami. Wyglądał na człowieka zamożnego, ale dziś zdaję sobie sprawę, że odniosłem takie wrażenie tylko dlatego, że dobrze się ubierał i dużo podróżował po świecie.

Tym razem wyglądał całkiem inaczej. Miał długie włosy związane w kucyk i zaniedbaną brodę. Był ubrany raczej skromnie i miał ze sobą kilka telefonów, na które zerkał co chwila podczas spotkania, by wysyłać krótkie wiadomości. W jego zachowaniu pojawił się jednak jakiś nowy odcień pewności siebie – połączenie wiary we własne siły i satysfakcji z dostępu do tajemnic znanych tylko nielicznym. W pewnym momencie pokazał mi teczkę z dokumentami dotyczącymi firm działają-

cych w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, które Korea Północna wykorzystuje do przemycania pieniędzy i towarów. Przesunął ją w moją stronę, ale od razu cofnął. Gdy zapytałem, czy mógłbym opisać tę sprawę w „The Wall Street Journal", powiedział:

– Czasem lepiej obserwować pewnych ludzi, niż ich demaskować.

Jako dziennikarz byłem coraz bardziej rozczarowany jego zachowaniem. Zawsze był intrygujący i charyzmatyczny, ale od czasu gdy skontaktował się ze mną w Libii, ani razu nie pomógł mi w napisaniu artykułu. Większość moich kolegów po fachu dawno już zrezygnowałaby z takiego informatora. Lubiłem go jednak i cieszyły mnie nasze spotkania. Zawsze miał jakieś strzępy informacji w sprawach, nad którymi pracowałem. W Azji znał na przykład kogoś, kto wiedział sporo o Jho Lowie, głównym bohaterze malezyjskiej afery finansowej znanej jako skandal 1MDB. W Nowym Jorku z kolei miał kolegę dysponującego informacjami na temat innego wielkiego oszustwa.

Nawet jeśli czasem bywał męczący, było w nim coś fascynującego. Wciąż jednak zadawałem sobie pytanie, czy faktycznie robi coś ważnego – coś o znaczeniu być może globalnym – czy też tylko udaje.

Potem dopiero dowiedziałem się, że to, co Adrian pokazywał światu, było jedynie wierzchołkiem góry lodowej.

14 Anatomia fałszywego porwania

> Możesz osiągnąć wielkość tylko w takiej sprawie, dla której będziesz gotów się poświęcić.
>
> Maya Angelou

Madryt, luty 2019

Podczas długiego lotu z Los Angeles do Madrytu Chistopher Ahn myślał o firmie, którą założył właśnie w Kalifornii.

Nie powinien był się zgadzać na ten wyjazd. Był piątek, a w poniedziałek miał spotkanie z inwestorami. Musiał być przed nim wypoczęty i dobrze przygotowany. Po zakończeniu służby w amerykańskiej piechocie morskiej przez lata szukał swojego miejsca w życiu. Skończył studia w szkole biznesu, uczył się marketingu, podejmując słabo opłacane prace w tej branży, a teraz wreszcie stanął przed szansą na otwarcie firmy przynoszącej zyski. Był to moment niepewności, ale też wielkich nadziei. Jeśli pozyska kapitał, będzie gotów do zaopatrywania kawiarń w mieszanki oleju z konopi, służące jako dodatek do różnych produktów. Smoothie zawierające którąś z mieszanek mogło kosztować osiem, a nawet dziesięć dolarów.

Miał nadzieję, że dzięki większym dochodom będzie mógł zająć się rodziną. Chciał mieć dzieci. Jego żona Grace była Amerykanką koreańskiego pochodzenia i pracowała w Los Angeles jako nauczycielka. W lipcu 2017 roku namówił ją, by spędzili miesiąc miodowy w tym samym hostelu, w którym mieszkał, gdy Adrian wysłał go do Tajwanu na ratunek rodzinie Kim Han-sola.

Pomijając to, że miał mnóstwo pracy związanej z rozkręcaniem firmy, musiał dbać o złamany nadgarstek. Nosił wprawdzie ortezę, która trzymała go na miejscu, ale czuł ból za każdym razem, gdy podnosił walizkę. Znajomi przypuszczali, że świetnie zbudowany Ahn miał wypadek podczas treningu lub ciężkich prac remontowych w domu. Tymczasem on po prostu poślizgnął się w wannie.

Miesiąc wcześniej, gdy Adrian poprosił go pierwszy raz o wzięcie udziału w tajemniczej misji w Madrycie, wymienił klika powodów, dla których musi odmówić. Powiedział, że nie ma czasu, ale mijały kolejne tygodnie i ciekawość zaczęła brać górę, aż w końcu się zgodził. Dołączył do grupy jako ostatni, trzynasty członek.

Przeczuwał, że Adrian nalega tak bardzo na jego udział, ponieważ chodzi o operację poważniejszą od dotychczasowych działań Cheollimy. Z powodu obowiązujących w organizacji zasad tajności nie wiedział jednak, gdzie będą działać, kogo ratować, ile osób będzie liczył ich zespół i jak będzie przebiegać cała akcja. Sam Ahn był w dobrym nastroju: „Jeśli damy im choćby małego, drobnego kuksańca, który przyspieszy zmianę, będzie to coś wspaniałego".

Adrian Hong i Sam Ryu finalizowali właśnie plan wywiezienia z Madrytu najwyższego rangą północnokoreańskiego dyplomaty w tym mieście, Seo Yun-suka oraz jego rodziny, gdy 3 stycznia 2019 roku w Seulu doszło do wycieku informacji o ucieczce Jo Seong-gila, ambasadora Korei Północnej we Włoszech. Wiadomość ta dotarła do prasy z winy funkcjonariuszy wywiadu, którzy nie potrafili powściągnąć języka w rozmowach z tamtejszymi gazetami. Dziennikarze zwracali uwagę, że córka, którą uciekinierzy zostawili w ambasadzie, została odesłana do Pjongjangu, zanim włoskie władze zorientowały się, że jej rodzice wyjechali z kraju.

Włosi wyrazili zaniepokojenie losem dziewczynki. Niedługo później ambasada Korei Północnej w Rzymie wysłała list do Osvalda Napoliego, włoskiego posła, który znał Jo. Wyjaśniała w nim, że ucieczka dyplomaty była skutkiem „rodzinnej kłótni" między nim a jego żoną w sprawie właściwego radzenia sobie ze stanem psychicznym córki. Po tym gwałtownym sporze małżonkowie mieli wyjść z ambasady, świadomie pozostawiwszy w niej córkę, która poprosiła o odesłanie do Pjongjangu, by znaleźć się pod opieką dziadków.

Po tych wydarzeniach Cheollima zaczęła dbać o stwarzanie pozorów, by zminimalizować ryzyko, że członkowie rodzin uciekinierów zostaną uwięzieni lub zabici. Organizacja chciała zmylić północnokoreańskie służby do tego stopnia, by nie miały one pewności, czy uciekinierzy faktycznie uciekli.

Poczucie winy u tych, którzy wybrali wolność, nie zważając na to, że narażają na śmiertelne niebezpieczeństwo swoich bliskich, bywało wyniszczające i często kończyło się uzależnieniem, rozpadem małżeństwa lub depresją.

Byłoby wspaniale, gdyby udało się kogoś uratować, chroniąc go i jego rodzinę przed tego rodzaju konsekwencjami.

Ahn przyleciał do Madrytu tuż po ósmej rano. Od razu wyczuł, że tym razem chodzi o akcję inną od poprzednich. Kolega, który odebrał go z lotniska, zawiózł go do domu wynajętego na Airbnb, gdzie zebrali się już inni członkowie zespołu. Wziął szybki prysznic, po którym dostał śniadanie. Potem pojawił się Adrian, żeby przedstawić im plan.

– To będzie nasza największa jak do tej pory operacja – zapowiedział, po czym wyjaśnił, że tego dnia będą zajmować się północnokoreańską rodziną, która poprosiła o ich pomoc. Do rozpoczęcia akcji zostało kilka godzin.

Ahn miał wrażenie, że słucha czegoś w rodzaju pokrzepiającej mowy, jaką wygłasza się rano w Święto Dziękczynienia w jadłodajniach dla bezdomnych – podniosłe, idealistyczne zachęty poprzedzające dzień ciężkiej pracy wolontariuszy. Adrian tłumaczył, że ta operacja jest czymś, do czego organizacja od dawna się przygotowywała – czymś większym, co przyczyni się do odmiany losu mieszkańców Korei Północnej.

– Dziękuję wam, że bierzecie w tym udział – zwrócił się do zgromadzonych.

W zespole byli sami mężczyźni. Rozmawiając z nimi, Ahn dowiedział się, że niektórzy są w Madrycie od kilku dni. Już 10 lutego czterech członków Cheollimy przyleciało z Korei Południowej do Portugalii. Tam wynajęli taksówkę i po sześciu godzinach dotarli do Madrytu. Dzięki temu manewrowi nie było żadnych zapisów potwierdzających ich wjazd do Hiszpanii, ponieważ turyści z wizami Schengen mogą podróżować po Europie bez żadnych kontroli granicznych.

Na spotkaniu obecni byli Lee Woo-ran, lat dwadzieścia sześć, Lim Chang-su, dwadzieścia siedem, Park Si-young, dwadzieścia osiem, i Kim Dong-hyun, dwadzieścia osiem. I czterech innych facetów. Byli to ludzie, którzy, podobnie jak Ahn, brali od czasu do czasu udział w akcjach Cheollimy. Wszyscy mieli w Korei Południowej normalną pracę i normalne życie, ale w którymś momencie poznali Adriana i dali się porwać jego wizji dokonania czegoś ważnego.

W grupie był jeden Koreańczyk z Północy, Charles Ryu (Ryu Cheor-u), lat dwadzieścia siedem. Wielu ze zgromadzonych miało długie włosy związane z tyłu w mały kok oraz brody. Dzięki temu trudniej było ich zidentyfikować, a poza tym ten styl sygnalizował, że są *innymi* Koreańczykami. W Korei Północnej wszyscy mężczyźni mieli starannie przycięte krótkie fryzury. Długie włosy i brody były zabronione.

Sam Ryu przyleciał 13 lutego i zarezerwował do 25 lutego trzy dwuosobowe pokoje w Eurostars Zarzuela Park, spokojnym, otoczonym zielenią hotelu biznesowym. Wynajął również na Airbnb dom, w którym właśnie się spotkali. Położony na północno-zachodnich obrzeżach miasta hotel był doskonałą bazą dla niewielkiego zespołu, który miał działać w okolicy.

Adrian, jako najbardziej rozpoznawalny działacz Cheollimy, mógł wzbudzić zainteresowanie służb wywiadowczych, dlatego zamieszkał osobno w hotelu Carlton, by chronić anonimowość mniej znanych członków grupy. Potem przeniósł się do położonego w centrum Madrytu hotelu Aitana.

Oba hotele należały do sieci Marriott. Jednym z dziwactw Adriana była obsesja na jej punkcie. Przez lata podczas podróży po świecie zatrzymywał się tylko w tych hotelach, dzięki czemu zyskał w programie lojalnościowym firmy tak wysoką pozycję, że mógł wymeldowywać się później niż wszyscy i zawsze liczyć na to, że nawet w ostatniej chwili uda mu się zarezerwować u nich pokój w dowolnym miejscu na świecie.

Dom z Airbnb, położony osiem minut jazdy na północ od hotelu, był przeznaczony na kryjówkę, w której Seo Yun-suk z żoną i synem mieli czekać na wywiezienie ich z kraju. Znajdował się w dzielnicy mieszkalnej; nie rzucał się w oczy, był osłonięty i duży – miał dwa piętra, garaż i ogród. Na tyłach była tylko spokojna alejka.

Gdy Adrian przedstawiał tam plan akcji, Ahn uświadomił sobie, że nie słyszał, by organizacja robiła kiedykolwiek coś podobnego. Owszem, Cheollima inscenizowała wypadki z udziałem uciekinierów, by chronić ich rodziny przed karą, ale tym razem chodziło o to, by wywieść w pole północnokoreańskie służby znacznie bardziej wyrafinowanym spektaklem. Mieli zainscenizować porwanie.

Adrian chciał zagrać o wyższą stawkę. Ten śmiały plan zaniepokoił Ahna, ale jego obawy słabły, w miarę jak słuchał go dalej. Wyjaśnił, że operacja była planowana od miesięcy, a członkowie zespołu analizowali wszystkie jej elementy przez kilka ostatnich tygodni. Przećwiczyli nawet przemieszczanie się po budynkach ambasady, co było ważne, bo niewielu z nich, poza Ahnem, miało jakiekolwiek przeszkolenie wojskowe.

Nawet jeśli pewność siebie bijąca od Adriana działała na Ahna uspokajająco, widok sprzętu przygotowanego na akcję miał odwrotny skutek.

Kilka dni temu ludzie z zespołu udali się do sklepu z narzędziami Ferretería Delicias po odpowiednie wyposażenie: nożyczki, nożyce do prętów, trzydzieści trzy rolki mocnej taśmy klejącej, szczypce, dziesięć łomów i wysuwaną drabinę. Drabina była lekka i prosta w obsłudze – kupili ją na wypadek, gdyby trzeba było przedostać się przez mur ambasady.

Właściciel sklepu opowiadał później dziennikarzowi „The Guardian": „To było dziwne, bo kupowali rzeczy, które są potrzebne, gdy ktoś chce się gdzieś włamać, ale ponieważ wyglądali na ludzi inteligentnych, nie wzbudzali podejrzeń".

Adrian i Sam, każdy z osobna, odwiedzili sklep z zaopatrzeniem dla wojska i policji Tienda Shoke, gdzie kupili kominiarki, pięć kabur pistoletowych, cztery noże bojowe, sześć pistoletów gazowych strzelających nieszkodliwymi śrucinami, cztery pary okularów strzeleckich, pięć latarek taktycznych, pojemniki z gazem pieprzowym i pięć par kajdanek. Pistolety gazowe są tak wiernymi imitacjami prawdziwej broni, że są używane w hiszpańskich filmach i serialach. Rachunek opiewał na 833,15 euro.

Kupili również słodycze i zabawki dla syna Seo.

Sam Ryu jako technologiczny guru kupił kamery GoPro, którymi uczestnicy mieli udokumentować akcję, tak by wiadomo było, że był to podstęp, a nie prawdziwe porwanie. Z podobnych powodów Adrian prosił kiedyś Ahna, by sfilmował Kim Han-sola na lotnisku w Tajpej – chciał mieć dowód, że Cheollima mu pomagała.

Adrian tłumaczył, że broń jest tylko na pokaz. Nie będą nawet musieli wyciągać tych rekwizytów. Chodziło tylko o to, by wyprowadzenie Seo do pokoju, gdzie mieli poczynić ostatnie uzgodnienia, wyglądało wiarygodnie. Potem członkowie zespołu mieli wyłączyć wszystkie kamery wewnętrznego monitoringu i – jeśli się uda – skopiować zrobione przez nie nagrania. Próbowali wprawdzie przeprowadzić jakiś rekonesans, ale nie dało się sprawdzić, ile kamer jest wewnątrz ambasady i dokąd przekazują one zapis. Adrian obawiał się jednak, że północnokoreańskie służby mogą zdalnie obserwować na bieżąco, co się w niej dzieje.

Ze względu na tę możliwość wszystko to, co mogło zostać nagrane przez kamery monitoringu, musiało wyglądać na prawdziwe uprowadzenie. Również wszyscy pracownicy ambasady musieli być przekonani, że ich szef został porwany. W przeciwnym razie dalsza rodzina Seo i jego żony trafiłaby wkrótce do obozu.

W pewnym momencie Adrian wskazał Ahna i wyjaśnił jego rolę. Tak jak podczas innych operacji, miał on pilnować, by wszyscy skupili się na zadaniu, zaplanowanym na czterdzieści pięć minut, lecz z pewnością wymagającym potężnych dawek adrenaliny. Koncepcja była taka, żeby wejść do ambasady i szybko ją opuścić.

Ahn zapamiętał to, co usłyszał od Adriana:

– Tylko ty masz doświadczenie w tego typu przedsięwzięciach. Będziesz nadzorował akcję i pilnował, by wszystko odbyło

się po cichu.

Grupa była przygotowana również na inny scenariusz zasugerowany przez Seo podczas rozmów z Adrianem. Gdyby cały personel ambasady zdecydował się na ucieczkę, ludzie Cheollimy nie wyszliby z niej, lecz zostali, zabezpieczyli ją i ogłosili, że teraz jest ona siedzibą stworzonego przez Adriana ruchu oporu – Tymczasowego Wolnego Państwa Joseon.

Plan przejęcia całej ambasady był zdumiewająco ambitny. Do tej pory, przez dziesiątki lat oburzenia i politycznych namysłów nad tym, co działo się w Korei Północnej, nikt nie śmiał nawet pomyśleć o czymś takim. To było zbyt niebezpieczne, a szansa na sukces zatrważająco mała w porównaniu z mnóstwem spraw, które mogły pójść fatalnie. Adrian jednak przedstawił całą rzecz nie tylko jako niesłychanie ważną, lecz także realną.

Ta śmiała wizja, za którą stały jego charyzma i wiara w siebie, przypominała mesjanistyczne „łamanie reguł", które zrobiło się modne w pewnych sferach współczesnego społeczeństwa – na przykład w Dolinie Krzemowej, gdzie nieprzemyślane projekty biznesowe przyciągały inwestorów gotowych wspierać je milionami dolarów. Tu jednak, w Madrycie, chodziło o stawkę znacznie wyższą niż lekkomyślne rozdysponowanie kapitału. Wydawało się jednak, że nikt sobie tego nie uświadamiał.

Czekając na rozpoczęcie operacji, Ahn zastanawiał się, czy mógłby odegrać w niej jeszcze inną rolę. Myślał o tym, co musi się dziać w głowach szykujących się do ucieczki Koreańczyków, i jak ich powitać, by uczcić od razu ich doniosłą decyzję.

Wpadł na pomysł, że urządzi przyjęcie przy grillu. „Chciałem jakoś pomóc w świętowaniu odważnej decyzji, jaką podjęli – opowiadał później. – Dla mnie to była wielka sprawa. Musieliśmy zrobić coś wyjątkowego, by dać im do zrozumienia, że

są kochani i że ktoś się nimi opiekuje. Nie mogliśmy dopuścić do tego, by poczuli się samotni”.

Na kilka godzin przed akcją zaczął notować pomysły na dania z ryb, które postanowił przyrządzić na ruszcie w ogrodzie za domem. Podczas gdy reszta zespołu zajęta była pakowaniem groźnie wyglądającego sprzętu, Ahn spisywał listę zakupów.

O szesnastej trzydzieści osiem Adrian, Ahn, Sam Ryu i kilku innych działaczy Cheollimy podeszło do drzwi ambasady. Pozostali czekali w zaparkowanych w pobliżu samochodach, którymi mieli wywieźć rodzinę Seo.

Wejście do ambasady znajdowało się w pobliżu przystanku autobusowego. Grupka czekających tam ludzi patrzyła z zaciekawieniem na zgromadzonych pod furtką mężczyzn. Ahn, ubrany cały na czarno i w okularach przeciwsłonecznych, starał się wyglądać nonszalancko. Hiszpańscy śledczy uznali jednak później, że jego poza robiła wrażenie „wyzywającej”. Pozostali kucnęli pod murem, ale Ahn pomyślał, że to wygląda nieco podejrzanie i że ktoś może zadzwonić na policję.

Podczas gdy tamci czekali, Adrian, w czarnym garniturze i krawacie w kropki, nacisnął dzwonek. Ogrodnikowi, który mu otworzył, powiedział, że ma spotkanie z attaché handlowym, panem Seo. Jin Choe go rozpoznał – pamiętał pana Matthew Chao z firmy Baron Stone Capital – więc wpuścił go do środka i poprosił, by poczekał pod drzwiami.

Jin wszedł do ambasady, by poszukać Seo, dzięki czemu Adrian mógł uchylić furtkę, by wpuścić resztę ekipy. Jeśli ktoś śledził na bieżąco obraz z kamery monitoringu, mógł zobaczyć grupę mężczyzn najwyraźniej szturmujących ambasadę.

Gdy działacze Cheollimy znaleźli się w środku, założyli kominiarki i szybko otoczyli pracowników, po czym umieścili ich

w sali konferencyjnej i związali im ręce plastikowymi opaskami. Na głowy założyli im worki.

– Na ziemię! – krzyknął Adrian po angielsku, po czym przeszedł na koreański.

Pracownicy ambasady, którzy podobnie jak działacze Cheollimy mieli w większości od dwudziestu do trzydziestu lat, natychmiast usiedli posłusznie na podłodze. Szybkość działania napastników, szok i zaskoczenie zadziałały znakomicie. Tak jak przewidywał Adrian, podporządkowanie sobie personelu zajęło zaledwie kilka minut.

Adrian i Sam Ryu zaprowadzili Seo do łazienki, a kilku ich kolegów, w tym Ahn, chodziło od pokoju do pokoju, by sprawdzić, czy w ambasadzie nie ma nikogo więcej. Znaleźli żonę i syna Seo, którzy wyglądali na sparaliżowanych ze strachu przed zamaskowanymi napastnikami. Jeden z członków ekipy został z nimi i spokojnie zapewnił, że nikomu nic się nie stanie.

W systemie Zello, dzięki któremu ich telefony pracowały w trybie krótkofalówek, pojawił się komunikat, że budynek jest „czysty i bezpieczny". Adrian odezwał się do kolegów po angielsku:

– Przechodzimy, przechodzimy.

Ponieważ wszystko wskazywało na to, że pierwsza faza operacji przebiegła pomyślnie – sytuacja została opanowana, a w budynku ambasady nie było widać żadnych kamer – Adrian użył ustalonego wcześniej hasła, by przekazać kolegom, że mogą się trochę wyluzować, przestać odgrywać tajemniczych napastników i przejść do roli spokojnych wybawców. Przyszedł moment na to, by odetchnąć, a potem zakończyć akcję i odjechać.

Następnie odezwał się do uwięzionych mężczyzn – tym razem łagodniejszym tonem – prosząc ich o cierpliwość, przepra-

szając za to, co się dzieje, i obiecując, że nikomu nie stanie się krzywda.

– To się niedługo skończy – obiecał.

Adrian i Sam Ryu zeszli z Seo do piwnicy, by omówić z nim dalsze szczegóły planu i spytać, czy pozostali pracownicy dadzą się namówić na dołączenie do jego rodziny. (Oglądałem później fragmenty nagranego w piwnicy filmu, na którym niedoszły uciekinier śmieje się i wygląda na całkowicie odprężonego).

Kiedy siedząca w piwnicy trójka rozmawiała o kolejnych krokach, Ahn oraz pozostali członkowie zespołu przeszukiwali budynek. Był zaskakująco pusty. Z zewnątrz wyglądał jak piękna rezydencja bogacza, ale w środku był pozbawiony wszelkich ozdób i bardzo skromnie umeblowany. Nawet w lodówce nie było prawie nic – Ahn zapamiętał jej zawartość jako wyjątkowo przygnębiającą. W pewnym sensie ambasada niewiele się różniła od wsi potiomkinowskich wybudowanych po północnej stronie strefy zdemilitaryzowanej.

Jedynym pomieszczeniem, o którym można było powiedzieć, że ma jakiś charakter, była sala propagandy pełna portretów Kim Dzong Una i reżimowych sloganów. Od pracowników ambasady wymagano, by codziennie studiowali literaturę polityczną i uczestniczyli w dyskusjach na temat historii kraju prowadzonych przez Seo. Czasem brali w nich udział nieliczni północnokoreańscy studenci przebywający w Madrycie. Im dalej od Pjongjangu się znajdowali, tym ważniejsze było utrzymywanie ich w bezmyślnym posłuszeństwie wobec państwa i Wielkiego Następcy Kim Dzong Una.

Dwaj działacze Cheollimy przeszukujący budynek odkryli pomieszczenie będące siedzibą komórki wywiadowczej. Było wyścielone metalową folią, która miała zabezpieczać przed podsłuchem i elektroniczną inwigilacją. Załadowali do pleca-

ków znalezione tam dokumenty, zabrali też urządzenie, które wydawało się połączone z kamerami na zewnątrz ambasady. Później okazało się, że przeoczyli komputer zawierający nagrania z monitoringu.

Wszystkie te zadania udało się wykonać w ciągu pierwszej godziny pobytu w ambasadzie. Wtedy tempo akcji zwolniło, a napięcie osłabło. Wszystkim wydawało się, że za kilka minut wyjdą z ambasady razem z Seo i jego rodziną albo, jeśli się uda, nakłonią do dezercji cały personel placówki.

Nie zdając sobie sprawy z tego, że jednak pozostał pewien problem, Adrian i jego towarzysze byli przeświadczeni, że misja jest prawie zakończona. Wyglądało na to, że są o krok od wspaniałego sukcesu. Sam Ryu odprężył się, wyjął kamerę i zaczął filmować.

15 Niech żyje Wielki Następca

> Gdy opuszcza się Koreę Północną, jest inaczej niż wtedy, gdy opuszcza się jakikolwiek inny kraj. Wszystko jedno, jak daleko zawędruję, nigdy nie będę prawdziwie wolna od jej grawitacji.
>
> Ri Hyeon-seo, uchodźczyni z Korei Północnej

Madryt, luty 2019

Ryu Cheor-u, znany jako Charles Ryu, był jedynym Koreańczykiem z Północy biorącym udział w szturmie na ambasadę w Madrycie. Mówiąc bardziej precyzyjnie, był jednym z trzech uczestników akcji, którzy mieli czekać w samochodach i zabezpieczać ambasadę. Uprzejmy i dobroduszny Charles rzadko opowiadał nowym znajomym o swoich bolesnych przeżyciach z dzieciństwa spędzonego w Korei Północnej.

Zanim nauczył się chodzić, ojciec zostawił go i jego matkę w długach. Miał chiński paszport, więc mógł wyjechać i zamieszkać we wsi po drugiej stronie granicy. Matka przez jakiś czas radziła sobie dzięki pomocy babci Charlesa. Przez dwa lata jeździła po kraju, żeby zarobić jakieś pieniądze. Jednak pewnego dnia wróciła do domu w okropnym stanie – wyglądała na wygłodzoną i mówiła z trudem. Babcia wydała resztkę pieniędzy, by na kilka miesięcy umieścić córkę w szpitalu. Wydawało się, że ta zaczyna czuć się lepiej, ale pewnego dnia upadła na podłogę. Charles przestał chodzić do szkoły, żeby się nią opiekować, ale jej stan się pogarszał i w końcu zmarła. Kolejna ofiara północnokoreańskiego głodu.

Babcia Charlesa była za stara i za słaba, by się nim zająć, więc odesłała go do jego ciotki. Chłopiec pisał do przebywają-

cego w Chinach ojca, prosząc o pomoc, ale bez skutku. Na domiar złego ciotka Charlesa napisała fałszywe zaproszenie do Chin, wysłane rzekomo przez jego ojca, dzięki któremu uzyskała od władz Korei Północnej pozwolenie na wyjazd. Potem napisała do ojca Charlesa, grożąc, że jeśli nie przyśle jej pieniędzy na podróż, zabije jego syna albo odda go do sierocińca. Nic jednak nie wskórała.

Charles wyprowadził się od niej i przez ponad pół roku mieszkał na ulicy. Walczył z innymi bezdomnymi dziećmi o resztki jedzenia, a zimą, żeby przeżyć, spał przytulony do zbiorników z ciepłą wodą. Gdy miał czternaście lat, dzięki pomocy dwóch przyrodnich braci, którzy dali mu pieniądze na przekupienie strażników granicznych, uciekł z kraju. Dotarł do rzeki Jalu płynącej wzdłuż granicy między Koreą Północną a Chinami. Wszedł do niej, udając, że się w niej myje, po czym przepłynął na drugi brzeg, gdzie czekał na niego ojciec powiadomiony o ucieczce. Razem wyruszyli w dwunastogodzinną podróż do jego domu. To było ich pojednanie.

Kiedy Charles zobaczył na bazarze banana, próbował go ugryźć, nie zdjąwszy skórki. Do tej pory widywał te owoce jedynie w filmach rysunkowych. W Chinach żyło mu się dobrze. Odzyskał ojca i, w pewnym sensie, znów poczuł się dzieckiem. Poza tym korzystał z obfitości dobrego jedzenia i gier, do których miał dostęp w salonach komputerowych. Do czasu, gdy chiński sąsiad doniósł władzom o jego obecności.

Policja pojawiła się u nich w styczniu 2009 roku i aresztowała Charlesa, ponieważ ojciec nie miał żadnych dokumentów potwierdzających, że jest on jego synem. Piętnastoletni Charles został odesłany do Korei Północnej. W tym samym transporcie jechała kobieta, która próbowała się zabić, przegryzając sobie żyły na ręce. Wolała umrzeć niż żyć w północnokoreańskim obozie.

Charles był przesłuchiwany przez trzy tygodnie, a następnie trafił do obozu reedukacyjnego pod Sin'uiju. Przez szesnaście godzin dziennie pracował ciężko na budowie lub farmie, za co dostawał porcję żywieniową w postaci stu pięćdziesięciu ziaren kukurydzy. Pewnego dnia był tak zdesperowany i głodny, że wybrał ryż z czyichś wymiocin. Nocą strażnicy dręczyli więźniów propagandą i nieustannym powtarzaniem obozowego regulaminu.

Po dziewięciu miesiącach Charles był skrajnie wycieńczony – z trudem podnosił ręce. Z punktu widzenia władz obozu stał się bezużyteczny, więc go wypuszczono.

Zatrudnił się na rok w kopalni, gdzie pracowali głównie nastolatkowie w podobnym wieku. Ciągnęli ciężkie wózki i ręcznie łupali węgiel. W ramach wynagrodzenia dostawali trzydzieści kilogramów ryżu miesięcznie i miejsce do spania. Praca była bardzo niebezpieczna. Tunele czasem się zawalały, a wózki z węglem przewracały, raniąc lub zabijając górników.

Sytuacja Charlesa w kopalni nie była wiele lepsza niż w obozie, więc pewnego dnia uciekł, nie zważając na możliwe konsekwencje. Strażnicy nie przejęli się tym aż tak, by go ścigać. Znowu był bezdomny. Wędrował po północy kraju, zaglądając do wiosek i miast w poszukiwaniu jedzenia.

Pewnego dnia, gdy odpoczywał na szczycie wzgórza, zobaczył pociąg podjeżdżający do pobliskiej stacji. Pomyślał, że może uda mu się ukraść jakieś jedzenie, więc zszedł na peron. Pociąg jechał do Hyesan, przemysłowego miasta i ważnego węzła komunikacyjnego niedaleko chińskiej granicy. Charles wślizgnął się do wagonu.

Udało mu się wejść, ale w połowie podróży został znaleziony i zatrzymany. Zamknięto go w przedziale, zdołał jednak wyskoczyć przez okno i się ukryć. Kilka dni później wskoczył do innego pociągu. Kierował się znów ku granicznej rzece Jalu.

Pewnej nocy zakradł się nad nią i zaczął brodzić w lodowatej wodzie. Był w połowie drogi, gdy nagle padło na niego światło reflektora. Stłumił okrzyk. Strażnicy krzyczeli, że jeśli się nie zatrzyma, będą strzelać. Popłynął jak szalony przed siebie, dotarł do chińskiego brzegu i zdołał bez szwanku ukryć się w ciemności.

Jednak błądzący po Chinach Koreańczyk z Północy wciąż znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Bez pieniędzy ani jedzenia Charles wędrował przez trzy dni, nie wiedząc właściwie, dokąd idzie. Jego stopa krwawiła. Później, w podkaście prowadzonym przez Jordana Harbingera, powiedział, że przy życiu trzymało go jedynie „marzenie o wolności".

Bliski załamania szesnastoletni Charles przysiadł na skraju drogi i modlił się o pomoc. W końcu zatrzymał się przy nim Chińczyk na motocyklu i spytał, czy jest z Korei Północnej. Odpowiedział, że tak. Mężczyzna powiedział, by siadał z tyłu, i zabrał go na długą przejażdżkę, a potem nakarmił, ubrał i zaopatrzył w lekarstwa. Następnego dnia przedstawił go misjonarzowi z Korei Południowej, który dał mu pieniądze na podróż do ojca.

Chłopak mieszkał u ojca miesiącami i nie wychodził z domu. Bał się, że jeśli pojawi się na ulicy, zostanie aresztowany. W końcu ojciec postanowił, że Charles musi wyjechać z Chin, bo w przeciwnym razie znowu odeślą go do Korei Północnej. Charles znalazł pośrednika, który miał mu pomóc w ucieczce do Tajlandii – przez granicę znajdującą się po drugiej stronie kraju. Po pełnej napięcia serii podróży autobusowych przemytnik pomógł przeprawić się całej grupie Koreańczyków z Północy przez Mekong – musieli przejść na drugą stronę po chwiejącym się pniu drzewa.

Tajlandzka policja zatrzymała wprawdzie Charlesa, ale on wiedział już, że osiągnął cel – że będzie wolny. Tajlandia uzna-

je, że uciekający z Północy Koreańczycy są uchodźcami, i pozwala im wyjeżdżać do Korei Południowej, nawet jeśli przedostali się na jej terytorium nielegalnie. Już samo jedzenie, jakie podawano w tajlandzkim więzieniu, było dla Charlesa wielkim wydarzeniem w porównaniu ze wszystkim, czego doświadczył do tej pory. Powiedział później, że pierwszy dzień, który spędził w Tajlandii w areszcie, był najlepszym dniem w jego dotychczasowym życiu.

Tajlandzkie władze zagroziły jednak, że odeślą go do Chin, ponieważ jego ojciec jest Chińczykiem. Przejął się tym tak bardzo, że miał myśli samobójcze i przez tydzień odmawiał przyjmowania posiłków. Na szczęście pewien człowiek pomógł mu przygotować skierowany do ONZ wniosek o przyznanie statusu uchodźcy. Charles od razu został zaproszony na rozmowę, a kilka dni później uzyskał zgodę na przyjazd do Los Angeles. To był początek wielkiej zmiany w jego życiu.

W 2012 roku przybył wreszcie do Stanów Zjednoczonych, gdzie skończył szkołę średnią i spotkał się z przyjaciółmi z Tajlandii. Ochrzcił się, przyjmując imię Charles, ponieważ brzmiało podobnie jak jego koreańskie imię Cheor-u. W swoim nowym amerykańskim życiu objadał się hamburgerami i kanapkami z Subwaya – zamawiał je we wszystkich możliwych wersjach. Pracował dorywczo, zmywając naczynia, i dziwił się, że w tym kraju wyrzuca się tak wiele jedzenia. Później zapisał się na kurs programowania i zarabiał na życie jako kierowca Ubera. Mówił już płynnie po angielsku i lubił opowiadać pasażerom historię swojej ucieczki. Niektórzy po dojechaniu na miejsce zostawali w samochodzie, żeby wysłuchać jej do końca.

W pewnym momencie dostał się na staż jako informatyk w biurze LiNK-u w Long Beach. Wtedy zaczął korespondować mejlowo z Adrianem. Chłonął jak gąbka amerykańską kulturę

i stawał się zupełnie innym człowiekiem. Pod wpływem telewizji i znajomych Amerykanów koreańskiego pochodzenia przyjął luzacki południowokalifornijski styl bycia (zwracał się do rozmówców per „koleś”) i zakochał się w amerykańskiej popkulturze oraz kinematografii. Wciąż jednak lubił szokować słuchaczy swoją dramatyczną historią.

Na swoim instagramowym koncie (@freshprinceofpyongyang) napisał o sobie zawadiacko: „Urodzony i wychowany na zachodzie Korei Północnej, relaksuję się chwilowo w Stanach, czekając, aż będę mógł wrócić do pustelniczego królestwa, by wyzwolić mój naród”.

Mimo że znalazł się w krainie obfitości tysiące kilometrów od domu, nigdy nie zobojętniał na los Korei Północnej. Często mówił, że lud, jeśli się zjednoczy, będzie w stanie wystąpić przeciwko władzy. Ten niegasnący idealizm sprawił, że łatwo było zwerbować go do organizacji.

Charles powiedział pisarce Suki Kim, że nie spotkał się osobiście z Adrianem aż do czasu, gdy poleciał do Madrytu na akcję, która miała wstrząsnąć fundamentami północnokoreańskiego systemu. Jej przebieg był ustalany za pośrednictwem komunikatora Signal, ale Charles nie wiedział, na czym ona ma polegać; powiedziano mu tylko, że odbędą kontrolowaną wizytę na „północnokoreańskiej ziemi” w Hiszpanii – wizytę, która ma naruszyć wizerunek wszechwiedzącego reżimu.

„To był zaszczyt – tłumaczył Charles. – Dla mnie ta braterska więź, którą między nami wyczuwałem, była czymś bardzo osobistym”.

Charles z kolegami czekał już godzinę w zaparkowanym na ulicy samochodzie, gdy odebrał wiadomość od Adriana, że ma wejść do ambasady. Wysiadł, podszedł swobodnym krokiem do furtki i zapukał.

Za murem czekał na niego z kamerą Sam Ryu, który miał sfilmować wejście Charlesa na „północnokoreańskie terytorium" – pierwsze od czasu, gdy przed laty wydostał się z tego kraju. Była siedemnasta siedemnaście. Operacja trwała już około czterdziestu minut.

Sam Ryu prosił Charlesa, by przeszedł przez furtkę kilka razy, by mógł wybrać potem najlepsze ujęcie. W nieokrojonej wersji filmu ubrany w zapinaną na suwak czarną kurtkę Charles ma łzy w oczach. (Później Cheollima opublikowała nagranie zatytułowane „Mój powrót do ojczyzny").

Na innym nagraniu, „Niedawna wizyta w ojczyźnie", widać mężczyznę roztrzaskującego portrety Kim Dzong Ila i Kim Ir Sena. Ten film kończy się hasłami – po koreańsku i angielsku – „Precz z dynastią Kimów!" i „Walczymy o nasz naród! Niech żyje wolne Joseon!".

Mieszkańcom Korei Północnej wpaja się wiarę, że ich boscy przywódcy są niezwyciężeni. Adrian zamierzał upublicznić to drugie wideo później, bez informacji, gdzie zostało zrobione, by stworzyć wrażenie, że to, co na nim widać, zdarzyło się w samej Korei Północnej, a nie w jej zagranicznej placówce.

Podczas gdy Sam Ryu kręcił swoje inscenizowane filmy, Ahn, który został wewnątrz budynku, zaczynał się denerwować. Stres i tempo operacji sprawiały, że raz czuł się tak, jakby zjawili się tu przed chwilą, a zaraz później – jakby byli w ambasadzie od trzech godzin. Do tej pory przez większość czasu krążył po pokoju, w którym przebywali pracownicy, od czasu do czasu poluźniając więzy na ich rękach.

Adrian wciąż był w piwnicy z Seo Yun-sukiem, ale wyłaniał się z niej co jakiś czas, by skontrolować sytuację. Wciąż wyglądał na pewnego siebie optymistę.

– Wszystko jest dobrze – powiedział za którymś razem.

Seo chciał poznać przed wyruszeniem w drogę dalsze szczegóły planu. Gdzie otrzymają azyl? Czy po wyjściu z ambasady będą bezpieczni? Gdzie spędzą najbliższą noc? Co stanie się z resztą personelu?

Jang Og-gyeong, żona Seo, wyglądała na wystraszoną. Nie wiadomo było, czy mąż rozmawiał z nią o planowanej ucieczce. Później powiedziała policji, że kiedy siedziała, oglądając z synem telewizję, usłyszała w korytarzu łomot, gdy ekipa Cheollimy zaatakowała budynek.

Gdy wyjrzała z pokoju – zeznawała – zobaczyła, że napastnicy krępujący pracowników bili ich. To samo mówili potem sami pracownicy, ale na żadnym z dostępnych nagrań niczego takiego nie widać. Działacze Cheollimy zaprzeczyli temu, by stosowali przemoc. Tłumaczyli później, że Koreańczycy z ambasady musieli zeznawać, że zostali brutalnie zaatakowani, by nie zostali ukarani po powrocie do kraju. Hiszpański dziennikarz, który uważnie śledził tę sprawę, przedstawił mi teorię, jakoby uwięzieni mężczyźni uderzali jeden drugiego, być może na żądanie przełożonych z Pjongjangu, by spreparować dowody, że zostali zaatakowani.

Gdy Jang zobaczyła, co dzieje się w ambasadzie, wróciła szybko do sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Kilka minut później ktoś głośno do nich zapukał i zażądał po koreańsku, by otworzyła. Zapewniał, że nic się jej nie stanie. Wychyliła się przez okno i zawołała męża, ale wtedy napastnik wyłamał zamek.

Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna w garniturze z długimi włosami związanymi w kok. To był Adrian. Poprosił, by się nie bała, i powiedział, że przyszedł tu pomóc jej rodzinie. Dodał jeszcze, że wcześniej poinformowano go, że ich syn ma jedenaście lub dwanaście lat, ale chłopiec wyglądał na siedem lub osiem. Kiedy w pokoju pojawił się inny działacz Cheollimy, Ad-

rian wyszedł. Nowy gość powiedział, że on i jego koledzy podjęli wielkie ryzyko, żeby im pomóc.

Jang zeznała później, że myślała o samobójstwie i próbowała nawet pociąć się w łazience – tak bardzo bała się, że ci obcy ludzie mają jakieś okropne plany wobec zakładników.

Potem przyszedł trzeci mężczyzna. Patrząc na kształt jego głowy i słysząc jego akcent, Jang pomyślała, że musiał urodzić się w Korei Północnej. Ludzie Cheollimy przynieśli jej synowi torbę pełną zabawek, krakersów i słodyczy, ale chłopiec, widząc przerażenie matki, nawet po nie nie sięgnął.

Do tej pory Ahn uważał, że operacja idzie dobrze i wkrótce zostanie zakończona – cały zespół był zmobilizowany i gotowy do opuszczenia ambasady. Przez głowę przemknęła mu nawet myśl, że to właściwy czas na rozpalenie grilla.

Gdy o siedemnastej pięćdziesiąt ktoś niespodziewanie zadzwonił do furtki, przeszedł ich przenikliwy dreszcz. Jakiś gość?

Jeden z członków ekipy przekazał Adrianowi wiadomość przez komunikator Zello.

– Ktoś jest przy drzwiach – powiedział.

– Policja przyjechała – dodał Ahn.

Zaskoczony Adrian wyszedł z piwnicy i dołączył do kolegów stojących przed monitorami przekazującymi obraz z kamer zamontowanych przed ambasadą. Widać było na nich trzech mężczyzn. Jeden nosił okulary przeciwsłoneczne. Wszyscy trzej mieli mundury z napisem „Policía".

Adrian jak zwykle zareagował szybko. Powiedział kolegom, że otworzy furtkę i poradzi sobie z problemem. Ahn otrzepał mu z kurzu marynarkę i podał mu ją. Adrian umieścił w widocznym miejscu na piersi znaczek z Ukochanym Przywódcą, który ze sobą przyniósł, i podszedł do furtki.

Rozpoczynając szturm na ambasadę, ludzie z Cheollimy liczyli na to, że jeśli będą działać szybko i z zaskoczenia, zdołają zatrzymać w niej wszystkich obecnych. To miała być operacja w stylu „wpad i wypad". Rozważali wprawdzie możliwość, że cały personel zdecyduje się na dezercję, a wtedy operacja będzie się rozwijać według nowego scenariusza, ale to był hipotetyczny plan B.

Intruzi nie wiedzieli jednak, że źle policzyli osoby obecne w ambasadzie. Kiedy do niej wtargnęli, żona jednego z zastępców Seo, pięćdziesięciosześcioletnia Jo Sun-hui, usłyszała rozgardiasz, który opisała później jako „odgłosy walki na śmierć i życie" – czyli uderzeń i ciał padających na podłogę.

Jak zeznała hiszpańskiej policji, po głosach napastników poznała, że pochodzą z Korei Południowej, chociaż przyznała też, że do tej pory nigdy nie słyszała południowokoreańskiego akcentu. Wpadła w kompletną panikę i postanowiła, że musi za wszelką cenę uciec. Bez namysłu zamknęła drzwi pokoju i znalazła komórkę, by zadzwonić do męża lub drugiego pracownika ambasady. Żaden nie odbierał.

Odchodziła od zmysłów, słysząc odgłosy rzekomych śmiertelnych zmagań, i doszła do wniosku, że jako jedyna pozostała przy życiu. Uznała, że tylko od niej zależy, czy ucieknie. Stojąc na tarasie przed swoim pokojem, oceniła, że lepiej będzie skoczyć na plamę błota niż na beton. Przywarła dłońmi do ściany. Chciała odepchnąć się nogami od budynku, ale straciła równowagę i uderzyła o krawędź dachówki. Kiedy dotknęła głowy, stwierdziła, że obficie krwawi. Zraniła się również w nogę.

Zamiast podejść do furtki, pokuśtykała w mniej oczywistym kierunku, w stronę kortu do padla w północno-zachodniej części ogrodu. Obolała i spanikowana, wyszła na czworakach na ulicę. Przejeżdżający kierowca zobaczył zakrwawioną kobietę

i gwałtownie skręcił, by zatrzymać się na poboczu. Jo wdrapała się na tylne siedzenie.

Kierowca, który pracował gdzieś w pobliżu, zawiózł ją do przychodni znajdującej się pięćset metrów dalej w dół ulicy. Lekarze natychmiast zajęli się jej ranami i próbowali ją uspokoić. Pytali, co się stało i skąd jest – z Chin czy Filipin? Jo odpowiedziała „Nie ma problemu" i dodała kilka słów po francusku.

Jak później tłumaczyła policji, nie chciała, by ktokolwiek wiedział, że jest z Korei Północnej, ponieważ bała się, że napastnicy wciąż jej szukają, by ją zabić, i że pomagający jej ludzie odwiozą ją do ambasady. Dlatego gdy spytali ją, czy jest Chinką, skinęła głową.

W końcu przyjechali umundurowani hiszpańscy policjanci i Jo nieco się uspokoiła. Gdy dostała telefon, wybrała numer chińskiej ambasady. Przywitała się po chińsku, ale rozmówca zorientował się, że nie jest Chinką.

– Pani jest z Korei? – spytał.

– Nie! – krzyknęła, ale on już dzwonił do ambasady Korei Południowej.

Wreszcie przyznała się, że jest z Korei Północnej. Jeden z lekarzy, żeby zrozumieć jej słowa, uruchomił na komórce aplikację tłumaczącą z różnych języków. Nie wszystko było jasne, ale w końcu dotarła do nich szokująca informacja, że napastnicy z Korei Południowej zaatakowali ambasadę i zabili znajdujących się w niej ludzi.

– Oni jedzą dzieci – ostrzegła, powstrzymując się od szlochu.

Policjanci zostawili Jo pod opieką lekarzy, którzy zszyli jej rany na głowie i nodze, sami zaś skontaktowali się z komendantem i przekazali to, co usłyszeli. Nie wiedzieli, jakie zasady protokołu dyplomatycznego obowiązują w relacjach z ambasadą. Komendant polecił, by udali się na miejsce i spróbowali

ustalić, co się tam dzieje. Bez potwierdzenia, że doszło do przestępstwa, nie mieli prawa wkroczyć i aresztować ludzi.

Podchodząc do furtki, Adrian – z podobizną Ukochanego Przywódcy na marynarce – próbował przyjąć wyniosłą pozę północnokoreańskiego aparatczyka. Ahn z resztą zespołu patrzył w napięciu na obrazy z monitoringu. Czuł, jak krew pulsuje mu w żyłach. Tego z pewnością nie było w planie.

Gdy Adrian otworzył drzwi, funkcjonariusze natychmiast się przedstawili i wyjaśnili, że rozmawiali z kobietą mieszkającą w ambasadzie, która twierdzi, że doszło do napadu. Adrian szybko odpowiedział po hiszpańsku, że nie ma żadnych problemów, a jeśli policja ma coś jeszcze do przekazania urzędnikom ambasady, musi się zwrócić do nich odpowiednimi kanałami dyplomatycznymi.

Jego koledzy nie mogli go słyszeć, ale uznali, że doskonale odegrał północnokoreańskiego oficjela. Z rękami założonymi na piersi i zaciśniętymi ustami robił wrażenie człowieka zirytowanego tym, że ktoś zakłóca mu spokój.

Zakłopotani policjanci podziękowali mu i wrócili do samochodów. Adrian wszedł do budynku. Koledzy czekali już na niego, by pochwalić go za występ.

– Byłeś świetny – powiedział Ahn.

Sam Ryu, który widywał wielu hollywoodzkich aktorów, był podobnego zdania. Na razie wiedzieli tyle, że policjanci dali im spokój i odeszli do radiowozów.

Hiszpański Adriana był nieco przykurzony, więc nie zrozumiał wszystkiego, co mówili funkcjonariusze. Wspominali o jakiejś kobiecie. Kto to mógł być?

Kiedy powiedział o tym kolegom, zaczęli głośno myśleć, rozważając różne możliwości. Może kobieta przyszła do ambasady na spotkanie? A może po prostu przechodziła ulicą i zobaczyła, jak wbiegają do środka? Ahn przypomniał sobie kobietę patrzącą na nich podejrzliwie z przystanku autobusowego. Może to ona?

Adrian zszedł na dół, żeby porozmawiać z Seo. Spytał go, ile osób mieszkało w ambasadzie.

– Siedem – usłyszał.

Policzył w pamięci zakładników. Było ich sześcioro. Brakowało jednej osoby, tej kobiety. Kiedy Seo dowiedział się o tym, jego nastrój gwałtownie się zmienił. W jego oczach pojawił się strach.

Adrian spytał, czy może zadzwonić do kobiety i namówić ją, by wróciła.

– Nie, nie – wydukał Seo z poszarzałą twarzą. – Jak oni mogli ją przeoczyć?

Był zrozpaczony. Tłumaczył Adrianowi, że władze Korei Północnej lada chwila o wszystkim się dowiedzą i wyślą zabójców. Powiedział, że w Hiszpanii są również inni Koreańczycy z Północy, nie tylko ci z ambasady, a wśród nich bardzo niebezpieczni ludzie z budzącego postrach Generalnego Biura Wywiadu. Adrian próbował dodać mu otuchy, mówił, że sytuacja jest pod kontrolą – muszą tylko jak najszybciej stąd wyjść.

Gdy wydawało się już, że Seo się uspokaja, zadzwonił telefon wewnętrzny ambasady. I nie przestawał dzwonić.

Dźwięk niósł się przez przestronne, wyłożone terakotą i ledwo umeblowane pokoje, tak że trudno było skupić się na własnych myślach. Co dziesięć minut telefon milkł na chwilę, a potem znów rozbrzmiewał serią pulsujących dźwięków odbijających się od ścian budynku. Czy to była hiszpańska policja, czy Pjongjang?

Za każdym razem gdy telefon odzywał się ponownie, Seo zdawał się coraz bardziej tracić chęć na ucieczkę.

Wyczuwając rozpacz w jego głosie, Adrian omówił jeszcze raz dalsze plany i opowiedział Seo o innych ucieczkach, w których pomagała Cheollima. Tłumaczył, że najtrudniejszy jest zawsze początek akcji, gdy uciekinierzy ryzykują najwięcej – potem robi się coraz bezpieczniej. Za każdym razem jednak, gdy Seo wydawał się już niemal przekonany, nagle załamywał się

psychicznie i trzeba było namawiać go od nowa. Trwało to przez kilka godzin.

Jeden z działaczy, który był w piwnicy z Seo i Adrianem, wyszedł na górę przygnębiony.

– On się wycofuje – poinformował kolegów.

Poza tym Seo był przekonany, że wewnątrz ambasady są kamery, chociaż ludzie Cheollimy sprawdzili to i stwierdzili, że nie ma żadnej. Biedak był tysiące kilometrów od Pjongjangu, a mimo to nie potrafił otrząsnąć się z paranoi przenikającej każdy aspekt życia w Korei Północnej. Ten strach był wpajany celowo – działał lepiej niż jakikolwiek system alarmowy.

Ludzie Cheollimy pozwolili, by telefon dzwonił bez przerwy. Ktokolwiek znajdował się po drugiej stronie, nie ustawał. To była tortura.

Około dwudziestej piętnaście Adrian wyszedł z piwnicy. Miał złe nowiny. Informacja o kobiecie, która wydostała się z ambasady, i godziny słuchania dzwoniącego telefonu wytrąciły Seo z równowagi – był przekonany, że funkcjonariusze reżimu zaraz się tu pojawią.

– Nie jesteś w stanie mnie ochronić, Adrianie. Musicie odejść. Teraz – poprosił.

Powiedział, by zabrali ze sobą należące do ambasady samochody, a on sam zajmie się resztą. Wytłumaczy personelowi, że napastnicy uciekli spłoszeni przez policję, i wszystko wróci do normy. Władze dowiedzą się, że coś się stało, ale nie będą o nic podejrzewać pracowników.

Na dworze było już ciemno. Wszyscy wiedzieli, że mają przed sobą cholernie ciężką noc.

16 Proszę, niech ktoś wezwie FBI

Historia zaczyna się jako farsa i kończy jako tragedia.

Lester Siegel, fikcyjna postać z filmu *Operacja Argo*

Madryt, 22 lutego 2019

Z okna na piętrze ambasady Adrian zauważył na ulicy trzy radiowozy. Wyglądało na to, że stoją z włączonymi silnikami. Żeby sprawdzić reakcje policjantów, poprosił kilku kolegów, żeby jednocześnie zamówili Ubera, a potem, kiedy auta przyjadą, odwołali kurs. Kierowcy byli zdezorientowani, ale prawdziwy kłopot mieli widzący ich z radiowozów policjanci. Polecono im obserwować okolice ambasady i zwracać uwagę na wszelkie podejrzane zachowania – do czasu aż będzie można zweryfikować historię opowiedzianą przez Jo Sun-hui, wciąż przebywającą pod opieką lekarzy.

Napięcie w ambasadzie sięgnęło zenitu. Na zewnątrz była policja, telefon dzwonił bez przerwy, pracownicy wciąż siedzieli skrępowani. Ludzie Adriana poczuli pot na plecach. Plan A i plan B były już nierealne. Pozostał plan C – wycofać się bezpiecznie, zabierając ze sobą przynajmniej część tajnych dokumentów. Działający pod przykrywką agenci Korei Północnej mogli faktycznie się pojawić, więc trzeba było ruszać w drogę – i to szybko. Od kilku godzin nikt z personelu nie odbierał telefonów komórkowych ani wewnętrznego telefonu ambasady. Ale w Korei Północnej ktoś już wiedział, że w Madrycie dzieje się coś bardzo złego.

Zakładnicy, za wyjątkiem Seo, wciąż siedzieli z workami na głowach w sali na parterze. Adrian zabrał swoich ludzi do

osobnego pokoju, by zastanowić się, co robić. Postanowili przejść do planu C, więc raz jeszcze przetrząsnęli pokoje biurowe w poszukiwaniu przydatnych dokumentów i plików. Znaleźli dwa pendrajwy, dwa laptopy, telefon komórkowy i dwa dyski twarde. Wydawało im się, że jeden z nich był połączony z kamerami monitoringu.

Adrian zadzwonił do kolegów pozostających poza ambasadą, którzy pojechali już do hotelu, i polecił im, by zaczęli wszystko pakować i byli gotowi do szybkiej ewakuacji. Misja została zakończona i teraz musieli szykować się do błyskawicznego wyjazdu do Portugalii. Przyjechali z niej, żeby nie zostawiać żadnych śladów wjazdu do Hiszpanii, więc musieli wrócić tą samą drogą.

Podczas gdy Adrian koordynował logistykę, coraz ważniejsza stawała się rola Ahna, który miał dbać o morale członków zespołu. Ahn uznał, że nie opuszczają miejsca zbrodni, lecz wycofują się po nieudanej akcji ratunkowej, i zależało mu na tym, by ani policja, ani inni nie pomyśleli inaczej. Sprzątanie po sobie byłoby równoznaczne z przyznaniem się do przestępstwa, do tego, że nie mieli prawa się tu znaleźć. Dlatego zamiast zbierać sprzęt, który ze sobą przynieśli – kajdanki, pistolety pneumatyczne, nożyce, pojemniki z gazem pieprzowym – zarządził, że zostawiają wszystko tam, gdzie było. Jeśli nie zrobiliśmy niczego złego, nie powinniśmy się zachować, jak byśmy byli winni – pomyślał. Poza tym nie chciał, na wypadek gdyby zostali zatrzymani, by w ich samochodzie znaleziono wyposażenie porywaczy. Jak na ironię, to postanowienie skomplikowało później ich sytuację jeszcze bardziej.

Gdy zapadła decyzja o wyjeździe, działacze Cheollimy przestali się odzywać do zatrzymanych Koreańczyków z Północy.

Seo Yun-suk powiedział Adrianowi, by jego ekipa wzięła samochody z ambasady, i skierował go do schowka, gdzie znaj-

dowały się kluczyki do audi A8, mercedesa viano i toyoty RAV4. Na nagraniach z monitoringu widać, jak intruzi wyjeżdżają nimi o dwudziestej pierwszej czterdzieści.

Ahn musiał zaopiekować się najbardziej zagubionym członkiem zespołu, czyli Charlesem Ryu, który miał za sobą ucieczkę z Korei Północnej. Jechali razem mercedesem prowadzonym przez innego działacza Cheollimy. Hiszpańscy policjanci, którzy zobaczyli, jak otwiera się brama ambasady i wyjeżdżają z niej samochody, zadzwonili do komendanta, pytając, co mają robić. Usłyszeli, że mają czekać dalej.

Adrian i jeden z jego kolegów zostali w budynku. Wybrali bardziej ryzykowny wariant ucieczki. Zamówili Ubera na ulicę Valdemarín, jakieś dwieście metrów od ambasady. Adrian przedstawił się jako Oswaldo Trump – to była jedna z jego fałszywych tożsamości, którymi posługiwał się, korzystając z Ubera.

Kilka minut po tym, jak reszta ekipy wyjechała, Adrian z kolegą przedostał się przez mur na tyłach ambasady i przez zarośniętą parcelę dotarł do drogi. Klucząc między kępkami drzew, wyrzucił fałszywy dowód osobisty na nazwisko Matthew Chao i broń, z którą pojawił się w ambasadzie, czyli nóż i jeden z pistoletów pneumatycznych. Gdy o dwudziestej pierwszej czterdzieści sześć przyjechał Uber, strzepnął z garnituru źdźbła trawy i wsiadł do środka.

Jego ekipa nie zdawała sobie sprawy, jak niewiele brakowało, by znaleźli się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Okazało się, że do ambasady wydzwaniała grupa młodych Koreańczyków z Północy, którzy przebywali w Hiszpanii jako studenci. Gdy nikt nie odebrał pierwszego telefonu, od razu poczuli, że dzieje się coś złego. Nie jest jasne, co tak naprawdę tu robili – możliwe, że studia były tylko przykrywką dla działalności innego rodzaju. Jeden z nich, Kim Chol-hak, czterdziestolatek

studiujący architekturę na Uniwersytecie Nebrija, zeznał później policji, że on i inni studenci regularnie odwiedzali ambasadę. (Eksperci od Korei Północnej, z którymi rozmawiałem, powiedzieli, że prawdopodobnie wymagano od nich uczestnictwa w ideologicznych prelekcjach, które miały ich uchronić przed zgubnym urokiem wolnego świata, w jakim się znaleźli).

Kim Chol-hak zeznał, że zostali wezwani do ambasady przez przebywającego w Madrycie północnokoreańskiego urzędnika, który dowiedział się o znalezieniu rannej kobiety, która w niej pracowała. Powiedział też, że kiedy przybyli na miejsce, wszyscy pracownicy mieli krew na twarzach. Przedstawiciele Cheollimy kategorycznie temu zaprzeczyli.

Trzech „studentów" – jednym z nich był Kim Chol-hak – dotarło do ambasady tuż przed opuszczeniem jej przez ludzi Adriana. Zdążyli zobaczyć odjeżdżające w pośpiechu samochody, więc zaczęli natychmiast łomotać w furtkę. Ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, przedostali się przez mur i weszli do budynku, w którym znaleźli pracowników wciąż skutych kajdankami. Uwolnili ich.

Policjanci obserwujący całe to zamieszanie – w tym przeskakujących przez mur „studentów" – znów zaczęli dobijać się do furtki. Po półgodzinie otworzył im Seo. Powiedział tylko tyle, że do ambasady wtargnęli jacyś ludzie, i wpuścił funkcjonariuszy, by mogli sprawdzić, czy w środku nie ma już żadnego z napastników. Policyjny fotograf zrobił zdjęcia sprzętu pozostawionego przez członków Cheollimy i wyłamanych drzwi.

Ahn uciekał z Charlesem zabranym z ambasady mercedesem. W pewnym momencie poprosił kierującego nim kolegę, żeby wysadził ich gdzieś po drodze, tak by mogli sami zaplanować ucieczkę. Po wyjściu z samochodu weszli od razu do baru – Ahn musiał się wysikać. Podczas akcji był tak zestresowany, że

przez kilka godzin nie był w toalecie. Teraz nie mógł już czekać dłużej.

Kierowca zostawił mercedesa na ulicy Galileo, dwanaście minut jazdy od ambasady. Grupa uciekająca toyotą zostawiła ją po dziesięciu minutach jazdy w przeciwnym kierunku. Audi zostało znalezione przez policję w odległości piętnastu minut jazdy w jeszcze innej części miasta.

Adrian zadzwonił z samochodu Ubera do hotelu Aitana, gdzie się zatrzymał, i powiedział recepcjoniście, że musiał pilnie wrócić do kraju. Poprosił, by spakowano jego rzeczy i odesłano mu je do Los Angeles. Skontaktował się też z resztą ekipy. Polecił kolegom, by małymi grupami przedostali się do Portugalii i stamtąd jak najszybciej wylecieli do Nowego Jorku. Tam mieli się spotkać i zaplanować dalsze kroki. Jeszcze w ambasadzie ustalili, że po powrocie do Stanów poinformują o przebiegu akcji FBI, by nie dopuścić do jej fałszywych interpretacji. Wtedy wciąż była szansa na to, że informacje o niej nie zostaną upublicznione.

Kłopot polegał na tym, że paszporty uczestników mieli przy sobie ich koledzy czekający w samochodach na zewnątrz ambasady. Jeden z nich wysłał Ahnowi na Signalu adres, pod którym on i Charles mogą znaleźć dokumenty ukryte pod krzakiem.

Sytuacja była poważna, ale to, co działo się później, było raczej komiczne. Ahn wpadł na pomysł, że powinien zgolić sobie brodę. Kupił nożyk do golenia i polewając twarz wodą z butelki, zaczął walczyć z zarostem, zacinając się kilka razy. Miał ze sobą tylko czterdzieści euro, kartę kredytową i telefon komórkowy. Charles miał jeszcze mniej.

Wsiedli do taksówki, by pojechać w miejsce, gdzie były ich paszporty, ale samochód się zepsuł. Ahn spojrzał na telefon i zobaczył, że zostało mu tylko dwa procent baterii. Wadą apli-

kacji Zello, której używali, jest to, że zużywa ona bardzo dużo energii. Zamiast więc szukać paszportów, postanowili kupić kabel do iPhone'a i podładować telefony w Burger Kingu.

Ahn wciąż był przekonany, że wszelkie próby zacierania śladów pobytu w Hiszpanii zostaną odczytane jako przyznanie się do popełnienia przestępstwa. Dlatego zamiast zapłacić za burgery gotówką, użył karty kredytowej, by zostawić trop dla policjantów, którzy będą później próbowali ustalić, co się wydarzyło – chociaż Adrian zabronił wszystkim posługiwania się kartą.

Gdy skończyli jeść, było już po północy, ale bateria w telefonie Ahna miała tylko jeden procent mocy. Wyłączył wszystkie aplikacje, przyciemnił wyświetlacz i zaczął komunikować się z resztą grupy wiadomościami tekstowymi. W końcu udało się im znaleźć paszporty pod krzakiem. Wciąż jednak mieli problem: Jak dostać się do Portugalii?

Dwóch mężczyzn o azjatyckich rysach – jeden wysoki i barczysty, drugi niski i szczupły – stojących o wpół do pierwszej w nocy na madryckiej ulicy musiało wyglądać podejrzanie. Wiedzieli o tym. „Musieliśmy rzucać się w oczy tak, jakbyśmy byli parą jednorożców" – wspominał później Ahn.

Wypatrzyli stojącą po drugiej stronie ulicy taksówkę. Wyglądało na to, że kierowca liczy dzienny utarg przed powrotem do domu, ale podbiegli do niego i łamanym hiszpańskim zaczęli mu tłumaczyć, że muszą się dostać do Porto – sześć godzin drogi od Madrytu. Zaniepokojony taksówkarz patrzył na nich podejrzliwie.

Ahn wymyślił naprędce historię: ich brat jutro bierze ślub w Portugalii, a oni są okropnie spóźnieni i muszą za wszelką cenę dojechać tam rano.

– Zgubiłem portfel, ale mój tata panu zapłaci – powiedział Ahn i wskazując na Charlesa, dodał: – To jest mój młodszy

brat.

Taksówkarz się zgodził.

Początkowo nie dał Ahnowi podłączyć telefonu do gniazda USB, ponieważ ładował z niego nawigację samochodową, ale potem pozwolił mu korzystać z niego od czasu do czasu – jednak nie dłużej niż przez dziesięć minut. Minęło półtorej godziny i kierowca zatrzymał się, żeby zatankować. Ahn słyszał, jak mówi sprzedawcy ze stacji benzynowej, że wiezie do Portugalii dwóch podejrzanych Azjatów i ma wrażenie, że ci faceci „są międzynarodowymi przestępcami".

Wykorzystując resztkę baterii w telefonie, Ahn zabukował bilety lotnicze dla siebie i Charlesa. Mieli podróżować przez Zurych do Stambułu i stamtąd do Los Angeles. Nie chciał lecieć do Nowego Jorku, bo w poniedziałek miał w Los Angeles spotkanie z inwestorem. Około siódmej rano dotarli do hotelu Marriott w Porto. Kierowca wyglądał na skrępowanego, kiedy poprosił Ahna, by od razu zadzwonił do swojego „taty" i wziął od niego pieniądze. Ahn wysiadł z samochodu, wszedł do hotelowego lobby i zadzwonił – ale do Adriana. Adrian, który również był już w Portugalii, powiedział mu, żeby wypłacił pieniądze z bankomatu i jak najszybciej wyjechał z kraju.

Ahn wrócił do taksówki i poprosił o podwiezienie do bankomatu, gdzie wypłacił pieniądze z własnego konta. Rachunek wyniósł ponad osiemset euro, do czego Ahn dodał jeszcze sowity napiwek. Kiedy kierowca dostał pieniądze, odetchnął z ulgą. Powiedział, że obawiał się, iż pasażerowie uciekną, nie płacąc.

– Myślałem, że jesteście pomyleni – dodał.

Ahn odebrał wiadomość, że pozostali członkowie zespołu bezpiecznie opuścili Hiszpanię i są w drodze do Stanów Zjednoczonych. Mijała właśnie dwudziesta czwarta godzina jego pobytu w Europie. Teraz musiał zdążyć na poniedziałkowe

spotkanie z inwestorem zainteresowanym jego firmą. Podróż z dwiema przesiadkami była wyczerpująca – trwała osiemnaście godzin.

Kiedy wreszcie dotarł do domu, żona spojrzała na niego i spytała:

– Co się stało z twoją brodą?

Od razu po wylądowaniu w Nowym Jorku Adrian zarezerwował pokoje w hotelu dla swoich ludzi.

Po wydostaniu się z Hiszpanii cała ekipa poczuła wielką ulgę. Adrian wiedział jednak, że wciąż nie są bezpieczni. Żeby załagodzić sytuację, napisał anonimowy list do hiszpańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w którym wyjaśniał, że jego grupa została zaproszona do ambasady, by pomóc w ucieczce jednemu z jej pracowników, który jednak w ostatniej chwili zmienił zdanie.

Skontaktował się również z ludźmi z FBI, których poznał podczas swojego pobytu w Libii. Od razu zgodzili się na spotkanie. Podczas pierwszej rozmowy opowiedział im dokładnie, co wydarzyło się w Hiszpanii. Wierzył, że jeśli będzie z nimi szczery, a jego koledzy zostaną zidentyfikowani przez hiszpańskie władze, FBI będzie ich chronić. Wciąż jednak miał nadzieję, że nikt nie zostanie rozpoznany.

Agenci słuchający tej nieprawdopodobnej historii nie potrafili się powstrzymać od wymiany zdumionych spojrzeń. Byli pod wrażeniem śmiałego planu Cheollimy. Gdy Adrian powiedział im o zdobytych w ambasadzie tajnych materiałach, spytali od razu, czy mogliby dostać dokumenty i dyski. Prawdę mówiąc, Adrian nie wiedział, co na nich jest, ponieważ były zabezpieczone szyfrem, którego jego ludzie nie potrafili złamać.

Podczas następnego spotkania Adrian zgodził się udostępnić im wszystkie materiały na dwa tygodnie. Potem mieli zwrócić oryginalne dokumenty do jego biura w Nowym Jorku. Agenci zgodzili się zachować w tajemnicy istnienie materiałów oraz spotkania z Adrianem. Chcieli jednak poznać nazwiska innych uczestników akcji i porozmawiać również z nimi. Adrian odmówił podania nazwisk, ale obiecał, że namówi na spotkanie jednego z kolegów. Niektórzy członkowie Cheollimy, którzy wrócili z Madrytu, wylecieli do Korei Południowej wkrótce po przybyciu do Nowego Jorku. Na razie wiadomość o operacji nie przedostała się do opinii publicznej.

Dopiero w środę 27 lutego hiszpańska gazeta „El Confidencial" opisała sensacyjną historię tajemniczej grupy, która przed kilkoma dniami opanowała ambasadę Korei Północnej. Autor artykułu powołujący się na anonimowe źródła w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych ujawnił, że rozpoczęto śledztwo w sprawie napadu. Niewiele było tam szczegółów, ale te, które podano, były szokujące: ranna, zakrwawiona kobieta, która uciekła z ambasady, i elegancko ubrany Koreańczyk, który otworzył furtkę i zapewniał, że nic się tam nie dzieje. Dopiero po kilku godzinach – pisał dziennikarz – policja ustaliła, że ambasada faktycznie została zajęta przez grupę nieznanych mężczyzn, którzy podobno bili zakładników.

Jeśli chodzi o rzekome rany, wszyscy pracownicy zostali zbadani na miejscu i żaden z nich nie trafił do szpitala. Hiszpański dziennikarz, z którym rozmawiałem, powiedział, że nie zrobiono im żadnych zdjęć. Członkowie Cheollimy, w tym Adrian i Ahn, uważają, że zakładnicy pobili się nawzajem, by stworzyć wrażenie, że byli ofiarami przemocy, nie tyle z myślą o hiszpańskiej policji, ile raczej o ich północnokoreańskich zwierzchnikach, których chcieli przekonać, że stawiali opór napastnikom i że w ogóle nie było mowy o ucieczce.

Po powrocie do Kalifornii Ahn próbował zapomnieć o Hiszpanii i zająć się swoim start-upem, jednak konsekwencje nieudanej akcji wkrótce go dopadły.

Tydzień po zajęciu ambasady zadzwonił do niego Adrian, który wybierał się do Los Angeles, gdzie obaj mieszkali, i chciał się z nim spotkać. Ahn odebrał go z lotniska. W drodze do miasta rozmawiali o tamtych wydarzeniach. Obaj byli przygnębieni tym, że przeoczyli siódmą mieszkankę ambasady.

Adrian powiedział Ahnowi, że jego rozmowy z FBI poszły całkiem nieźle. Agenci byli pod wrażeniem akcji Cheollimy, ale chcieli znać nazwiska wszystkich jej uczestników. Adrian odmówił, lecz oni chcieli porozmawiać z co najmniej jednym członkiem zespołu, żeby uzyskać potwierdzenie wersji wydarzeń, którą usłyszeli. Ahn zgodził się wystąpić w tej roli.

Kilka dni później Adrian zadzwonił do niego z informacją, że FBI jest gotowe na spotkanie. Ponieważ jego żona była w pracy, Ahn zaprosił agentów – tych samych, z którymi rozmawiał Adrian – do siebie do domu, gdzie poczęstował ich herbatą i ciasteczkami z orzechami makadamia i białą czekoladą, które właśnie upiekł. To było jego nowe hobby. Funkcjonariusze pytali o wszystkie szczegóły tamtego dnia w Madrycie i robili obszerne notatki.

Minęły dwa tygodnie i agenci zadzwonili do Ahna z niepokojącymi informacjami. Powiedzieli, że Adrianowi, jemu i innym uczestnikom operacji grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ahn, który był przekonany, że ich tożsamość nie została ujawniona, zapytał, jak to możliwe. Nie odpowiedzieli na to pytanie, ale on odniósł wrażenie, że gdzieś wyciekły ich nazwiska.

Adrian i jego koledzy nie zdawali sobie sprawy z tego, jak zły moment wybrali na swoją akcję. Donald Trump szykował się właśnie do drugiego spotkania z Kim Dzong Unem w Hanoi

i media huczały od spekulacji na temat odwilży w stosunkach między Stanami Zjednoczonymi a Koreą Północną, która stanie się możliwa dzięki niekonwencjonalnemu stylowi dyplomacji amerykańskiego prezydenta.

W tej sytuacji administracja Trumpa z pewnością nie chciała, by ktokolwiek pomyślał, że popiera ona – nawet skrycie – tak śmiałe i prowokacyjne przedsięwzięcie grupy przestępców dowodzonej przez posiadacza amerykańskiej zielonej karty. Doradcy do spraw bezpieczeństwa w Białym Domu uważali wprawdzie, że nadzieje na jakikolwiek układ z Koreą Północną są mrzonką, ale Trump był przekonany, że dzięki swoim talentom biznesowym i negocjacyjnym poradzi sobie z „rakietowym człowieczkiem".

Zbieżność czasowa była faktycznie niezwykła. Kiedy ekipa Obrony Cywilnej Cheollima wracała do Nowego Jorku, część amerykańskiej delegacji leciała właśnie do Hanoi. Można było odnieść wrażenie, że napad na ambasadę w Hiszpanii był zaplanowany jako element presji na Koreę Północną albo, co gorsza, został zorganizowany przez amerykańskie służby przeciwne pokojowym inicjatywom Trumpa.

Synchroniczność ta okazałaby się jeszcze bardziej sensacyjna, gdyby wyszło na jaw, że kilka lat wcześniej Adrian spotkał się z Johnem Boltonem, doradcą Trumpa do spraw bezpieczeństwa, który wyraził uznanie dla jego śmiałych pomysłów na obalenie reżimu Kima.

O dziwo jednak kwestia wydarzeń w Madrycie nie wypłynęła w czasie rozmów. Nikt z północnokoreańskiej delegacji o nich nie wspomniał. „Martwiliśmy się, że ta historia wszystko popsuje – opowiadał później jeden z Amerykanów biorących udział w spotkaniu. – To była wielka niewiadoma".

Adrian nie zdawał sobie sprawy z tego, że amerykańskie służby otrzymały niejawną dyrektywę w sprawie Cheollimy.

Gdy agenci, którzy z nim rozmawiali, przekazali swoim przełożonym całą historię, usłyszeli kategoryczny komunikat: Ci ludzie działają na własną rękę, a my nie możemy ich w żaden sposób ochraniać. W tym momencie biuro dysponowało już dokumentami wykradzionymi z ambasady i przekazało je służbom wywiadowczym. FBI wypięło się na Adriana i Cheollimę, ale nie mogło go o tym poinformować.

W Hanoi, w hotelu Metropole, Trump spotkał się po raz drugi z Kim Dzong Unem, by spróbować dokonać jakiegoś postępu na drodze do denuklearyzacji Korei Północnej w zamian za zniesienie sankcji. Tym razem jednak już na samym początku stało się oczywiste, że rozmowy utknęły w martwym punkcie. Dwaj przywódcy siedzący na klimatyzowanym oszklonym patio hotelu byli sobą coraz bardziej zirytowani. Kim Jo Dzong, siostra Kima, stała nieporuszona na zewnątrz w wilgotnym powietrzu upalnego poranka.

Następnego dnia o jedenastej, podczas spotkania w szerszym gronie, próbowali przywrócić rozmowom historyczny wymiar. Trump zaproponował nawet Kimowi, że podrzuci go do Korei samolotem Air Force One, ale ten zachichotał tylko i odmówił, co miało silną wymowę symboliczną. Kim wciąż podkreślał, jak bardzo ustąpił, godząc się na zamknięcie ośrodka badań jądrowych w Yongbyeon, ale ten pojedynczy gest nie przekonał Amerykanów do zniesienia sankcji. Pod wpływem Johna Boltona i innych doradców Trump domagał się od Korei Północnej deklaracji o pełnym demontażu broni atomowej.

Kiedy stało się jasne, że tym razem nie uda się dojść do zadowalającego obie strony porozumienia, amerykańska delegacja próbowała robić wrażenie, że mimo wszystko poczyniono jakiś postęp. W rzeczywistości jednak północnokoreański gambit Trumpa nie zadziałał. Zdarzały się elektryzujące chwile, gdy wydawało się, że Kim przystanie na którąś z zaimprowizowanych i zdaniem doradców do spraw bezpieczeństwa lekkomyślnych ofert Trumpa, ale powstrzymywany przez własnych, bojowo usposobionych ekspertów, wycofywał się, licząc na coś więcej. Był przekonany, że Trump potrzebuje tego porozumienia, by dopisać je do swojego politycznego dorobku, i zgodzi się na wersję korzystniejszą dla Korei Północnej.

Nie minął miesiąc i reżim wznowił testy rakietowe. Sytuacja wróciła do punktu wyjścia i nie było widać żadnych oznak postępu. Była to ostatnia porażka Stanów Zjednoczonych w relacjach z tym krajem – dziesięciu poprzednich amerykańskich prezydentów również nie potrafiło powstrzymać rozwoju niespodziewanie potężnego pustelniczego królestwa, które stało się zagrożeniem dla światowych mocarstw.

Gdy wiadomości o madryckiej operacji zaczęły pojawiać się w hiszpańskich gazetach, temat ten podjęły również światowe media. W tej historii było coś dziwnego. Z jednej strony wyglądało to na akcję doborowej grupy agentów jakiejś służby wywiadowczej, która wtargnęła do obcej ambasady, by wykraść tajne materiały. Z drugiej trudno jednak było w to uwierzyć. Dlaczego napastnicy działali tak nieporadnie? Czyżby byli amatorami?

Żeby wpłynąć na sposób relacjonowania tych zdarzeń, Adrian postanowił umieścić na stronie Obrony Cywilnej Cheollima oświadczenie, w którym organizacja przyznawała się do tej akcji. Nie podał jednak jej szczegółów.

25 lutego na stronie pojawiła się informacja: „Nasza organizacja została poproszona o pomoc przez towarzyszy z pewnego zachodniego państwa. Zadanie było bardzo ryzykowne, ale podjęliśmy się go".

Kilka dni później dodano tajemniczą wiadomość przeznaczoną dla dyplomaty z Madrytu: „Jeśli dotrzymasz danego nam słowa, nie masz się czym martwić". Miało to znaczyć, że po pierwsze, wybaczają mu wycofanie się z planu ucieczki, którą sam zainicjował, po drugie zaś zapewniają, że zatają informację o jego roli w tych wydarzeniach.

Niedługo później tajna organizacja Adriana zdecydowała się na śmiały krok – ujawnienie siebie i swojej misji. 1 marca, w rocznicę protestu Koreańczyków domagających się w 1919 roku uwolnienia od japońskiego jarzma, Cheollima przedstawiła się jako ruch Free Joseon – od nazwy dynastii, która rządziła Koreą przez ponad pięćset lat. Komunikat ten zawierał górnolotną deklarację misji oraz wideo przedstawiające kobietę przemawiającą w parku Tapgol w Seulu, gdzie sto lat wcześniej zaczęły się protesty. Obrona Cywilna Cheollima, podziemna organizacja zrzeszająca skłonnych do ryzyka akty-

wistów, przekształciła się w ruch Free Joseon – samozwańczych inicjatorów rewolucji przeciwko reżimowi Kima.

Cheollima, podobnie jak Instytut Joseon, była ciałem niemalże apolitycznym – grupą wolontariuszy pomagającym ludziom, którzy znaleźli się w potrzebie. Ale Free Joseon było ostatnim stadium radykalnej ewolucji Adriana. Nie była to już tylko grupka nawołująca do zmian, lecz organizacja przedstawiająca się jako legalny rząd Korei Północnej.

Planował ten krok jeszcze przed nieudaną misją w Madrycie, ale teraz, gdy światowe media zainteresowały się jego grupą, miał on zupełnie inny wydźwięk. Na adresy mejlowe zarejestrowane w serwisie ProtonMail, do tej pory wykorzystywane do kontaktów z potencjalnymi uciekinierami i wolontariuszami, zaczęły napływać prośby o wywiad.

Adrian i jego koledzy pracowali nad tym aktem od miesięcy, czerpiąc inspirację z wezwań do walki oraz deklaracji niepodległości najrozmaitszych krajów świata. Znalazł się tam nawet cytat z chińskiego hymnu państwowego i kilka niebezpiecznie górnolotnych fragmentów:

> Dziś słyszymy jednocześnie wezwania naszych przodków i naszych potomków. Duchy proszą, byśmy nie czekali dłużej. Czyż nie zasługujemy na radość, godność, wykształcenie, zdrowie i bezpieczeństwo? My również uznaliśmy, że wolność jest należnym nam darem. Dlatego bierzemy w nasze ręce własny los i własne powinności.

Miał to być tekst inspirujący i możliwy do przyjęcia przez szerokie spektrum odbiorców: mieszkańców Korei Północnej, wspierających ich Europejczyków, ludzi z lewej i prawej strony sceny politycznej. Do każdej z tych grup skierowano osobne komunikaty.

Koreańczyków z Północy wzywano do „rzucenia wyzwania ich ciemięzcom”, a koreańską diasporę – do „dołączenia do rewolucji”. Tym, którzy będą dalej legitymizować i wspierać reżim, przypominano: „historia zapamięta, gdzie stanęliście w chwili, gdy zaoferowano wam ten wybór”.

Jeśli chodzi o sprawy praktyczne, deklaracja zawierała oświadczenie o utworzeniu „tymczasowego rządu na uchodźstwie” – był to pomysł zapożyczony przez Adriana od ojca jego kolegi Usamy Abu Szakura i rewolucjonistów występujących przeciwko Kaddafiemu. „Ogłaszamy, że ten podmiot jest jedyną legalną reprezentacją Koreańczyków z Północy”. W całej historii Korei Północnej nie zdarzyło się, by jakakolwiek grupa dążąca do wyzwolenia kraju podeszła do sprawy w ten sposób. Koncepcja rządu tymczasowego miała również prowokacyjny wydźwięk dla Korei Południowej, której władze uważały, że obie Koree powinny zostać zjednoczone w ramach jednego państwa.

11 marca na ścianie ambasady Korei Północnej w Kuala Lumpur pojawiły się wymalowany farbą w sprayu napis „Uwolnić Koreę Północną… Nadchodzimy!” oraz logo Free Joseon. Organizacja odnotowała na swojej stronie ten śmiały gest, dodając: „Teraz, gdy milcząc, tęsknimy do wolności, jesteśmy samotni – ale gdy okażemy odwagę, wszyscy się spotkamy”. W artykułach prasowych nie wspominano o tym, że flaga Korei Północnej zniknęła z ambasady i została zastąpiona flagą Free Joseon, co świadczyło o tym, że organizacja miała zwolenników nawet wśród personelu dyplomatycznego.

Adrian, zainspirowany ogólnoświatową fascynacją kryptowalutami, uruchomił nową strategię pozyskiwania funduszy, nad którą grupa pracowała przez kilka miesięcy. Uznali, że organizacje takie jak Free Joseon mogą skorzystać na anonimowości transakcji dokonywanych w tej nowej walucie. W marcu

zaoferowali „postwyzwoleniowe blockchainowe wizy G" gwarantujące każdemu ich posiadaczowi wjazd do państwa Free Joseon, które powstanie po upadku Korei Północnej. W ogłoszeniu tym znalazła się nawet wyglądająca na autentyczną fotografia wizy wydanej przez Rząd Tymczasowy Wolnego Państwa Joseon. Nie był to wielki sukces – pozyskali kryptowaluty warte jedynie około trzydziestu tysięcy dolarów.

Po rozmowach Adriana z biznesmenami, którym proponował wykupienie zezwolenia na działalność w przyszłym wyzwolonym państwie, wprowadzono zasadę, że każdy, kto ubiega się o pozwolenie na „prowadzenie działalności komercyjnej'', musi skontaktować się z organizacją przez jej szyfrowaną skrzynkę pocztową. „Posiadanie jednej lub kilku wiz G należy traktować jako wsparcie dla naszego ruchu i nie można używać ich do celów spekulacyjnych czy inwestycyjnych" – napisano na stronie Free Joseon.

Tak się złożyło, że w tym czasie korespondowałem z Adrianem w sprawie akcji w Hiszpanii. Byłem ciekaw, czy domyśla się, kto mógł za nią stać. Wydawało mi się, że temat nadaje się na artykuł w „The Wall Street Journal". Odpowiedział mi serią krótkich wiadomości, z których wynikało, że nic na ten temat nie wie. Wtedy jeszcze miał nadzieję, że dzięki pomocy amerykańskich służb jej uczestnicy pozostaną anonimowi. Wprawdzie nie obiecano mu tego wprost, ale wierzył, że władze rozumieją ich dobre intencje.

Adrian, podobnie jak inni członkowie organizacji przedstawiającej się teraz jako Free Joseon, nie wiedział, że hiszpańskie władze zdołały zrobić coś, co nie udało się dziennikarzom światowych mediów – zidentyfikować większość osób uczestniczących w madryckiej misji i przesłuchać północnokoreańskich dyplomatów, którzy twierdzili, że byli bici i zastraszani

przez napastników. Seo, najwyższy rangą z nich wszystkich, zeznał kilka dni później, że mężczyźni, którzy napadli na ambasadę, chcieli zmusić go do ucieczki, tłumacząc mu, że rząd Korei Północnej lada chwila upadnie.

Kiedy Seo pojawił się na przesłuchaniu, miał na twarzy wielkiego siniaka. Powiedział policjantom, że jeden z intruzów uderzył go kolbą pistoletu atrapy (Ahn i jego koledzy, z którymi później rozmawiałem, kategorycznie twierdzili, że w ambasadzie nie doszło do żadnych aktów przemocy). Co ciekawe, hiszpańskie władze nie wspomniały w swoim raporcie o zniszczeniu portretów północnokoreańskich przywódców. Seo i pozostali pracownicy zaprzeczali, by stało się z nimi coś złego.

Hiszpańska policja nazwała śledztwo Operacją Nollam – to ostatnie słowo znaczy po koreańsku „niespodzianka". Tym, co pomogło w szybkim ustaleniu listy napastników, był fakt, że podróżowali oni pod prawdziwymi nazwiskami, a we wszystkich transakcjach posługiwali się rzadko używanymi w Hiszpanii kartami American Express – więc natychmiast rzucały się one w oczy.

Pod koniec marca hiszpański sąd zdjął klauzulę tajności z tej sprawy i ujawnił nazwiska sprawców oraz pewien szokujący szczegół: FBI *od samego początku* współpracowało z Hiszpanami i poinformowało ich, że Adrian przekazał mu materiały zdobyte w ambasadzie.

Gdy nazwisko Adriana dostało się do wiadomości publicznej, na jego telefon zaczęły napływać niezliczone wiadomości. Wszyscy jego dawni znajomi – ze studiów, z czasów działalności w LiNK-u, z innych organizacji non profit, ze wspólnot kościelnych i świata polityki – chcieli wiedzieć, czy naprawdę wtargnął do ambasady Korei Północnej w Madrycie. Dla wielu z nich brzmiało to zbyt szaleńczo, by mogli w to uwierzyć. Na większość wiadomości nie odpowiadał, ale porozmawiał

z byłym przedstawicielem amerykańskiej administracji, który poradził mu, by czym prędzej znalazł sobie adwokata.

Niedługo później Sue Mi Terry, była agentka CIA, później pracownica naukowa w Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych w Waszyngtonie, poznała go z Lee Woloskym, prawnikiem pracującym kiedyś dla rządu, który podczas prezydentury Donalda Trumpa rozpoczął prywatną praktykę. Nawet jeśli Terry uznała, że Adrian przesadził nieco ze swoją akcją jak z filmu szpiegowskiego, polubiła go. Była kiedyś *prawdziwym* oficerem wywiadu i zajmowała się Koreą Północną, więc jego działalność musiała jej się wydać tym bardziej niemądra. Znała go od lat i słuchając jego niezwykłych opowieści, często miała wrażenie, że on po prostu zmyśla – a w każdym razie mocno przesadza.

„Czasem irytował mnie tą swoją obsesją tajności – opowiadała. – Domagał się, by wkładać telefony do specjalnej torby wygłuszającej sygnały. Jak w *Ultimatum Bourne'a*. Daj spokój, mówiłam. Pracowałam w CIA".

Jednocześnie jednak była nim zafascynowana. Wszystkie pieniądze, jakie zarabiał w swojej firmie konsultingowej, przeznaczał na działalność organizacji. „On nie jest normalnym facetem, któremu do szczęścia wystarczają proste rzeczy" – mówiła.

Kiedy przyszedł do niej w lutym 2019 roku po nieudanej akcji w Hiszpanii, od razu zrozumiała, że opowiada prawdziwą historię. Kiedy usłyszała szczegóły, wiedziała już, że Adrian potrzebuje prawnika, który pomoże mu wytłumaczyć się przed amerykańskimi władzami. Wolosky'ego znała z czasów, gdy pracowała dla rządu, więc odezwała się do niego, by umówić spotkanie.

Wolosky miał spore doświadczenie w głośnych i drażliwych sprawach związanych z bezpieczeństwem narodowym. Za cza-

sów prezydentury Baracka Obamy był specjalnym wysłannikiem zajmującym się zamknięciem obozu w Guantanámo. Zapoznawszy się z trudną sytuacją Adriana, idealisty, który próbując walczyć z tyrańskim reżimem systematycznie znęcającym się nad obywatelami, naruszył hiszpańskie prawo, Wolosky zgodził się zająć tą sprawą pro bono.

Po powrocie do Los Angeles Adrian i Ahn zdali sobie sprawę, że ich nowa organizacja Free Joseon znalazła się w tarapatach. W doniesieniach medialnych wciąż pojawiała się kwestia rzekomej przemocy. Hiszpańskie władze nie przyjęły do wiadomości, przynajmniej oficjalnie, wersji, że to sam Seo poprosił o pomoc w ucieczce, a organizacja nie mogła tego rozgłaszać, by nie narazić go, jego żony, syna i dalszej rodziny na wielkie niebezpieczeństwo. Smutne było również to, że musieli zrezygnować z wypożyczalni hulajnóg elektrycznych w Dubaju – żaden inwestor nie zechce zaangażować się w projekt prowadzony przez ludzi, których nazwiska są kojarzone z tego rodzaju międzynarodowym incydentem.

Hiszpańskie służby nie dopatrzyły się niczego znaczącego w tym, że po złożeniu zeznań przez personel ambasady wszystkich jego członków – za wyjątkiem Seo – wezwano do kraju. Nie wiadomo, czy żonie i synowi Seo pozwolono zostać razem z nim.

Tymczasem fotografowie i dziennikarze dobijali się do drzwi mieszkania Adriana w Los Angeles. On sam bał się, że jego żona i maleńkie dziecko zostaną zidentyfikowani i wzięci na cel przez północnokoreańskich zabójców. Ahn, kiedy dowiedział się od FBI, że sam stał się ich celem, zaczął nosić ze sobą pistolet, na który miał pozwolenie.

Pewnego dnia Adrian zadzwonił do Ahna, by powiedzieć mu, że zmienia mieszkanie – chciał ukryć się przed prasą

i wszystkimi, którzy mogliby go szukać. Ahn zaproponował mu pomoc w przeprowadzce. Przez lata ich znajomości Adrian trzymał Ahna na dystans, mimo że wykonywał on dla Cheollimy coraz bardziej ryzykowne zadania. Teraz jednak, gdy pakowali razem książki i dziecięce zabawki, poczuł, że ich przyjaźń zyskuje nowy wymiar.

Adrian powiedział Ahnowi, że ze względów bezpieczeństwa zamówił kilka kamer.

– Chcesz jedną? – spytał.

Ahn, który myślał, że chodzi o coś w rodzaju wideodomofonu, powiedział, że owszem. Kiedy następnego dnia odebrał ze sklepu paczkę z kamerami, zdał sobie sprawę, że był to bardzo drogi i profesjonalny sprzęt – zupełnie nie tego się spodziewał. Powiedział więc Adrianowi, że na razie idzie do fryzjera, a potem podwiezie mu pakunek do domu w dzielnicy koreańskiej.

Kiedy jednak otworzył drzwi od jego mieszkania kluczem, który od niego dostał, zastał w środku grupę krzepkich mężczyzn.

– Kim wy, kurwa, jesteście?! – krzyknął.

Tamci poderwali się na nogi i wyciągnęli pistolety.

– A kim *ty*, kurwa, jesteś?! – spytali.

Przedstawili się jako funkcjonariusze policji federalnej i zapytali, jak się nazywa. Gdy się przedstawił, mężczyźni wymienili spojrzenia – byli zdziwieni, że człowiek, którego szukali, przyszedł do nich sam. Ahn został aresztowany na podstawie wysłanego z Hiszpanii żądania ekstradycji.

W drodze na komisariat i potem, podczas trwających kilka godzin procedur, Ahn zachował spokój. Było piątkowe popołudnie, ale był pewien, że gdy tylko nieporozumienie się wyjaśni, zostanie uwolniony. W rozmowach z Adrianem nigdy nie pomyśleli nawet, że mogą zostać aresztowani w Stanach Zjednoczonych.

„Wciąż powtarzałem: »Proszę, niech ktoś zadzwoni do FBI lub Departamentu Stanu, by to wyjaśnić. Najwyraźniej doszło do jakiejś pomyłki« – wspominał Ahn. – Byłem pewien, że wrócę do domu na kolację”.

Po kilku godzinach przesłuchań trafił jednak do aresztu metropolitalnego Los Angeles. Wieczorem spotkał się wreszcie z obrońcą z urzędu, który przekazał mu przykrą wiadomość, że spędzi w areszcie cały weekend. „Byłem w szoku – opowiadał później. – Wtedy pierwszy raz pomyślałem, że to jest jednak poważna sprawa”.

Dopiero rano następnego dnia mógł zadzwonić do żony. Grace, pracująca jako nauczycielka w biednej dzielnicy Los Angeles, umiała zachowywać spokój i trzymać emocje na wodzy. Dlatego poprzedniego dnia spokojnie zniosła rozmowy z funkcjonariuszami biura szeryfa i adwokatem męża. Ale kiedy Ahn wreszcie zadzwonił, rozsypała się. Stres i strach wydostały się na powierzchnię.

– Chcę, żebyś wrócił do domu – powiedziała.

17 Więzienne kimchi

> Mówi się, że nie da się poznać kraju, dopóki nie trafi się do tamtejszego więzienia. Narodu nie można oceniać na podstawie tego, jak traktuje on swoich najwyżej postawionych obywateli. Trzeba przyjrzeć się temu, jak traktuje tych, którzy są na samym dole.
>
> Nelson Mandela

Los Angeles, kwiecień 2019

Kiedy więźniowie podreptali do stołów, żeby zjeść kolejny smutny obiad, Christopher Ahn wypatrzył swoją zdobycz – surówkę coleslaw.

Wiedział już, że w więzieniu istnieją dwa kulinarne światy. W jednym jada się pogardzane przez wszystkich, a czasem po prostu nieświeże potrawy serwowane w stołówce. W drugim więźniowie tworzą pomysłowe mieszanki ze składników wykradzionych podczas posiłków lub jedzą przekąski i potrawy pochodzące spoza więzienia. Meksykanie przygotowują sobie na przykład skromne pozole – tradycyjną potrawę z moczonych przez kilka dni ziaren kukurydzy i podkradanej w stołówce wieprzowiny oraz rozmaitych przypraw i sosów pozyskiwanych z innych gotowych dań. Wszystko to, poczynając od naczyń kuchennych po same kulinarne procedury – na przykład gotowanie zamkniętych próżniowo potraw w koszu na śmieci – wymagało wielkiej wyobraźni i sprytnego wykorzystywania każdej rzeczy dostępnej w niewielkim zamkniętym świecie, jakim był Pod 6 West, jeden z bloków aresztu metropolitalnego Los Angeles.

Większość przepisów na te potrawy jest przekazywana kolejnym pokoleniom osadzonych jako element więziennej tradycji. Ahn, zamknięty w ponurym gmachu wzniesionym w centrum miasta w latach osiemdziesiątych, zatęsknił za kimchi, tradycyjnym daniem z marynowanej kapusty obecnym w każdej koreańskiej kuchni. Jak dotąd niewielkiej grupie pochodzących z Azji więźniów nie udało się wymyślić sposobu na jego przygotowanie. Jednak Ahn się nie zniechęcał. Często robił kimchi u siebie w domu. Potrzebował tylko zwykłych warzyw, octu, cukru i czasu.

Czasu miał sporo. Kilka tygodni wcześniej, kiedy został aresztowany, był pewien, że zostanie uwolniony w ciągu następnych godzin, a w najgorszym wypadku po kilku dniach. Gdy po pierwszej nocy, którą tu spędził, spotkał się z urzędnikiem sądowym, spytał, o co dokładnie jest oskarżony. Zagubiony w dokumentach urzędnik pomylił się i odpowiedział, że za pomoc w ucieczce.

Ahn poczuł wielką ulgę. Był przekonany, że tę sprawę da się szybko wyjaśnić. Ale gdy kilka godzin później spotkał się z obrońcą z urzędu, dowiedział się, że jest oskarżony o wiele różnych przestępstw popełnionych w Hiszpanii, która domaga się jego ekstradycji. Serce mu zamarło, gdy dowiedział się, że to FBI pomogło ustalić Hiszpanom, że brał udział w tej operacji. Zrozumiał wtedy, jak głupio postąpił, zapraszając do siebie agentów i częstując ich naiwnie ciasteczkami i herbatą. Powinien był spotkać się z nimi w obecności prawnika. Liczył na to, że pomoże im w poznaniu prawdy, a tymczasem pogrążył sam siebie.

Przed wyruszeniem do Madrytu ustalili z Adrianem, że muszą zadbać o to, by nic nie przeszkodziło im w powrocie do domu i normalnego życia. Ale kilka dni przed aresztowaniem powiedział mu i innym członkom organizacji, że czuje się źle

z tym, że Adrian bierze na siebie całą odpowiedzialność za wydarzenia w Madrycie. Jeden z kolegów odparł, by się tym nie martwił.

– W zasadzie nie brałeś w tym udziału – stwierdził. – Pojawiłeś się w ostatniej chwili.

Teraz jednak wyglądało na to, że to Ahn ponosi konsekwencje całej akcji. To było dziwne, wręcz absurdalne. „Przez chwilę nie wiedziałem, czy to się dzieje naprawdę – wspominał później. – A potem zrozumiałem, że spełnia się mój najgorszy koszmar".

Mijały tygodnie i Ahn tracił poczucie czasu – minuty wydawały się godzinami, ale wciąż nie było widać żadnego wyjścia z sytuacji. Był w Iraku, więc widział w swoim życiu rzeczy przerażające, ale brakowało mu bezwzględności i sprytu, które, jak się okazało, były potrzebne do przetrwania w amerykańskim więzieniu. „System więzienny jest wymyślony tak, by przypominać ci, że jesteś nikim – opowiadał. – Jeśli chodzi o twoje bezpieczeństwo, możesz liczyć tylko na siebie i kilku kolegów, których uda ci się znaleźć w tej społeczności".

Do tej pory Ahn nie miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, jeśli pominąć wezwanie do sądu, gdy jako student odmówił przyjęcia mandatu za niezapięte pasy. Wtedy skończyło się na niewielkiej grzywnie.

Pod tym względem nie różnił się od innych działaczy Cheollimy – a teraz Free Joseon. Ci, którzy wzięli udział w akcji w Madrycie, wykazali się odwagą, ale przez całe swoje życie chcieli być prawomyślnymi obywatelami troszczącymi się o własne kariery. Nie byli ani najemnikami, ani bandytami. Potrafili przestrzegać zasad. Byli jednak naiwni, ponieważ uwierzyli, że amerykańskie władze zaaprobują to, co zrobili, ponieważ było to coś, co należało zrobić. To, co zdarzyło się później, nadwątliło ich idealizm.

Pod 6 West był podobno najsympatyczniejszym blokiem więziennym w całym Los Angeles. Mimo to dla Ahna pobyt w tym miejscu był tak „straszny i dehumanizujący”, że postanowił – gdy wydobędzie się już z kłopotów – poświęcić się pracy na rzecz reformy wymiaru sprawiedliwości. „Więźniowie, których poznałem, byli na ogół porządnymi ludźmi, którzy pobłądzili, ale wszyscy byli traktowani w nieludzki sposób – wspominał. – Wolałbym znowu znaleźć się w Faludży, nawet w tych najgorszych dniach, niż w więzieniu”.

Jednym z pierwszych szokujących elementów więziennej rzeczywistości była panująca wśród osadzonych bezwzględna hierarchia rasowa, w której Azjaci byli często umieszczani na samym dole. Teoretycznie władzę sprawowali tu strażnicy, jednak sprawy relacji wewnętrznych w tej społeczności pozostawiali w gestii gangów. Wychodząc z celi, Ahn za każdym razem przybierał nieodgadnioną minę pokerzysty. Napięcie wywołane podziałami rasowymi i rywalizacją między gangami było tak wielkie, że każdy drobiazg, taki jak choćby nieprzyjazne spojrzenie, mógł doprowadzić do wybuchu przemocy.

Na szczęście w bloku, do którego trafił, pojawił się niedawno szanowany azjatycki „autorytet”, który już wcześniej wykazał się umiejętnościami negocjacyjnymi, a ostatnio zyskał wielkie uznanie, gdy pobił czarnego więźnia próbującego wymuszać haracz od Azjatów. Dzięki niemu w tej części zakładu karnego pozycja mniejszości azjatyckiej była całkiem niezła.

Na początku Ahna przydzielano tam, gdzie akurat było wolne łóżko. Wkrótce jednak trafił do celi, którą dzielił z PK – starszym Koreańczykiem oskarżonym o oszustwo. Mężczyzna ten, na szczęście dla niego, nie miał skłonności do przemocy ani nie uczestniczył w więziennej polityce. Zaprzyjaźnili się i uczynili ze swojej celi ustronie, w którym wieczorami słuchali koreańskiego radia nadającego wywiady, narodową muzykę i ko-

mentarze na temat występów baseballowej drużyny Dodgersów. Te przyjemne rozrywki pomagały im zapomnieć, gdzie się znajdują. „U nas panowała zupełnie inna atmosfera – opowiadał Ahn. – Na zewnątrz były gangi i całe to szaleństwo”.

Grace odwiedzała go co tydzień, czasem zabierając ze sobą jego mamę. Zaczęła też wysyłać mu książki. Kilka lat wcześniej czytała głośną powieść *Życie Pi*, zapisując na marginesach swoje odczucia podczas lektury. Kiedy Ahn czytał w więzieniu ten egzemplarz, był bardzo wzruszony. Potem jednocześnie czytali *5 języków miłości* i wymieniali się mejlowo wrażeniami.

Ahn czytał też książki z więziennej biblioteki. Znalazł wśród nich powieść, która nieoczekiwanie bardzo go poruszyła. Była to historia angielskiej babci szukającej sensu życia, po tym jak jej dzieci opuściły ją, by zająć się własnymi sprawami i własnymi dziećmi.

„To była typowo kobieca literatura, radykalnie różna od świata, w którym się znalazłem – mówił. – Czytając ją, poczułem się tak, jakbym siedział z żoną na kanapie i oglądał na Hallmarku jakiś okropny film, który wybrała”.

Pewnego dnia, gdy poczuł się kompletnie samotny i załamany, odezwał się głośno sam do siebie:

– Jak ja tu trafiłem? Nie powinienem tu być.

Nie winił nikogo za sytuację, w której się znalazł, ale wciąż nie mógł uwierzyć, że ich hiszpańska operacja mogła zostać tak opacznie zrozumiana. Jego kolega z celi powiedział mu, że nie powinien myśleć w taki sposób.

– Jeśli będziesz sobie zadawał takie pytania, zwariujesz.

Powiedział to rzeczowym, spokojnym tonem, i to pomogło Ahnowi wziąć się w garść.

Mijały dni i Ahn zaczynał przyswajać więzienną wiedzę i tamtejsze normy kulturowe. Dowiedział się na przykład, że plucie do zlewu jest uznawane za barbarzyństwo. Z tajemni-

czych powodów, kiedy myło się zęby, jedynym miejscem, do którego można było wypluć resztki pasty, był sedes. Nauczył się też, jak zrobić z koca linę podtrzymującą prowizoryczną półkę na książki. Grace i jego brat Daniel wysyłali mu coraz więcej popularnych książek i komiksów, w tym jego własne tomy z sagi *Gra o tron*. To one pomogły mu nawiązać zaskakująco dobre relacje ze współwięźniami – również z członkami gangów Bloods i Crips. Będący postrachem całego więzienia szef Bloodsów całymi dniami rozmawiał o nich obsesyjnie z Ahnem, który pomagał w językowych problemach, jakie nowy kolega napotykał podczas lektury.

4 lipca 2019 roku Ahn został wciągnięty w więzienny spór. Strażnicy nagrodzili uczestników turnieju koszykówki torbą pełną smakołyków, takich jak snickersy i sos chili. „W prawdziwym świecie takie rzeczy można kupić na dowolnej stacji benzynowej, ale tutaj były one dobrami wyjątkowo cennymi” – opowiadał.

Pertraktując z szefem meksykańskiej mafii i przywódcą gangu Bloods (miłośnikiem *Gry o tron*), Ahn wynegocjował pokój – dwaj mężczyźni uważający, że mają prawo do całej zawartości torby, podzielili się nią dokładnie po połowie.

Ahn odkrył, że w więziennej społeczności – podobnie jak podczas pełnych napięcia akcji Cheollimy – jest potrzebny do wyciszania emocji i poszukiwania pokojowych rozwiązań. Dzięki talentom negocjacyjnym ujawnionym tamtego dnia pod koniec pobytu w więzieniu zaczął być uważany za nowego szefa azjatyckiej mniejszości w Pod 6 West.

Ahn i Grace pozostawali lojalni wobec jego pierwszej adwokatki Callie Steele, trzydziestoletniej doświadczonej prawniczki z Federalnego Biura Obrońców z Urzędu. Steele nie wiedziała wprawdzie zbyt wiele o Korei Północnej ani nie miała doświa-

dczenia w procedurach dotyczących ekstradycji, ale powiedziała Ahnowi, że wierzy w jego opowieść i będzie walczyć o zwolnienie go za kaucją.

Niedługo po jego aresztowaniu Lee Wolosky, prawnik Adriana Honga, skontaktował się z innym adwokatem z Los Angeles, prosząc o pomoc w znalezieniu osób, które zgodziłyby się bezpłatnie bronić Ahna. Wkrótce pojawiła się chętna – Naeun Rim, wykształcona w Harvardzie świetna prawniczka z firmy Bird Marella, wcześniej pracująca, podobnie jak Steele, w Federalnym Biurze Obrońców z Urzędu. Rim była zawalona bieżącymi sprawami, ale natychmiast zainteresowała się przypadkiem Christophera Ahna – podobnie jak Ekwan Rhow, inny prawnik koreańskiego pochodzenia z Bird Marella.

Rim, podobnie jak inni żyjący w Stanach Zjednoczonych Koreańczycy, czuła obowiązek angażowania się w sprawy dotyczące Korei Północnej. Tłumaczyła, że konflikt między dwoma koreańskimi państwami okropnie ją smuci. „Tak, Koreańczycy z Południa są mocno podzieleni, jeśli chodzi o sposób traktowania Korei Północnej, ale tym, co ich łączy, jest wspólny żal z powodu trwającego już blisko wiek rozdarcia kraju. Nasi rodacy z Północy, często jakoś z nami spokrewnieni, cierpią, a my nie mamy z nimi kontaktu. I nie istnieje żaden prosty i jasny sposób na zagojenie tej rany".

Rim rozumiała, że Ahn zdobył się na odwagę, by zrobić coś w sprawie „bolesnej historii" Półwyspu Koreańskiego, i że jest on w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem. „Czułam się osobiście odpowiedzialna za to, by pomóc Chrisowi" – powiedziała później.

Za zgodą Steele Rim i Rhow dołączyli do zespołu. Wspólnie zaczęli analizować szczegóły sprawy i przepisy prawne dotyczące ekstradycji. Wnioski, do jakich doszli, nie były optymistyczne. Kwestia ekstradycji między krajami sojuszniczymi

sprowadzała się w zasadzie do dwóch pytań: czy Stany Zjednoczone mają umowę o ekstradycji z danym krajem i czy przestępstwo, o które oskarża się podejrzanego, byłoby uznane za przestępstwo również w Stanach Zjednoczonych. W przypadku Ahna odpowiedź na każde z nich brzmiała: „tak".

Mimo to troje prawników opracowało ambitną i śmiałą strategię procesową zakładającą przedstawienie Ahna jako kogoś, kto działał z pobudek humanitarnych, ale padł ofiarą nieporozumienia i w konsekwencji może zostać zamordowany przez północnokoreańskich zabójców. Nie zamierzali dopuścić do jakiegokolwiek zaniedbania, które mogłoby sprawić, że sprawa Christophera Ahna, „uciekiniera z Królestwa Hiszpanii" – jak nazwano go we wniosku o ekstradycję – zostanie przegrana.

Jednym z najbardziej ekscytujących elementów więziennego życia okazała się sztuka przygotowywania improwizowanych posiłków. Doskonaląc się w niej, Ahn wymyślił więzienną wersję pad thaia przyrządzanego z makaronu, masła orzechowego i jarzyn. Jednak kimchi wymagało większej inwencji. Więźniowie nazywali tego rodzaju mieszanki „delicjami".

Jednym z najgorszych dań podawanych w stołówce była surówka coleslaw. Ahn pomyślał, że potrafi przyrządzić ją lepiej. Poprosił współwięźniów, by oddali mu swoje porcje. Zapakował je do plastikowej torby, którą zabrał do celi. Tam opłukał dokładnie jej zawartość, używając siatki na włosy jako sita, a potem odcisnął wodę.

Przełożył warzywa z siatki do wymytych słoików po maśle orzechowym i dodał do nich sproszkowany czosnek i odrobinę sosu słodko-kwaśnego. O cukier i jakiekolwiek zawierające go produkty było trudno, ponieważ w więzieniu wykorzystywano je do pędzenia alkoholu. Ale sos słodko-kwaśny zawierał go dość, by rozpocząć proces fermentacji. Ahn zamknął słoiki

z mieszanką w torbach, które schował pod łóżkiem. Gdy minął tydzień, ogłosił, że przyrządził dla wszystkich więzienne kimchi. To był wielki przebój.

Praca zespołu obrońców Ahna wreszcie zaczęła przynosić rezultaty.

16 lipca 2019 roku sędzina Jean Rosenbluth z sądu okręgowego Los Angeles, mimo sprzeciwu Departamentu Sprawiedliwości, przyznała Ahnowi prawo do zwolnienia za kaucją. Zauważyła, że znaczna część oskarżeń pod jego adresem została sformułowana przez władze Korei Północnej, czyli kraju, z którym Stany Zjednoczone nie utrzymują relacji dyplomatycznych. Krewni Ahna zastawili swoje domy, by uzbierać pieniądze na kaucję wynoszącą blisko 1,3 miliona dolarów. Sędzina wyznaczyła jednak jeden kategoryczny warunek zwolnienia – zerwanie wszelkich kontaktów z organizacją Free Joseon.

Mimo to Ahn był przeszczęśliwy. Gdy wreszcie pewnego upalnego dnia wyszedł na ulice Los Angeles, Grace wręczyła mu torbę z jogurtami, słodyczami i napojami gazowanymi. „Poczułem wielką ulgę i wdzięczność" – opowiadał później.

Przez rok i dziewięć miesięcy Ahn przebywał w areszcie domowym. Nie mógł nawet wyjść, żeby pomóc żonie przenieść do domu zakupy z samochodu. Dla jego rodziny to była trudna sytuacja. Wreszcie w 2021 roku sędzina Rosenbluth zmieniła warunki zwolnienia tak, że od ósmej rano do ósmej wieczorem Ahn miał prawo poruszać się w pewnej odległości od domu. Dzięki temu mógł opiekować się matką chorującą na neuralgię nerwu trójdzielnego powodującą dotkliwy ból części twarzy, a także mieszkającą niedaleko dziewięćdziesięciodziewięcioletnią babką.

W maju 2022 roku, czyli ponad trzy lata po akcji w Madrycie, jego życie wciąż było postawione na głowie – i nic nie

wskazywało na to, by miało się to zmienić. Kariera utknęła w miejscu, a część znajomych odwróciła się od niego. Razem z Grace postanowili, że dopóki sytuacja się nie wyjaśni, nie będą mieli dzieci.

„Starałem się nie popadać w zgorzknienie – opowiadał. – To wszystko wzięło się stąd, że jeśli ktoś prosi o pomoc, a ja mogę mu pomóc, to nie chcę być facetem, który odmawia”.

18 Uciekinier

> Głos namiętności lepszy jest niż głos rozumu,
> Gdyż beznamiętni zmieniać nie potrafią dziejów.
>
> Czesław Miłosz

Londyn, kwiecień 2019

Czekając na spotkanie ze znajomym dziennikarzem w londyńskim Borough Market, przeglądałem Twittera. Nagle zobaczyłem obraz, który sprawił, że wstrzymałem przewijanie. Ktoś udostępnił plakat z fotografią Adriana i napisem „Poszukiwany".

Na plakacie rozpowszechnianym przez policję federalną napisano, że poszukiwany to „Adrian Hong Chang, alias Matthew Chao, alias Oswaldo Trump", 184 centymetry wzrostu, waga około 100 kilogramów. Mężczyzna jest oskarżony o to, że „22 lutego 2019 roku uczestniczył w napadzie na ambasadę Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej w Madrycie w Hiszpanii. Ostatnio widziano go w samochodzie marki KIA Soul 4D z 2017 roku z rejestracją ARDENT. Może być uzbrojony i niebezpieczny".

Szczęka mi opadła. Czytałem informacje o zajęciu ambasady, ale nie miałem pojęcia, że Adrian brał w tym udział. Pytałem go nawet na Signalu, czy wie, kto może stać za tym incydentem.

Widziałem Adriana nie tylko niedługo przed akcją w Hiszpanii, lecz także kilka tygodni po niej, kompletnie nieświadomy, że miał z nią coś wspólnego. Poznałem go wtedy z człowiekiem myślącym podobnie jak on – z kimś, kto wspierał finan-

sowo walkę z polityczną dezinformacją oraz ośrodki dla uchodźców w różnych krajach świata. Witając się z nimi, powiedziałem, że obaj są członkami międzynarodowej „ligi sprawiedliwości” zrzeszającej ludzi, którzy poświęcają czas i pieniądze na zwalczanie mrocznych sił na arenie światowej.

Patrząc na twarz Adriana na plakacie, zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle cokolwiek o nim wiem, i dziwiłem się, że można napisać „uzbrojony i niebezpieczny” o człowieku, który podczas naszych spotkań nigdy nie dał mi powodu, by podejrzewać go o skłonność do przemocy. Natychmiast po znalezieniu tej informacji na Twitterze wysłałem mu wiadomość na Signalu. Moja wiadomość nie została jednak odebrana. Adrian już zniknął.

Znałem go już osiem lat. Zaświtała mi w głowie myśl, że nic o nim nie wiedziałem.

Wtedy właśnie postanowiłem, że zrobię wszystko, co możliwe, by opisać jego historię. Kiedy wraz z dwoma najbardziej nieustraszonymi reporterami „The Wall Street Journal” próbowaliśmy zrozumieć, jak to się stało, że twarz absolwenta Yale trafiła na list gończy, szybko uświadomiłem sobie, jak niewiele dowiedziałem się od samego Adriana o jego życiu – jak oszczędnie dawkował mi informacje o sobie. O tym, że wziął ślub, dowiedziałem się tylko dlatego, że podczas spotkania w grudniu 2011 roku powiedział mi, że jego żona śpi w pokoju obok.

Kiedy nasza ekipa reporterska dotarła do jego znajomych, okazało się, że nic nie wiedzą o jego działalności na rzecz Korei Północnej. Z kolei ci, którzy o niej wiedzieli, nie mieli żadnego pojęcia o jego życiu prywatnym. Później odkryliśmy, że nawet wysoko postawieni w hierarchii organizacji członkowie Free Joseon nie do końca zdawali sobie sprawę z tego, co ona robi. Wszystkim zarządzał Adrian.

Zrozumiałem, że ta strategia, chociaż doprowadziła do kłopotów organizacji, miała jednak jakiś sens. Jej członkowie byli gotowi podjąć ogromne ryzyko tylko dlatego, że sprawę jego oceny brał na siebie Adrian. Jego koledzy działali z pobudek idealistycznych, ale tylko częściowo zdawali sobie sprawę z tego, na jakie niebezpieczeństwo się narażają.

Czasem było tak – jak w przypadku Christophera Ahna i Charlesa Ryu – że o tym, co mają robić, dowiadywali się dopiero wtedy, gdy wezwani przez Adriana oblecieli już połowę kuli ziemskiej.

Gdy Ahn znalazł się w areszcie, Adrian Hong i Sam Ryu zaczęli realizować przygotowany od dawna plan ukrycia się. Adrian nie wiedział, że policja federalna postanowiła go aresztować, szczęśliwie jednak, gdy jej funkcjonariusze pojawili się u niego w domu, załatwiał jakieś sprawy na mieście.

Podczas jednej z ostatnich rozmów z przedstawicielami tej instytucji Ahn usłyszał, jak jeden z nich odbiera telefon od kolegi, który dzwonił z domu Adriana. Zastał tam tylko jego żonę i dziecko. Powiedział, że kobieta nie chce im pomóc w odnalezieniu męża.

Plan zniknięcia nie był przygotowywany z myślą o agentach federalnych. Chodziło w nim o to, by ukryć się przed północnokoreańskimi zabójcami, przed którymi FBI ostrzegło prawników Adriana i Ahna.

Problemy członków Free Joseon, którzy uczestniczyli w akcji w Madrycie, mnożyły się. Początkowo mieli kłopot jedynie z władzami Hiszpanii, które nie rozumiały, co się właściwie stało. Zagrażały im również służby Korei Północnej, która mogła zechcieć się zemścić za symboliczne wtargnięcie na jej terytorium oraz wywołane przez nie zamieszanie w światowych mediach. Przez wiele tygodni fotoreporterzy i dziennikarze

nachodzili Adriana w jego mieszkaniu. Członkowie grupy, przekonani, że po wyjeździe z Hiszpanii wrócą do normalnego życia, musieli teraz ukrywać się przed władzą znacznie sprawniejszą, jeśli chodzi o kontrolowanie granic, płatności kartą kredytową i połączeń telefonicznych. Stawka już wcześniej była wysoka, a teraz znacznie wzrosła.

FBI kontaktowało się z nimi do ostatniej chwili przed zatrzymaniem Ahna. Adrian był kompletnie zaskoczony jego aresztowaniem. Dopiero później on i jego towarzysze dowiedzieli się, że pendrajwy i inne materiały, które przekazali FBI, po jakimś czasie – nie wiadomo jakim – zostały wysłane do Hiszpanii w zapieczętowanej skrzynce, a potem trafiły z powrotem do ambasady Korei Północnej. Do tej pory nie wiadomo, czy któraś z amerykańskich agencji wcześniej je skopiowała i czy w przekazaniu ich ambasadzie brał udział ktoś z Białego Domu, kto uczestniczył w kontaktach dyplomatycznych z reżimem Kima.

Wyglądało na to, że Seo zdołał przekonać swoich przełożonych z Pjongjangu, że wszyscy pracownicy ambasady mężnie walczyli z napastnikami, którzy ich poranili – co było kompletną fikcją. On sam, jak twierdzi Cao de Benós, został w Madrycie jako attaché handlowy, ale reszta personelu wróciła do kraju.

W dniu aresztowania Ahna Departament Sprawiedliwości wydał również, na podstawie hiszpańskiego wniosku o ekstradycję, nakaz aresztowania Adriana. Hiszpańskie władze dołączyły do wniosku materiały śledcze, jakie udało się im zgromadzić, oraz niespodziankę – nagrania z monitoringu.

Okazało się, że działacze Cheollimy, którzy zajęli ambasadę w Madrycie, przeoczyli ważny element systemu nadzoru. Nie znaleźli komputera zawierającego nagrania z kamer zainstalowanych przy wejściu do ambasady i na jej podwórzu. Uchwy-

ciły one wiele kluczowych momentów operacji, takich jak wtargnięcie na teren placówki, uwięzienie jej personelu, przybycie policji, ucieczkę napastników i nadejście północnokoreańskich studentów.

Jednak zarówno w wystawionym przez Departament Sprawiedliwości nakazie aresztowania, jak i we wniosku o ekstradycję zabrakło jakiejkolwiek wzmianki o liście wysłanym przez Cheollimę do Ministerstwa Spraw Zagranicznych od razu po powrocie uczestników akcji do Nowego Jorku, wyjaśniającym motywy jej działania. Nie było też żadnej informacji o tym, że to sam Seo poprosił o pomoc w ucieczce. W obu dokumentach napisano tylko tyle, że mężczyźni wtargnęli do ambasady, pobili jej pracowników i próbowali zmusić attaché handlowego do dezercji. Gdy ten odmówił, pobili również jego, po czym ukradli tajne materiały oraz dwa samochody, by wyjechać z kraju. Te dwa dokumenty nadały ton, w jakim cała sprawa była komentowana w mediach.

W podsumowaniu śledztwa hiszpańskie organy ścigania zwróciły uwagę na pozostawione przez intruzów wyposażenie, takie jak kominiarki i imitacje pistoletów, które miały dowodzić stosowania przez nich przemocy. Chodziło o przedmioty, które Ahn postanowił zostawić na miejscu po to, by dać znać policji, że jego grupa nie zamierza niczego ukrywać – bo nie ma nic do ukrycia.

Hiszpanie dysponowali też złożonymi pod przysięgą zeznaniami personelu ambasady, w tym również Seo, niedoszłego uciekiniera, który powiedział, że działacze Cheollimy zaatakowali dyplomatów, a on sam nie wyraził zgody na tę operację, ponieważ nigdy nie zamierzał uciec ze swojego kraju.

Zdjęcie stojącego przed ambasadą ubranego na czarno Ahna w okularach przeciwsłonecznych zostało wykorzystane jako potwierdzenie tego, że akcja Cheollimy miała charakter

paramilitarny. Prasa pisała o „byłym żołnierzu piechoty morskiej”, co miało uwiarygodnić wersję o stosowaniu przemocy przez napastników.

Osoba związana z hiszpańską prokuraturą ujawniła jeszcze jeden aspekt całej sprawy – według niej tamtejsi śledczy byli przekonani, że Cheollima działa w porozumieniu z władzami Stanów Zjednoczonych, chociaż Amerykanie stanowczo temu zaprzeczali. Zaprzeczenia te przyspieszyły postawienie zarzutów. Niektórzy przedstawiciele strony hiszpańskiej uważali, że Stany Zjednoczone nie dopuszczą do ekstradycji, co będzie dowodem na to, że napastnicy są agentami tamtejszych służb.

Doprowadziło to do skomplikowanej sytuacji. Amerykańskie władze wiedziały, że Adrian zajmował się ratowaniem uciekinierów z Korei Północnej, i od lat kontaktowały się z nim, ponieważ przekazywał im informacje wywiadowcze, ale nie mogły interweniować w tej sprawie – wyglądałoby to tak, jakby wspierały działalność Free Joseon, której nie wspierały. Z kolei Hiszpanie nie mogli wycofać zarzutów, by nie stworzyć wrażenia, że ulegają presji Amerykanów chroniących swoje źródła wywiadowcze – choć żadnej presji nie było.

W Europie na odbiór tych wydarzeń miały wpływ przykre wspomnienia związane z podejmowanymi w trybie nadzwyczajnym działaniami CIA po 11 września. Niektóre państwa uznały je za naruszenie ich suwerenności. We Francji, Niemczech, Włoszech i innych krajach prowadzono śledztwa w sprawie działalności agencji na ich terenie.

W czasie amerykańskiej „wojny z terrorem” włoscy prokuratorzy doprowadzili nawet do zaocznego skazania dwudziestu sześciu osób, w większości agentów CIA – był to jedyny taki proces z sprawie realizowanych przez agencję działań „w trybie nadzwyczajnym”. W tym przypadku chodziło o uprowa-

dzenie muzułmańskiego duchownego Hassana Mustafy Osamy Nasra, którego porwano w biały dzień z mediolańskiej ulicy.

Długofalową konsekwencją tych zdarzeń była niechęć do wszystkiego, co mogło się jakkolwiek kojarzyć z operacjami prowadzonymi w Europie przez amerykańskich agentów z naruszeniem obowiązujących procedur. Zajęcie ambasady zostało uznane za przekroczenie czerwonej linii, ponieważ oznaczało, że państwo takie jak Hiszpania nie potrafi chronić przebywających na jej terenie dyplomatów.

W rezultacie każdy z członków zespołu Cheollimy był zagrożony w Hiszpanii wyrokiem dwudziestu czterech lat więzienia za nielegalne wtargnięcie, napaść, bezprawne pozbawienie wolności i udział w grupie przestępczej.

Opublikowanie przez policję federalną plakatu z „poszukiwanym" Adrianem Hongiem było punktem zwrotnym. Człowiek zapraszany do Białego Domu i pozujący do zdjęć z prezydentem, znany jako założyciel międzynarodowej organizacji pomagającej Koreańczykom z Północy, został określony jako „uzbrojony i niebezpieczny" oraz oskarżony o poważne przestępstwa.

Na kilka tygodni przed zatrzymaniem Ahna Adrian wysłał do najbliższych przyjaciół ostatnie wiadomości. Na ogół były krótkie. Pisał, że po wydarzeniach w Madrycie ma poważne problemy i że sytuacja będzie być może wymagała zerwania wszelkich kontaktów. Gdy Ahn trafił do aresztu, przestał się do nich odzywać. Podobnie jak Sam Ryu.

Działacze Free Joseon zajęli się realizacją planu przygotowanego z myślą o takiej sytuacji. Opracowano go po zakończeniu operacji w Madrycie, gdy relacje z FBI zaczęły się psuć, a szczegóły dotyczące zajęcia ambasady przeciekły do międzynarodowej prasy. Pierwszą zasadą było zerwanie jakichkol-

wiek bezpośrednich kontaktów z ukrywającym się Adrianem. Jeśli członkowie organizacji musieliby się z nim porozumieć, mogli korzystać jedynie z systemu zwanego Srebrną Kulą, dzięki któremu obie strony nie musiały się ze sobą komunikować bezpośrednio.

System ten skutecznie uniemożliwiał władzom – i wszelkim innym osobom – ustalenie miejsca, w którym przebywał Adrian, ale jednocześnie sprawiał, że organizacja została pozbawiona przywódcy. Free Joseon było strukturą budowaną przez lata dzięki wytrwałej pracy Adriana, który łączył ze sobą nieznających się nawzajem ludzi. Wielu z nich działało, nie wiedząc, z kim współpracują. Kiedy w tej strukturze zabrakło Adriana, przestała ona funkcjonować. On sam powiedział później koledze, że w tamtym momencie zostali zmuszeni do nagłego przerwania kilku operacji ratunkowych.

Wprowadzona w organizacji reguła milczenia zaszkodziła jej w pierwszych dniach tego kryzysu. Członkowie nie mieli żadnej możliwości komunikowania się ze światem i wytłumaczenia, co zamierzali zrobić. Ich milczenie, od którego jedynym wyjątkiem były utrzymane w podniosłym tonie komunikaty publikowane na stronie internetowej Free Joseon, sprawiło, że w relacjach medialnych dominowała wersja o brutalnym napadzie na ambasadę. Byli anonimowymi ludźmi deklarującymi wzniosłe cele, którzy przeprowadzili akcję rodem z filmu szpiegowskiego – to nie poprawiało wizerunku organizacji. Ta informacyjna pustka sprawiała, że w oczach komentatorów i obserwatorów koncepcja mówiąca, że są marionetkami obcego rządu, wyglądała nie tylko na możliwą, lecz także prawdopodobną.

Ja w tym czasie robiłem postępy w nawiązywaniu kontaktów z członkami Free Joseon. W naszych rozmowach opowiadali głównie o aresztowaniu Ahna i zniknięciu Adriana jako

o tragicznych wydarzeniach, których konsekwencje muszą teraz wziąć na swoje barki. Byli głęboko rozgoryczeni tym, że – jak uważali – zostali zdradzeni przez amerykańskie władze, ale mówili o tym niechętnie, ponieważ bali się zaszkodzić członkom organizacji oraz uciekinierom, którym udzielili pomocy.

W pierwszych dniach naszych kontaktów ludzie, z którymi rozmawiałem, spodziewali się, że Adrian pozostanie w ukryciu tylko przez kilka tygodni, a w najgorszym przypadku – przez kilka miesięcy. Tak jak Ahn uważał, że ktoś na pewno odkryje, że zaszła straszna pomyłka, tak członkowie Free Joseon byli przekonani, że zwycięży rozsądek i władze zorientują się, jak wielkim nieporozumieniem jest ściganie pełnych poświęcenia wolontariuszy i grożenie im wieloletnimi wyrokami więzienia. Był to jednak nadmierny optymizm.

Liczyli na to, że ktoś w końcu zrozumie, że to sam Seo poprosił o pomoc w ucieczce, nawet jeśli początkowo nie było to jasne dla hiszpańskich organów ścigania. Dlaczego, do diabła, grupa Amerykanów koreańskiego pochodzenia i Koreańczyków z Południa miałaby ryzykować tak wiele, porywając attaché handlowego z ambasady Korei Północnej? Czy można sobie wyobrazić coś bardziej niebezpiecznego i idiotycznego?

Mylili się. Nikt nie stanął w ich obronie, bo nikt nie chciał nadstawiać karku. Tak jak w 2006 roku, gdy Adrian rozpoczął akcję w Chinach, nie pytając nikogo o pozwolenie, tak i teraz nie mógł mieć do nikogo pretensji – ale też i żadnej ochrony. Ludzie tacy jak Ahn zaangażowali się w jego plan, przekonani, że jest doskonale opracowany, ale okazało się, że było w nim mnóstwo luk i brakowało scenariusza na wypadek niepowodzenia. Gdyby tamtego wieczora północnokoreańscy studenci spotkali intruzów w ambasadzie – a obie grupy minęły się o kilka minut – mogłoby dojść do walki, w czasie której ktoś

z członków Cheollimy mógł stracić życie. Pozostali mogli zostać aresztowani jeszcze na terytorium Hiszpanii i trafić do więzienia.

Nawet wpływowi ludzie, którzy wiedzieli, że opis Adriana jako „uzbrojonego i niebezpiecznego" jest kompletnie fałszywy, nie chcieli ryzykować. W tej misji Cheollima przekroczyła pewne granice – wtargnięcie do ambasady, użycie imitacji broni, oskarżenia o stosowanie przemocy. Lee Wolosky, prawnik Adriana, wystąpił w Fox News, robiąc wszystko, co możliwe, by wyjaśnić w kilku słowach motywy działania napastników, ale nic nie wskórał.

Jedną z nielicznych osób występujących publicznie w obronie Adriana był Sung-Yoon Lee, profesor z Fletcher School na Uniwersytecie Tufts, który już kilka lat wcześniej zapraszał go na spotkania ze swoimi studentami. Tłumaczył on swoim rozmówcom, że śmiałe działania Free Joseon miały wielkie znaczenie, ponieważ wkroczenie w biały dzień do północnokoreańskiej ambasady i pomoc w ratowaniu Kim Han-sola naruszyły wizerunek wszechpotężnego reżimu.

Opublikował również w „Los Angeles Times" artykuł, w którym przekonywał, że Stany Zjednoczone nie powinny wydać działaczy Free Joseon Hiszpanii. „Jeśli Stany Zjednoczone zaakceptują wersję wydarzeń przedstawioną przez Koreę Północną, będzie to w gruncie rzeczy obrona tamtejszego reżimu – napisał. – Pjongjang odczyta to jako komunikat, że jego jawne zbrodnie nie interesują krajów uważanych za orędowników wolności i demokracji".

25 czerwca 2019 roku organizacja podjęła ostatnią próbę zmiany tonu, w jakim pisały o niej media. Charles Ryu, Koreańczyk z Północy, którego nagrano, jak wkracza do ambasady, napisał pod pseudonimem opowieść o własnym życiu i o samej akcji. Ukazała się ona na stronie telewizji Fox News. W la-

tach 2019–2020 działacze Free Joseon uważali, że zwracając się do jej widzów, zdołają wpłynąć na administrację Trumpa i skłonią ją do politycznej interwencji w tej sprawie.

„Kiedy dowiedziałem się o istnieniu koreańskiej organizacji podającej się za Tymczasowy Rząd Free Joseon, ogarnęła mnie wielka radość i ulga – pisał Charles. – Wreszcie odkryłem grupę ludzi, którzy czuli się osobiście odpowiedzialni za powstrzymanie popełnianych w moim kraju zbrodni przeciw ludzkości”.

Opowiedział o tym, jak on, uchodźca z Korei Północnej, wszedł na teren jej ambasady, a potem porozbijał portrety Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila. Dodał też, co najważniejsze, że jego grupa pojawiła się tam, by pomóc w ucieczce jednemu z dyplomatów.

„Zaryzykowaliśmy bardzo wiele, by pomóc obcym ludziom w odzyskaniu wolności. Dlaczego Stany Zjednoczone i Hiszpania chcą nas za to karać?” – pytał.

W grudniu 2020 roku, gdy świat wciąż jeszcze zmagał się z pandemią COVID-19, udało mi się wreszcie spotkać na Zoomie z Christopherem Ahnem. To była pierwsza z niezliczonych godzin naszych nocnych najczęściej rozmów.

Na samym początku nie mogłem uwierzyć, że odkryłem w nim osobę tak bardzo różną od tego, co sobie wyobrażałem, oglądając zdjęcia i czytając dokumenty sądowe na jego temat. Wszystko, co opowiadał, świadczyło o wrażliwości i głębokich emocjach. Było to niespodziewane oświecenie, które uprzytomniło mi, jak dalece fałszywy był obraz Free Joseon prezentowany w tym czasie szerokiej publiczności.

Ahn wytłumaczył mi, że Free Joseon było raczej czymś w rodzaju start-upu niż uzbrojonym oddziałem politycznych fanatyków w rodzaju Weather Underground czy Frakcji Czerwonej

Armii. Mówił, że w ich grupie nie było żadnych łobuzów, dziwaków ani ekstremistów. Te „dzieciaki" były *chakae* – tak po koreańsku nazywa się dobre, grzeczne dzieci trzymające się z dala od kłopotów. No tak, ale grupa zakładała swój hulajnogowy start-up w Dubaju, organizując jednocześnie ucieczki Koreańczyków z Północy.

Poruszyła mnie również prywatna historia Ahna i jego przywiązanie do rodziny. Wszystko, co dotyczyło jego udziału w tej akcji, wydawało się wielką, tragiczną pomyłką, ale groźba ekstradycji i procesu w Hiszpanii sprawiały, że nie miał szans, by się z tego wyplątać. Ta sprawa zniweczyła wszystkie jego plany. Projekt otwarcia firmy spożywczej, nad którym pracował przed wydarzeniami w Madrycie, upadł, gdy Ahn trafił do więzienia, i całe jego życie stanęło na głowie.

W 2021 roku uważnie śledziłem jego sprawę sądową i napisałem o nim artykuł dla BuzzFeeda. Wyglądało na to, że nie ma żadnej szansy na to, by sędzina Jean Rosenbluth znalazła sposób na uchronienie go przed deportacją – traktat z Hiszpanią wydawał się absolutnie jednoznaczny. Jednak pytania, jakie zadawała podczas rozprawy, oraz inne jej komentarze świadczyły o tym, że bardzo starała się, by do tego nie dopuścić.

Przed rozprawą w sprawie zwolnienia za kaucją w 2019 roku do sądu napłynęło tak wiele listów od ludzi ręczących za jego uczciwość, w tym od Davida Bellavii ze stowarzyszenia Vets for Freedom, że sędzina stwierdziła, iż Ahn wygląda na „dobrego i honorowego człowieka".

Również jego żona Grace skierowała do sądu poruszający list, w którym pisała o ich przywiązaniu do rodziców i przekonywała, że Ahn nigdy nie zrezygnowałby świadomie z opieki nad mamą i babcią. By lepiej przedstawić jego uczuciową naturę, opowiedziała pewną historię:

> Pamiętam, że ostatnia zima była wyjątkowo chłodna. [...] Christopher zakolegował się z bezdomnym mężczyzną, który kręcił się często przed naszym lokalem Ralphs. Któregoś mroźnego wieczora zobaczyliśmy tego faceta, jak leżał na chodniku i dygotał z zimna. Próbowaliśmy go obudzić, ale on powiedział tylko kilka niezrozumiałych słów. Christopher pobiegł do domu i przyniósł kilka koców, żeby go nimi owinąć. Poprosił też w sklepie o duże kartony, z których zbudował coś w rodzaju wiatrochronu, i wsunął do kieszeni faceta trochę pieniędzy. Taki jest prawdziwy Christopher Ahn – kochający ludzi, hojny, pomocny, honorowy. To szlachetna dusza.

W 2021 roku sędzina Rosenbluth zaczęła dawać do zrozumienia, że wierzy w opowieść Ahna i w altruistyczne motywy działań jego grupy. Na rozprawę z 25 maja przylecieli rodzice Ottona Warmbiera, by zeznawać na jego korzyść. Jako ekspert wystąpił na niej Lee, profesor z Uniwersytetu Tufts.

Podczas wymiany opinii z prokuratorem federalnym domagającym się natychmiastowej ekstradycji Ahna do Hiszpanii sędzina przedstawiła swój pogląd nieco szerzej i wskazała na wewnętrzną sprzeczność związaną z decyzją, jakiej od niej oczekiwano:

Wiedzą państwo, kiedyś prześladowaliśmy ludzi za udział w Underground Railroad, a potem, sto lat później, przyznawaliśmy im medale. Ja po prostu nie wiem – nie wiem, co mam robić. Będę postępować zgodnie z prawem, bo tak muszę postępować. Będę badać te sprawy, bo złożyłam przysięgę, która mnie do tego zobowiązuje, i będę przedstawiać wnioski zgodne z wymogami prawa. Muszę jednak przyznać, że nie rozumiem, co tu się dzieje, i nie wygląda mi na to, byśmy w tym miejscu czynili zadość sprawiedliwości.

Jednak w maju 2022 roku musiała wreszcie wydać jakieś postanowienie w tej sprawie – i tak bezprecedensowo opóźnionej, jeśli porównać to z innymi tego rodzaju decyzjami o ekstradycji. Gdyby się na nią zgodziła, Ahn miałby prawo się odwołać. A nawet jeśli to nie przyniosłoby skutku, mógłby wystąpić do organów wykonawczych o odstąpienie od decyzji. Wtedy proces mógłby ciągnąć się latami. Hiszpańskie władze wciąż domagały się publicznie postawienia członków Cheollimy przed tamtejszym sądem.

Jeśli chodzi o Adriana Honga i Sama Ryu, możliwe, że historie ich życia po tym, jak w 2019 roku zniknęli, będzie można opowiedzieć kiedyś w przyszłości. Podobnie jak organy ścigania, przed którymi uciekali, a także niektórzy z ich najbliższych przyjaciół, nie byłem w stanie ustalić, gdzie przebywali i jak zdołali przetrwać blisko trzy lata w ukryciu.

Udało mi się nawiązać kontakt z kimś, kto miał jakiekolwiek wyobrażenie o tym, co działo się z nimi po zniknięciu z ich domów w Kalifornii. Osoba ta zgodziła się ze mną rozmawiać pod warunkiem zagwarantowania jej całkowitej anonimowości. Dowiedziałem się od niej, że obaj bardzo cierpieli z powodu izolacji od najbliższych – nie mogli się z nimi kontaktować, bo groziło to ujawnieniem miejsca ich pobytu lub narażeniem na niebezpieczeństwo krewnych i przyjaciół.

Dziecko Adriana, które właśnie zaczynało chodzić i mówić, przez większość swojego dotychczasowego życia nie widywało ojca.

Epilog. Cena

New Malden, Wielka Brytania, luty 2022

Kiedy kończyłem zbierać materiały do tej książki, wybrałem się pewnego dnia do New Malden na południu Londynu. Główna ulica tej dzielnicy pełna jest koreańskich restauracji i sklepów. Swoją siedzibę ma tu również pozarządowa organizacja Connect: North Korea pomagająca uciekinierom z Korei Północnej w rozpoczęciu nowego życia z dala od wszechwidzącego oka reżimu Kima. W pewnym momencie ich tutejsza społeczność była jedną z najliczniejszych na świecie – większe istniały tylko w Japonii i Korei Południowej. W połowie pierwszej dekady XXI wieku liczyła ponad siedemset osób. Z czasem wielu uchodźców rozjechało się po kraju i świecie, jednak wciąż jest tam ich trzysta.

Michael Glendinning, szkocki założyciel Connectu, zetknął się z Koreańczykami z Północy w Seulu, gdzie wybrał się po ukończeniu studiów na filologii angielskiej, by poznać tę część świata. Gdy wysłuchał opowieści o cierpieniach, jakich doświadczyli w swoim dawnym kraju, nie mógł dojść do siebie. Metodyczność, z jaką reżim utrzymywał swoich poddanych w stanie niedożywienia i wycieńczenia przez całe ich życie, wydała mu się koszmarem rodem z dystopijnej powieści. Był również zszokowany tym, że Koreańczycy z Południa w swoich rozmowach unikali poruszania tego problemu.

Po powrocie do Londynu założył pierwsze stowarzyszenie, na razie nazwane po prostu North Korea, które pomagało uchodźcom z tego kraju w Wielkiej Brytanii, oraz jego siostrzaną, lecz bardziej radykalną wersję: Korea Future (Przyszłość

Korei), prowadzącą śledztwa w sprawie zbrodni popełnianych wobec obywateli jej północnej części i domagającej się nakładania surowych kar na reżim Kima.

Chciałem się dowiedzieć, czy ludzie tacy jak Glendinning myśleli podobnie jak Adrian. Czy po latach działalności mieli poczucie, że przyczynili się do jakiegoś postępu? I czy on także, podejmując bezpośrednie akcje przeciwko Korei Północnej, wierzył, że doprowadzi do tego, że jej mieszkańcy jeszcze za swojego życia doczekają jakiejś zmiany na lepsze?

Kilka tygodni wcześniej rozmawiałem z Nicolaiem Sprekelsem, prezesem niemieckiej organizacji pozarządowej Saram. Mówił mi o zdumiewających i szokujących liczbach, które ciągle sobie przypominał, by zachować motywację do tego, co robił. Powiedział, że w północnokoreańskich obozach przebywa nieustannie od stu do stu dwudziestu tysięcy więźniów, których oczekiwana długość dalszego życia wynosi od sześciu do siedmiu lat. Te statystyki faktycznie pozwalały zdać sobie sprawę z brutalności systemu.

Sprekels walczył o przestrzeganie praw człowieka w Korei Północnej od mniej więcej dziewięciu lat, co oznaczało, że w tym czasie straciło życie co najmniej sto tysięcy osób.

– Nie jesteś w stanie odczuć, co to naprawdę znaczy – powiedział mi. – My, a zwłaszcza młode pokolenie, jesteśmy za daleko od tych zbrodni przeciwko ludzkości.

Dla Glendinninga przypadki śmierci były jedynie częścią pełnego obrazu sytuacji. Koreańczycy z Północy przebywający w New Malden zmagali się z ogromnym poczuciem winy – bo im udało się przeżyć – oraz traumą wywołaną tym, czego doświadczyli w swoim kraju. Myśli o rodzicach, rodzeństwie, krewnych i przyjaciołach, którym nie udało się uciec, wywoływały u nich depresję.

On sam przyznawał, że wielu działaczy ogarniało zniechęcenie, ponieważ nie widzieli żadnych postępów, jeśli chodzi o poprawę warunków życia mieszkańców Korei Północnej, a świat interesował się tylko Kim Dzong Unem i jego arsenałem nuklearnym.

Glendinning spotkał Adriana na konferencji w Londynie na początku lat dwutysięcznych. Zapamiętał go jako mówcę żarliwie argumentującego podczas dyskusji za zamkniętymi drzwiami. Nawet jeśli nie zawsze zgadzał się z jego stylem działania, rozumiał ożywiającą go potrzebę, by zrobić coś więcej niż do tej pory.

– Ja powtarzam zawsze, jak ważne jest stawanie w obronie praw człowieka, nawet jeśli nie przynosi to szybko widocznych rezultatów – powiedział. – Musimy skupiać się na najgorszych rzeczach, jakie dzieją się na świecie. Jeśli nie będziemy potrafili bronić praw człowieka w takich miejscach, przegramy wszystko.

Gdy zabierałem się do pisania tej książki, moim celem była odpowiedź na proste pytanie: Kim jest Adrian Hong? Chociaż dużo się dowiedziałem – o nim i o Free Joseon – pewne rysy jego charakteru wciąż pozostają dla mnie niejasne.

Przekonującą interpretację motywów Adriana zawdzięczam Soobin Kim, dziennikarce, która pomagała mi w zbieraniu materiałów do książki. Soobin pracowała krótko jako stażystka w LiNK-u, jednak było to kilka lat po tym, jak Adrian wycofał się już z tej organizacji.

Gdy kończyłem moją pracę, wysłałem jej niemal kompletną wersję książki. Zauważyła coś, co mnie samemu nie przyszło do głowy, ale co – gdy się nad tym zastanowiłem – uznałem za niezwykle trafne:

> Adrian miał dość rozchwiane poczucie tożsamości. Posługiwał się meksykańskim paszportem, ale wychował się w kulturze amerykańskiej. Wyglądał na Koreańczyka, ale większość Koreańczyków nie traktowała go jak rodaka. Prowadząc swoją działalność, mógł zmieniać nie jeden kraj, lecz trzy. Bywał w Białym Domu i spotykał się z politykami, na których nie miał prawa głosować. Trudno mu było oczywiście zaakceptować historię Stanów Zjednoczonych jako własną, ponieważ jest ona zbyt czarno-biała, więc myślę, że dlatego zwrócił się ku historii Korei. Chociaż wierzę, że to właśnie dało jego życiu sens i poczucie celu [...], wydaje mi się również, że był to dla niego substytut jego pokawałkowanej tożsamości.

Nie wiem wprawdzie, czy niezwykłe zaangażowanie Adriana w sprawę Korei Północnej było efektem jego złożonej tożsamości, czy wypływało ono z czegoś innego, ale mogę wskazać jeszcze jeden aspekt jego drogi życiowej. Tym, co mnie popchnęło do opowiedzenia jego historii, było między innymi pragnienie zrobienia czegoś bardziej doniosłego niż dotychczas. Myślę, że wielu ludzi ma podobne marzenia. Adrian i jego towarzysze z Free Joseon zrobili coś, by je spełnić, wiele przy tym ryzykując, więc podziwiam ich za to, nawet jeśli można krytykować sposób, w jaki się do tego zabrali. To, że muszą się teraz ukrywać, ponieważ grozi im więzienie, uważam za wielką niesprawiedliwość.

W marcu 2022 roku, gdy pisałem ostatnie strony tej książki, dotarła do mnie wiadomość. To był początek kolejnej wojny wywołanej przez współczesnego autokratę. Rządzący Rosją Władimir Putin rozpoczął inwazję na Ukrainę.

Żyjący w zawieszeniu, jakim było zwolnienie za kaucją, Christopher Ahn, wciąż czekający na decyzję dotyczącą ekstradycji, napisał do mnie w sprawie tego nowego konfliktu coś, co mi się spodobało. Pomyślałem, że spodobałoby się również

wielu ludziom, którzy czuli się zobowiązani, by *zrobić coś* w sprawie tego haniebnego ataku na ludność cywilną.

> Cześć, Bradley. Chcę ci coś powiedzieć. Często pytano mnie o moje zaangażowanie się w naszą sprawę albo je krytykowano. Większości ludzi w ogóle to nie obchodzi. No bo faktycznie – po co zajmować się osobami, których się nie zna, mieszkającymi tysiące kilometrów od ciebie, tylko dlatego, że są Koreańczykami?
>
> Próbowałem to wyjaśniać, ale na ogół mi się to nie udawało.
>
> Ale teraz, po tym wszystkim, co dzieje się w Ukrainie [...] wydaje mi się, że ludzie zrozumieją, o co w tym chodzi.
>
> Przeczytałem właśnie w „The New York Times" artykuł o amerykańskich weteranach, którzy pojechali do Ukrainy, by walczyć w jej obronie. Kiedy pytano ich, dlaczego to zrobili, mówili mniej więcej to samo, co ja, kiedy wyjaśniałem przyczyny mojego zaangażowania.
>
> Myślę również, że u ludzi, którzy widzą swoich bliźnich znajdujących się w tak strasznych, pełnych przemocy sytuacjach i mają potrzebę zrobienia czegoś w ich sprawie, pojawia się empatia pozwalająca zrozumieć, dlaczego wolontariusze tacy jak ja pomagają bliźnim przetrwać te straszne, tragiczne sytuacje.
>
> To wszystko.

Dwa miesiące po wysłaniu tej wiadomości Ahn otrzymał złą informację. Sędzina federalna Jean Rosenbluth, która rozpatrywała jego wniosek o wstrzymanie ekstradycji do Hiszpanii, nie zgodziła się z nim.

Postanowienie nie oznaczało, że zostanie on natychmiast wysłany do hiszpańskiego aresztu. Wciąż miał prawo wystąpić do sądu wyższej instancji o ponowne rozpatrzenie sprawy. Jednak karząca dłoń hiszpańskiego wymiaru sprawiedliwości była coraz bliżej.

Rosenbluth nie wydała wprawdzie rozstrzygnięcia korzystnego dla Ahna, ale w uzasadnieniu jej postanowienia znalazły się nietypowe sformułowania. W bardzo osobistym, pełnym

ubolewania wywodzie wyraziła żal z powodu jego położenia oraz z braku formalnych możliwości podjęcia przez nią innej decyzji. Wezwała więc sąd wyższej instancji do ustanowienia precedensu w kwestii ekstradycji amerykańskich obywateli zagrożonych procesem sądowym w innym kraju i do unieważnienia jej własnego postanowienia. Zwróciła przy tym uwagę na możliwość, że po opuszczeniu przez Ahna Stanów Zjednoczonych północnokoreańskie służby mogą znaleźć sposób na pozbawienie go życia.

> Wprawdzie doszłam do wniosku, że prawo nie pozwala mi przystać na wniosek oskarżonego, ale nie uważam, by obecny stan rzeczy był sytuacją sprawiedliwą – pisała. – Mam nadzieję, że Wysoki Sąd albo nie przyzna mi racji, albo sam wstrzyma ekstradycję. Owszem, Ahn powinien stanąć przed sądem, który być może uzna go winnym naruszenia prawa, a przynajmniej jego litery. Nie można jednak wydawać go na niepewny los w świecie, w którym może go dosięgnąć ręka despoty, po to by poczynić takie czy inne postępy w polityce zagranicznej. Gdybym sądziła, że jest to możliwe, domagałabym się, aby jego proces odbył się tutaj, w Stanach Zjednoczonych, w nadziei, że sędzia lub sędziowie, którzy staną przed zadaniem nie tylko stosowania prawa, lecz także jego naprawiania, zdołają wywiązać się z tego obowiązku.

W końcowych zdaniach orzeczenia sędzina zacytowała Cindy Warmbier, matkę Ottona Warmbiera, która występowała w jego obronie podczas wcześniejszych rozpraw.

„Cindy Warmbier powiedziała, że Ahn potrzebuje »silnej kobiety«, by »stawić czoła Korei Północnej«. Żałuję, ale jestem zbyt słaba – pod względem przysługującej mi władzy, a może również osobistej woli – by uchronić go przed torturami lub śmiercią z rąk przedstawicieli tego występnego narodu”.

Mam nieodparte poczucie, że w całej historii Adriana, Ahna i Free Joseon jest coś bajkowego, a zarazem fundamentalnego dla zrozumienia ludzkości oraz postaci uwikłanych w tę opowieść. Abstrahując od szczegółów, każe ona sobie zadać niesłychanie ważne pytania: Czy ludzie są w stanie zmieniać ten świat? I co trzeba zrobić, by to się udało?

Wiele z tego, co przez te wszystkie lata mówił mi Adrian, sprowadza się właśnie do tych pytań. Kiedyś powiedział mi, że chociaż tak zwany amerykański sen jest fikcją, ma on moc odmieniania ludzkiego życia. Często słyszałem od niego, że startupy, które stają się rynkowymi gigantami, i garstki działaczy, którzy doprowadzają do rewolucji, zaczynają od aktu wiary – wiary w to, że nie ma celów zbyt wielkich, by nie można było ich osiągnąć. Nie wiem, czy uznacie, że jest on człowiekiem godnym podziwu, pretensjonalnym czy może wręcz niebezpiecznym, ale w tej jego wierze jest coś wielkiego. A jeśli chodzi o to, czy jego podziemnej organizacji udało się osiągnąć coś ważnego – minie jeszcze wiele czasu, zanim będziemy mogli odpowiedzieć na to pytanie.

Podziękowania

Na okładce tej książki znajduje się nazwisko tylko jednego autora, ale jest ona w dużej mierze owocem wspólnej pracy ludzi z różnych stron świata.

Chciałbym zacząć od podziękowania osobom, często anonimowym, które poświęciły mi swój czas i okazały zaufanie, opowiadając o Adrianie Hongu, Christopherze Ahnie i grupie Free Joseon. Tego rodzaju źródła informacji to nieocenieni bohaterowie dziennikarstwa. Niektórzy z nich podjęli wielkie ryzyko, pomagając mi w lepszym zrozumieniu ich świata.

W 2021 roku razem z moim wieloletnim przyjacielem i współpracownikiem Tomem Wrightem odeszliśmy z „The Wall Street Journal", by założyć dziennikarski start-up, który nazwaliśmy Project Brazen. Książka ta jest jedną z dwóch pierwszych prac zrealizowanych w ramach naszej firmy – nie licząc wszystkich procedur związanych z jej uruchomieniem, poszukiwania pracowników i przygotowań do dalszej pracy. Jestem wdzięczny Tomowi za przejrzenie tekstu oraz za przyjaźń i wsparcie, na które zawsze mogłem z jego strony liczyć. Na podziękowania zasłużyli również doradcy Project Brazen: Stefano Quadrio Curzio i David Giampaolo.

Paul Whitlatch, utalentowany redaktor naczelny, który w 2018 roku zamówił naszą (moją i Toma) pierwszą książkę *Billion Dollar Whale*, a potem kolejną, którą napisałem razem z Justinem Scheckiem, *Ropę i krew*, przekonał mnie, że jestem w stanie w ciągu tych sześciu lat zrealizować jeszcze jeden projekt książkowy. Jego rady i wskazówki redakcyjne, najpierw w Hachette, a teraz w Crown, marce należącej do Random House, pomogły mi i Tomowi wkroczyć na naszą nową

drogę w stylu, jakiego się po sobie nie spodziewaliśmy. Przekazujemy więc Paulowi wyrazy wdzięczności i wyrażamy nadzieję na dalszą współpracę.

Jeśli chodzi o Crown, jest wiele innych osób, którym chciałbym podziękować: Katie Berry, David Drake, Annsley Rosner, Stacey Stein, Dyana Messina, Sierra Moon, Melissa Esner, Julie Cepler, Mark Birkey i Amelia Zalcman.

Jake Levy z firmy Levy Law, nieoceniony doradca, który pomagał nam w sprawie Project Brazen, był również wielkim orędownikiem powstania tej książki. Podczas pandemii COVID-19 praca nad nią była wyjątkowo trudna, ale dzięki wsparciu cudownej społeczności reporterów i poszukiwaczy informacji z różnych stron świata mogłem ją kontynuować, mimo że nie byłem w stanie podróżować tak intensywnie jak wcześniej. Książka nie powstałaby bez wnikliwej kwerendy i pomocy osób takich jak Soobin Kim, reporterka z Londynu; Mackenzie Hawkins, studentka i dziennikarka z Uniwersytetu Yale, Lucy Woods, szefowa działu badań Project Brazen, oraz Grace Moon, która zanim przeszła do „The Washington Post”, szukała dla nas informacji. Wszystkie one pomogły pogłębić nasze ujęcie tematu i dotrzeć do szczegółów, które ożywiły tę historię.

Cennymi konsultantami, którzy bardzo mi pomogli w odkrywaniu i zrozumieniu historii Free Joseon, byli Sung-Yoon Lee, profesor z Uniwersytetu Tufts i znajomy Adriana, oraz Chad O’Carroll, założyciel NK News w Seulu.

Przede wszystkim jednak dziękuję mojej żonie Farah za nieustającą wiarę we mnie i za pomoc w dostrzeganiu całej złożoności i wspaniałości tego świata. Farah jest dla mnie zwornikiem utrzymującym jego łukowe sklepienie.

Przypisy

[1] K. Czholhwan, P. Rigoulot, *Usta pełne kamieni. Dziesięć lat w północnokoreańskim gułagu*, tłum. J. Kierul, Warszawa 2005, s. 158. Jeżeli nie wskazano inaczej, przekłady cytatów w książce i przypisy pochodzą od tłumacza.

[2] Co można przetłumaczyć jako „życie gotowe do użytku”.

[3] W dosłownym przekładzie: „Akwaria Pjongjangu”. W Polsce książka ukazała się pod tytułem *Usta pełne kamieni*.

[4] Underground Railroad (w dosłownym tłumaczeniu: kolej podziemna) to działająca w pierwszej połowie XIX wieku tajna sieć kryjówek i ludzi dobrej woli, którzy pomagali czarnym niewolnikom zbiegłym z południa Stanów Zjednoczonych dostać się do stanów położonych na północy kraju, ale także do Kanady lub Meksyku.

[5] Z hymnu C. Wesleya *Father, I Stretch My Hands to Thee*. Za: J. Kim, S. Talty, *Pod jednym niebem*, przeł. J. Hensel, Warszawa 2016, s. 373.

[6] J. Kim, S. Talty, *Pod jednym niebem*, przeł. J. Hensel, Warszawa 2016, s. 373. Kolejne cytaty z Josepha Kima również pochodzą z tego wydania (s. 389, 393–394, 403).

[7] J. Kim, S. Talty, *Pod jednym niebem*, przeł. J. Hensel, Warszawa 2016, s. 412.

[8] M. L. King, *Na szczycie góry*, tłum. A. Steele-Zielińska, „Rzeczpospolita” 3.04.2018, rp.pl, bit.ly/4a59JwS, dostęp: 12.11.2023.

[9] Arab. „wolność”, słowo często skandowane jako hasło podczas manifestacji w ramach Arabskiej Wiosny (przyp. red.).

[10] H. Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, t. 2, przeł. D. Grinberg, Warszawa 2008, s. 239.

[11] C. Chaplin, *Moja autobiografia*, przeł. B. Zieliński, Warszawa 1993, s. 441.

[12] *Rocket Man* – nawiązanie do tytułu piosenki Eltona Johna.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl
Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne
Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
al. Jana Pawła II 45A lok. 56
01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2024
Wydanie I